

17938

B. P. im. L.

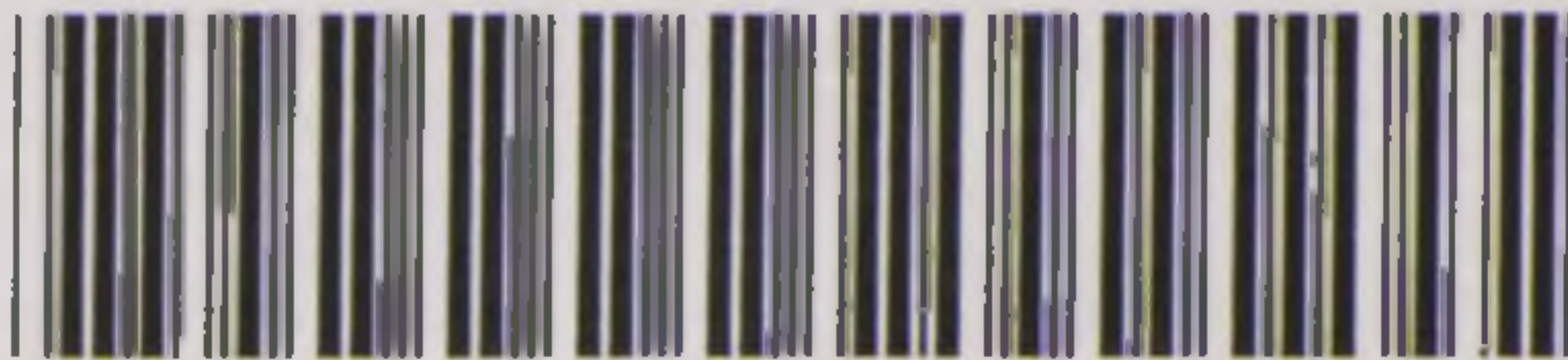




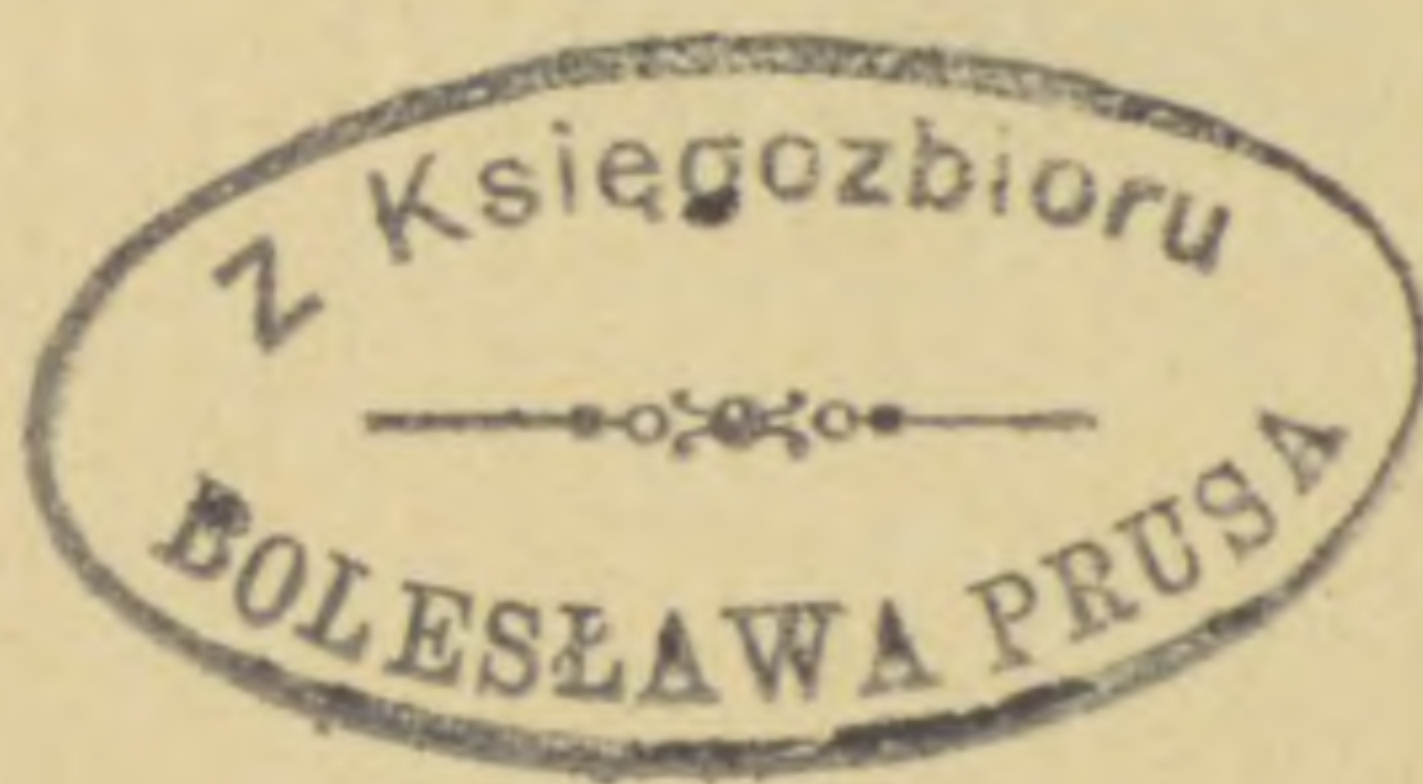


**Rodzeństwo.**

1000072442



824



744976

Okładka według rysunku A. S. Procajłowicza.

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

17938

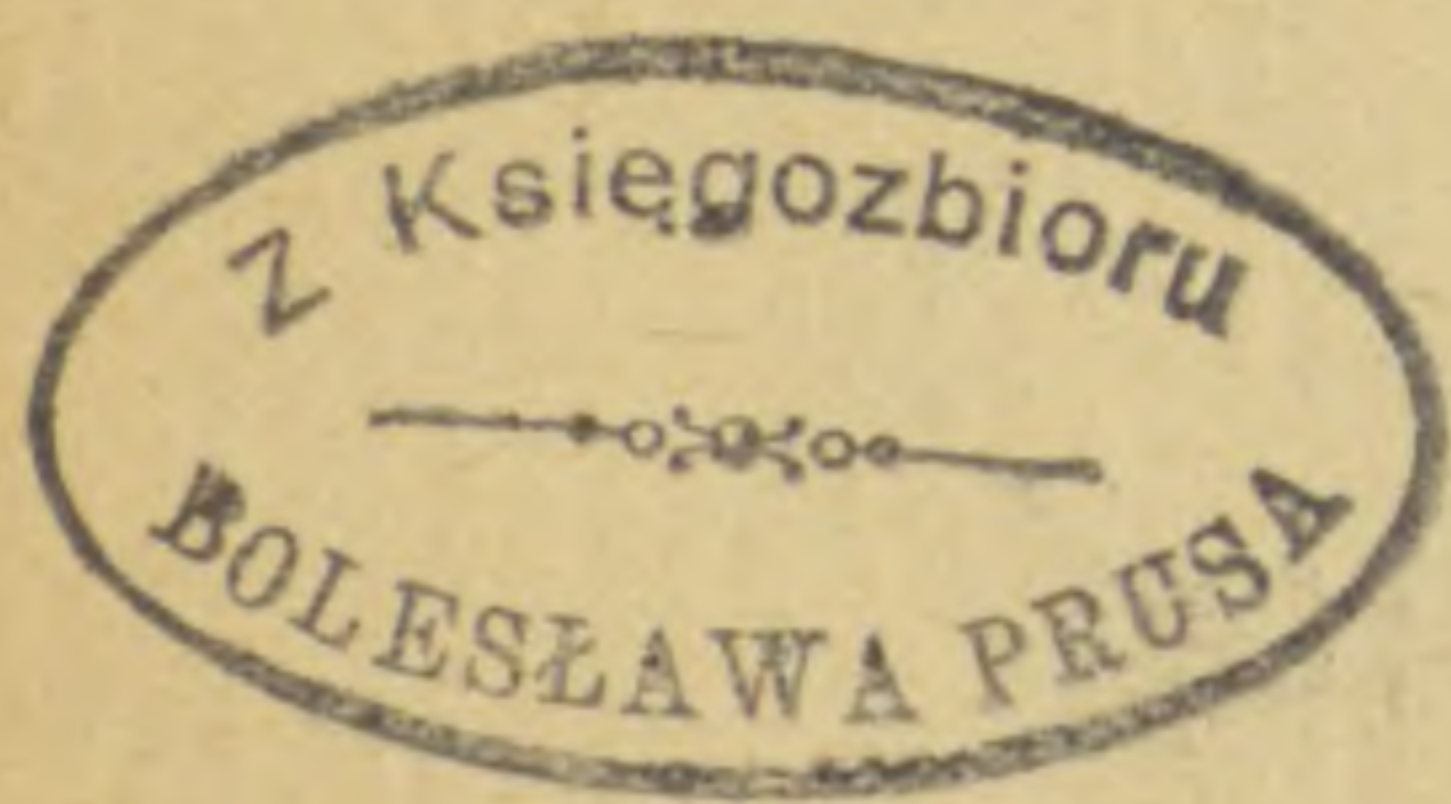
Hugo Bertsch

# Rodzeństwo

Z przedmową Adolfa Wilbrandta.

Z wydania piątego

na język polski przełożyła: M. M.



Lwów 1904 - Polskie Towarzystwo Nakładowe.



830-3





## Przedmowa.

Z prawdziwą radością oddaję do rąk moim rodakom jako szczególne, jedyne w swoim rodzaju zjawisko, książkę, która zrodzona w najniższych głębiach społeczeństwa, z jednej strony jest wyrazem siły, jaka tkwi w naszym ludzie, z drugiej jest dziełem rzeczywiście dziwnem i wzruszającym serce do głębi.

We wrześniu 1900 r. przeszło dwa lata temu, przysłał mi z Brooklyn - Newyork niemiecki robotnik, pracujący w fabryce, Hugo Bertsch, książkę zatytułowaną: „Fantazye z zawrotnej wyżyny“, która obok całego szeregu aforyzmów, zawierała także jakiś utwór sceniczny.

Równocześnie pisał:

„Jak Pan z załączonego manuskryptu łatwo pozna, jestem jednym z tych nigdy nie ginących, którym i w sercu i w głowie wiecznie burza hu-  
czy, jednym z tych, którzy po zakazanych drogach

kroczą — bo przecież podobno zajmowanie się literaturą piękną ma być przywilejem wykształconych, ja zaś Czcigodny Panie, po za szkółką ludową w Szwarcwaldzie, gdzie moją ubogą naukę jeszcze ciężka praca w polu przerywała, żadnego wykształcenia nie odebrałem. Czytałem wiele — kochałem książki — nad wszystko jednak kochałem świat — tę wielką księgę Bożą. Wszerz i wzdłuż przeszedłem ziemię po opuszczeniu mojej ojczyzny — jako rolnik, górnik, rębacz, żeglarz, majtek, robotnik fabryczny w ordynarnej bluzie, z twardemi, spracowanemi rękoma — ale z duszą niewypowiedzianie wrażliwą, i — bez rumieńca fałszywego wstydu, wyznaję to. — Czytałem dla siebie, żyłem zamknięwszy w sobie cierpienie i łzy. — Zaprawdę dziwak.

Długie listy, w których opisałem moje wrażenia z podróży, przekonały mnie, że umię oddać piórem bezpośrednio myśli. Po kilku próbach, pod wrażeniem sławnego dzieła: „Na dnie Anglii“, odważyłem się na podobną pracę pod tytułem: „Na dnie Londynu“. — W krótkce przekonałem się, że zamierzając tak obszerne dzieło, przeceniłem swe siły. Dzień cały ciężko pracuję. Po posiłku wieczornym, zmęczone ciało domaga się spoczynku, a twórczy duch, o podciętych skrzydłach przede wszystkim snu pragnie.

Otoczenie moje ruchliwe i niespokojne jeszcze bardziej pracę utrudnia, tak, że czasem w bezsilności mojej śmiać się muszę z warunków, w jakich

rodzą się moje poezye. Biedna przeładowana dusza moja pragnęła jednak za wszelką cenę uzewnętrznienia. Z konieczności zdecydowałem się na najkrótszą formę“. Ten dziwny twórca pokusił się raz jeszcze o sławę dramaturga, choć wedle własnych słów jego: „nie wiedział nawet, co to są reguły dramatu i tym podobne rzeczy“. Drogo wskazem jego w tej pracy było pragnienie wywołania dla swych bohaterów współczucia i łez.

„W imię Boga puszczam mej fantazyi wodze, a czy ciężkie przeszkody, co na mej drodze stanąć musiały, zdołam pokonać, czy nie — to osądź ty sam, szlachetny Panie!

Nie na tem jednak kończy się moje natręctwo, choć wiem, że ubliżam tej skromności, którą czczę tak bardzo. Pisząc manuskrypt po tysiąc razy zaklinałem się, że wśród tak nieludzkich przeszkód nigdy już pióra do ręki nie wezmę. Musiałbym chyba zdobyć tę pewność, że sama praca literacka potrafi zapewnić mój byt. W przeciwnym razie łamię moje pióro. Przecież mogę być szczęśliwy i zadowolony ze swego losu, jako prosty robotnik; nie wątpię, że jako pisarz byłbym jeszcze szczęśliwszym; choćby całą nagrodą moją miała być tylko rozkosz twórcza. Lecz wahać się w ciągłej niepewności, być raz artystą, to znów robotnikiem, to już przechodzi moje siły.

Szanowny, drogi Panie! bądź moim sędzią, doradcą, zbawcą!

Co pan o mnie sądzi? Jakiegokolwiekby zdanie Pańskie o mnie było — proszę mi je podać w suchych, krótkich słowach. Życie zrobiło mnie prawdziwym wirtuozem w rezygnacyi, a religia i ufna wiara w nieśmiertelność duszy, tyle mi sił daje, że zdołam się zamknąć, zasklepić i żyć tylko razem z memi uroczemi marzeniami!“

Zacząłem książkę czytać. — Zdumienie rosło — poczucie tragedyi wstrząsało mą duszę. „Złodziej“, sceniczne dzieło Bertscha, malowało w dzikich, jaskrawych barwach, nędzę życia najniższych warstw.

Zastanawiająca plastyka mieszała się na przemian z nieokiełznanymi wybuchami namiętności, w dziki, prawie „niemożliwy sposób“.

Jak łatwo przewidzieć brakowało mu jakiegokolwiek znajomości sceny — życie przejawiało się w swej skażonej postaci, owiane jakimś jaskrawem, palącym światłem.

Tak tworzyć może tylko intelekt niezmiernie znużony, ciągle z zewnątrz gnębiony, a podniecający się wysiłkiem własnej woli.

W dziele tem, a jeszcze bardziej w „Fantazyach z zawrotnej wyżyny“, wystąpił na zewnątrz przykry rozdźwięk między gienialnymi rzutami myśli, wielkim patosem ducha, a niezaradnością niewyszkolonego mózgu. Tyle wiedzy i myśli — i tyle błędów ortograficznych. Zdumiewający, bogaty w formę talent, subtelne odczucie języka,

a z drugiej strony tyle nie niemieckich zwrotów, tyle angielszczyzny, wziętej z mówiącego tym językiem otoczenia. Niewątpliwie człowiek genialny — poeta nawet — cóż jednak miało mn dać wykształcenie i dojrzałość twórczą. Gdyby mógł porzucić bluzę robotniczą, wrócić do ojczyzny, by żyć powietrzem, co tylu niemieckich poetów wykarmiło i czerpać podniecie z tego środowiska, wyrobiłby się niewątpliwie na wielkiego poetę — dotąd nim nie był.

Te myśli komunikował mu mniej więcej mój list, napisany pod wpływem głębokiego, serdecznego współczucia. Jeżeli możesz uwolnić się i zebrać tyle grosza, by lat kilka bez trosk poświęcić swemu wykształceniu, to próbuj, może się uda.

Odpowiedzią jego było — coś — jakby nieme, pełne rezygnacyi skinienie głową. Ciepłemi słowy dziękował mi za spełnienie jego życzenia. Pisał: „W chwilach smutku, myślałem, że pan niedołęzne moje poezye, odpowiednie chyba dla dzieci, nie uzna wogóle godnemi i lichą babraninę rzuci do kosza, że zaś pan napisał do mnie list na ośmiu stronicach pełen uczucia, sympatyi i zrozumienia dla mego położenia — to wynagradza mi wszelki trud i gorycz, którą czułem, pisząc ten manuskrypt i czyni mnie prawie szczęśliwym...”

A że to jest zarazem zakończeniem mojej karyery literackiej, to jest łatwem do zrozumienia“.

Tak pisał mi 21 października; ale w kwietniu

1901 r. otrzymałem trzeci list. Przedstawił mi się znowu jako natrętny robotnik fabryczny z Brooklynu. W dalszym ciągu pisał: „w swoim czasie wyraził się pan nadzwyczaj pochlebnie o moim talencie, a w zakończeniu pańskiego długiego listu znalazły się słowa: „Mam nadzieję, że Bóg da Panu w rękę jeszcze coś takiego, co Panu pozwoli wznieść się w górę. Cuda takie działy się już nieraz“.

I Szanowny Panie, Bóg ziścił cud taki na mnie. Pan wie, że zdecydowałem się, z powodu braku czasu, swobody i zachęty, odłożyć pióro. Przekląłem, wygnałem precz wszystkie ideały, co jak wzburzone fale morza, burzą biły o podstawy mego cichego życia robotnika, ale wbrew wszelkiemu oporowi, uległem w końcu i muszę pisać i tworzyć.

Lecz to dopiero początek cudu — treść jego właściwa leży w tem, że dziś potrafię pisać — tak, jak piszę. — I cud ten wzniesie mnie w górę, jak prawdą jest, że kocham Boga, a Bóg mnie.

Może spotkam się ze wzruszeniem ramion, gdy twierdzę, że moja praca zadawalnia mnie, co więcej dziwi wprost, olśniewa. Przed własnym dziełem korzę się, jak przed jakimś przeczutym, nigdy nie widzianym cudem. Na tę zdolność gorącego odczucia, na tę głębię własnej myśli, na ten przez długi szereg lat żyjący we mnie a nie ujawniony świat ducha — patrzę, jako na dar Boży,

jako na odszkodowanie za te straszliwe trudności, wśród których tworzyć muszę.

Często ogarnia mnie szalona myśl, że jakaś nieskończenie wyższa od człowieka istota — tworzy we mnie, a moje twarde, pracą namulone ręce, są tylko narzędziem, władajícím piórem. Nie myśl, Szanowny Panie, że te dzikie zdania są tylko przecenieniem się, nadętością, przesadą. Są to tylko radosne porywy szczęśliwej duszy, co sądzi, że znalazła przyjaciela, który ją zrozumieć i ocenić zdoła“.

Hugo Bertsch napisał w swym czasie już prawie trzecią część swego dzieła. Najpierw pytał mnie, czy zechcę jeszcze się nim zajmować. Z prawdziwą przyjemnością ofiarowałem mu moje usługi. To napełniło go jakąś przygnębiającą, smutną prawie wdzięcznością:

„Pozbawił mnie Pan częściowo mojej wolności. Zanim poznałem Pana, odnosiłem się do mych poezyi z niczem nieskrępowaną swobodą; mogłem, ulegając moim chwilowym kaprysom pisać, lub nie. Obecnie już mi tak nie wolno, nie wolno zdradzić mi pańskiego zaufania, zaufania, którem dusza pańska mnie obdarzyła. Obecnie muszą ziścić te nadzieje, które Pan we mnie pokłada“.

Czuł jednak potrzebę doradcy, przewodnika — zwrócił się więc do mnie: „Jak Don Carlos na całej rozległej ziemi nie mam nikogo, ktoby mnie chciał i mógł zachęcić i prowadzić“.

Taki jest początek mej doradczej działalności w powstaniu niniejszej książki. Powstawała powoli, z wielkimi przerwami — wśród ciągłych stoków zniechęcenia i pesymizmu, a wedle własnych słów jego, wśród ciągłych, chorobliwych napadów apatyi. Nikogo to zresztą dziwić nie powinno, trzeba bowiem uwzględnić warunki, wśród których tworzył.

Poeta — nie pierwszej już młodości, mąż w sile wieku, według jego własnego zdania, niezwykłego zdrowia i siły, szczęśliwie ożeniony z amerykanką irlandzkiego pochodzenia i ojciec dwojga milutkich dzieciaków. Po staremu tworzył i pisał w kuchni, przy kuchennym stole — zmęczony całodzienną pracą, a gdy w długich zimowych wieczorach więcej się ulubionej pracy oddawał, siedziały mu dzieci dosłownie na manuskrypcie — nie mogły już bowiem tak jak w lecie bawić się na ulicy. „I jak to zwykle dzieci, zapominały co chwila, że ojcu nie trzeba przeszkadzać. Śmiech, rozmowa, ustawiczne trącania stołem nie przeszkadzają mi zupełnie, zdołałem się już przyzwyczaić. Lecz ciągłe pytania o to, lub owo, strącają mnie bezpowrotnie z wyżyn, jak strzała strąca ptaka“.

Wszystkie te przeszkody zewnętrznej i wewnętrznej natury odbiły się szkodliwie na dziele; inaczej zresztą być nie mogło, tem bardziej, że tworzył dopiero początkujący autor. To też z pod



ręki jego wysnuwała się tkanina dziwnie nierówna; grube, źle barwione nici psuły harmonię.

Tu i ówdzie poniosła autora znużona, przeczulona, a stale podniecona fantazya. Całość zwyrodniała się pod koniec — nabrała barw ciemnych i każdą literą przeczyła miłosierdziu, czy nadziei.

Było to przeciwne właściwej naturze autora. W krwi bowiem jego musiało tkwić czysto niemieckie zdrowie duchowe i przywiązanie do życia. Radziłem zmianę; sprowadzałem go z tej drogi — on odłożył pracę na czas dłuższy, aż póki nowy napływ energii twórczej nie zmusił go do dalszego tworzenia. Powstała wreszcie ta książka, którą obecnie oddaję na własność światu.

Jestto jego własne dzieło aż do ostatniego wiersza, aż do ostatniego słowa prawie. Ja tylko po bratersku poprawiłem wprawdzie „okropności ortograficzne“, jak sam swe błędy w liście nazywa. Usunąłem angielskie naleciałości, gdzie niegdzie zbyt rozwlekłe ustępy skróciłem, bo jak sam mówi: „w jego natchnieniu“ leży pęd do rozrzutności bogacza. Nie potrzebuję chyba dodawać, że stało się to z jego wiedzą i wolą. Zresztą sam czytelnik dostrzeże prawdopodobnie gdzieś gdzie „mniej subtelną tkaninę“.

Są to ukryte reminiscencye warunków, wśród których powieść powstała. Równocześnie zaznaczam z góry, że nie należy się spodziewać jakiejś niezwykłej akcji, czy napięcia. Jest to historia duszy,

co zwolna, prawie w samych tylko listach się rozwija. Dużo tu osobistych wspomnień, dużo własnej charakterystyki, w bohaterach powieści — mianowicie w siostrze i bracie. Ów brat Tom, to taki sam robotnik, jak Hugo Bertsch, tak samo wyjątkowo utalentowany, taki sam szperacz i myśliciel. I czuję, że jeżeli ostrożny czytelnik bez wielkiej wybredności zasiądzie za stołem gościnnym autora, to zadziwi się chyba na widok tego, co taki robotnik z Brooklynu podać mu zdoła — ile tam wymowy, ducha, humoru, satyry, głębi i fantazyi.

Jak już wyżej powiedziałem jest autor czemś w swoim rodzaju niezwykłym i wogóle nie umiałbym go z nikim w naszej literaturze porównać. Chyba tylko z Ulrykiem Bräker'em, owym biednym człowiekiem z Toggenburg, z okresu pierwszej młodości Goethego, którego także, niepokonany samorzutny talent wydobyl na widownię literacką i stworzył zeń poetę-samouka.

Mają oni obaj pokrewieństwo szczepowe — obaj Niemcy — tylko Bertsch Szwab, rodak Schillera, a Bräker'a ojczyzną Szwajcarya. I zdaje mi się, że pokrewieństwo sięga nawet głębiej w ich wewnętrzną istotę, tylko los na inne drogi ich popchnął, a czas innemi tonami godziny życia im wydzwonił.

Ulryk Bräker, który krótkiego, lecz burzliwego życia dokonał w ciasnych granicach swej rodzinnej, cichej doliny i znał tylko jednostronną

walkę z nędzą, pozostał przez całe życie prawdziwym synem muz i przyrody. Był to człowiek o nastroju dziecięco - lirycznym. Marzył, kochał przyrodę.

Hugo Bertsch już w pierwszej młodości wmięszany na zawsze w gorączkowy wir świata, porwany szalonym prądem wielkiego miasta, z duszą przepelnioną bólem, marzeniami i żądzami własnymi i swych towarzyszy, hartował swe miękkie serce na wielki bój. Jeszcze nigdy żaden przedstawiciel „czwartego stanu“ nie walczył w zamięcie obecnej epoki o prawa swej uciśnionej sfery tak przekonująco, porywająco, za serce wymową, jak Hugo Bertsch w swej książce. Są to jednak zawsze szlachetne, czyste słowa poety, który w niestrudzonej pogoni za coraz nową myślą staje się — jak na rodowitego Niemca przystało — prawdziwym filozofem. Staro - perskie pojęcie świata, odzwierciedla się w nim w dziwny sposób. O władzę nad światem walczy dobry i zły duch — w walce tej człowiek udział przyjąć musi. Więc i bohater Bertscha, Tom Pratt, ma swoje miejsce w ogólnej ewolucyi, więc i jemu może także kiedyś błysnie jaśniejsze słońce.

Lecz dość już o nim — i o jego książce — niech dzieło jego mówi samo za siebie.

Nie chcę go także porównywać na tem miejscu z Rosyaninem Maksymem Gorkij, choć myśl narzuca się sama przez się. Może zresztą każdy, kto

te słowa czyta, pomyślał już o Gorkim. Kto książkę tę całą przeczyta — poweźmie zapewne w tej kwestyi odpowiednie przekonanie.

Ja, mówię tylko — czytajcie. Oby ta książka znalazła zasłużone powodzenie — oby była dla Niemca z Brooklynu nietylko bodźcem i radością, lecz stworzyła dla niego te warunki, wśród których swobodnie mógłby się coraz wyżej wznosić, by mógł treść swego życia i świat, na który tak patrzeć umie, przed oczyma naszymi roztoczyć z ogniem i z zapalem.

Oby spełniły się słowa jego listu, gdzie pragnie „barwny kobierzec swej przeszłości, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — zmienić w czystą poezję“.

*Adolf Wilbrandt.*

## WSTĘP.

### Zapomniany grób.

Grób! — jedno tylko słowo — gdzież jest drugie o tak groźnej, potężnej sile? —

Śmierć? O! zmarły spoczywa jeszcze na ciepłym pościelisku miękkiego łoża, otaczają go kochani, kochający, bliscy — świeci mu jeszcze słońce i błękit nieba, owiewa go jeszcze to powietrze żywych, jeszcze nie przebrzmiały pocałunki, uściski, sława.

Lecz grób — ta czarna, głucha otchłań, prowadząca już na tamtą — drugą stronę świata — z której nie wraca nikt, choćby zionęła piekłem. I jeno zgrzyt lin, trących się o brzegi zamkniętej trumny, a potem ponury marsz ciężkich grud ziemi — póki nie obejmie coraz głuchsza i głuchsza cisza — cisza grobu.

Nie zmaćci jej nic — ziemia jeno w milcze-

niu rozewrze ramiona i pochłonie gnijący zewłok ludzki.

Tam... na górze pulsuje życie, zmienne jak światło i cienie, wschodzi i umiera dzień — każdy poranek wita jakieś narodziny, a wieczór szczątki grzebie. — A w głębi ziemi zmarły czeka, czeka na zbudzenie, zmartwychwstanie, ocknienie.

Zapomniany już przez ludzi, nim go ziemia gnijącego pożarła, zapomniany nawet przez tych, którzy u stóp jego łoża wili się w spazmatycznym bólu, przez tych, dla których niegdyś był wszystkim, kochankiem, ojcem, matką, siostrą, bratem.

I ty biedny szaleńcze, tam, w głębi, myślisz, że bezpamiętna, bezmyślna natura wspomni o tobie po lat miliardach, że zmiłuje się bezlitosna? że rozmiłuje się w tych dawno przegniłych zbutwiałych kościach — natura, brutalna rodzicielka potężnych i silnych — wielbiąca tylko życie — nienawidząca śmierci! Nowość kocha ona jedynie, nie powtarza się nigdy, a wszystko przeszłe jest dla niej tylko szczeblem, lub nawozem na przyszłość.

Bez serca, bez myśli, czy celu w zachłannej swej pogoni za coraz inną nowością, jak zaślepiony jedną myślą badacz, depce w okół nie wiedząc nawet co czyni.

I niczem są dla niej zdobycze tysiąca generacyi — w puch rozbija całe systemy, całe światy strąca w nicość, słońca i gwiazdy zmiata z nieba

i rzuca na jedno olbrzymie rumowisko. Gdzieś, zrodził się twór tak bliski doskonałości, że niemal z ideałem się zetknął — nie uszanuje go ta wielka niszczycielka — roztrzaska jak dziecko swawolne swe marne bawidełko — żywiołowej jej sile opiera się tylko potworny płód zła i trwa wieczność całą.

A może spodziewasz się biedny szaleńcze, że zatroszczy się o Ciebie Bóg — co się o żywych nie troska?

Bóg, co małym palcem nie ruszy, choć miliony w męce się wiją, miliony kłaniają, On, do którego niema drogi, co ukrył się przed tobą — On — miałby sobie przypomnieć — ciebie? — Cmentarz — jakie słowo! gdzież jest drugie o tak magicznym, surowym, poważnym, a tak tchnącym nadzieją dźwięku? Drży w niem uczucie, nadzieja zbadzenia się z ciężkiego, gorączkowego snu, na łonie matki, na ciepłej piersi matki — jak dziecię. I oto wszystkie potworne sny, śmierci — grobu, rozkładu znikną wobec jej uśmiechu, pociechy, pocałunku — miłości.

Cmentarz — niwa boża — człek i jego nadzieje, to jeno ziarno — jego śmiech, radość i ból, troska, cierpienie, miłość i nienawiść — to tylko ziarno. Niwa ta utuli wszystkie cnoty i zbrodnie, wszystkie bunty i rezygnacye, pochłonie jego nieznanne, niespełnione pragnienia, wszystkie sny o szczęściu, które w życiu — ach! tylko w łyzy dojrzały; wszystkie namiętności — tak ciche, jak

letni powiew, co jeno motyle na miodowe kielichy zawiewa, tak potężne jak Tornado, co skały kruszy i czarnym wirem gruzów w niebo uderza, a dusze ludzkie, jak wandal w kajdany skuwa. Ta rola boża pogrzebie wszystkie wspomnienia, wszystkie plany, urywki życia, małe i wielkie zbrodnie i modły — wszystko, co niegdyś, na ziemi tworzyło ciężki, długi łańcuch, wleczony u nogi od pierwszego tchnienia, aż do ostatniej chwili agonii. — Łańcuch, który wlec trzeba od pierwszego wejrzenia w blask, który słońce tka, jak kosztowną koronkę, niby srebrzystą siatkę w okół dziecięcia w kołysce aż tu, gdzie płonie dogasająca zwolna lampa umarłych.

Cmentarz — i oto leżą spokojnie ci, których życie było burzą i gwarem. Tak różni za życia, tak zrównani po śmierci. Tak nieludscy, wrodzy, egoistyczni — dziś towarzysze na wieki i tak cisi, pokorni i zgodni.

Nad grobem bogacza wznosi się jeszcze posąg marmurowy — nad mogiłą jego sąsiada krzyż drewniany — tam grzędy kwiatowe, bukszpan i żywopłot umiejętną postrzyżony ręką, a na sąsiedniej cichej mogile liche kwiatki, rzucony w przełocie dar natury, objęła ramą kępka prostej trawy. Dumnie lśnią jeszcze na płytach grobowych jakieś nazwiska, daty, czy słowa, lecz wcześniej, czy później czas i ziemia zetrze napisy, skruszy kamień, żelazo rdza zgryzie — i będą porównane



mogły jako umarli w ich wnętrzu. I jeszcze chwila, a pomrą ci, co te znaki na grobach kładli.

Mój drogi czytelniku! Niezawodnie zdarzyło ci się kiedyś być na cmentarzu. Wiedzie tam przecie nieraz przypadek, obowiązek, chęć rozrywki — a czasem ten niepojęty, niewytłumaczony pociąg, by zatrzymać się choć na chwilę w tem miejscu, co będzie ostatnią przystanią naszej życiowej tułaczki. I może nadleciała kiedyś ku tobie jakaś strwożona, kołacząca do grobów tych myśl — myśl o losie tych na wieki uśpionych. — O losie, co twoim będzie.

Tu oto, spoczywa ten, co niegdyś był ojcem, dalej — czyjaś matka, niemowlę, starzec obok młodzieńca. Na pomniku wyczytasz datę śmierci, urodzin, nazwisko. Pomnik powie ci — kim był ten, co pod nim leży — bogacz, czy nędzarz — czczony, czy pogardzany, a mówić o tem będzie nie tylko napis — sam grób.

Taka pielęgnowana, odwiedzana przez przyjaciół mogiła, opatrzona w napisy, podcina skrzydła fantazyi — zewnętrzność zamyka bramy do ciemnej, zagadkowej krainy śmierci.

Istotnie — tylko zapomniany grób zdoła przejąć jakimś zimnym, mistycznym dreszczem. Gdzieś tam, tuż koło muru cmentarnego, a może poza murami chyli się smutnie spróchniały krzyż — lub omszały kamień wskazuje miejsce wiecznego spoczynku. Czasem żadnych śladów nie znajdziesz.

Przed taki grób zapomniany, opuszczony, nawpół zapadły — idź nocą — lub późnym jesiennym wieczorem.

Pusto... — wiatr jeno hula i świszczce, nad trawą i zwiędłym zieleń czołga się leniwie gęsta, wilgotna mgła — posrebrzana niepewnym blaskiem księżycy z za chmur — głucho — jeno świat stroi się do jakiegoś cmentarnego chóru, ponurej symfonii zeschniętych liści gwarzących z wiatrem — czy z sobą — cicho — jeno gdzieś w takt rechotania żab na bagnisku zawodzi dalekie echo puszczyka — a górą jakieś bolesne jęki, czy westchnienia, ciągną i zwolna konają w dali.

Idź tam, przed ten zapomniany grób — tam rozegrał się już na wieki dramat życia, opadły pstre kulisy, światła pogasły.

Idź tam — dusza twa z jękiem do tej mogiły przypadnie — to brat twój — „Boot — Boot“ — odpowie echem twoje serce. O! kimkolwiek byłeś, ty — tam — w głębi — czy ziemia ci lekka, czy ciężka, czy szczęście swe zostawiłeś na świecie — czy całe z sobą zabrałeś do trumny — nie znam cię — możeś kobietą lub dziewczęciem — świętym lub tyranem, możeś mordercą — a może ofiarą — wszystko jedno — tyś bratem moim.

Oddychałeś przecie tem samem powietrzem co ja, to samo słońce i te same gwiazdy ci świeciły — te same troski, żądze i sny zmora ci były — ta sama mara wolności wyciągała ku tobie zwo-

dnicze ramiona — a ta ziemia — ta widownia, z której ty zeszedłeś a po której ja stąpam, ciągnie i pochłonie nas obu.

Przed takim grobem bez czucia stać — nie zadrzeć przed strasznym memento śmierci — głosu Boga nie usłyszeć?

To wbrew duszy ludzkiej.

Mój drogi czytelniku! Czy chcesz ty pójść za mną? Zawiodę cię nad grób taki pusty, zapomniany — nikt go nie odwiedza — nikt nań kwiatów nie rzuca — nikt nie płacze i nikt się nie modli. Takiego grobu nigdy już w życiu nie ujrzysz! Ach! nie na taki grób zasłużyło to biedne serce, co tam w głębi leży przywalone zimnymi głazami. Dwadzieścia miesięcy temu byłem tam po raz pierwszy i ostatni. Wiodła doń wąska ścieżyna snująca się wśród lesistego wzgórza — dziś pewno zarosła już i znikła. Prosty, siekierą z gruba ociosany krzyż, znaczył miejsce śmierci. Dziś wichry i burze, lub może pasące się bydło, lub niedźwiedzie zniszczyły krzyż. Wówczas była to mała leśna polana, skąpo zielskiem porosła. — Ten chwast jedynie może jeszcze pozostał, a może leży jeszcze krzyż, z sześciu ułożony kamieni.

I jeszcze raz? Czy chcesz iść za mną? droga długa, stroma i dzika, może odstraszaająca — nudna może. Może pożałujesz, że wstąpiłeś na nią, a może już w połowie drogi płacz pierś ci zdławi. Ja wiem to jedno, że trud twój nie pójdzie na

marne. Nie zginie żadna łza, która na grób padnie, ni kwiat litośną rzucony ręką. Nie zginie i nie rozwieje się jako czczy dym, nawet ten uśmiech co nadzieją połączenia się kiedyś blade rozchyli usta, nawet ten tęskny wzrok, co za grób sięga. Ach! i wiedzcież, Bracia moi, że jeno ból, jeno krzyk potężny duszy, wlewa ciepło i życie w zmarłe tętno świata. U wrót śmierci stanie bezsilna wszechmoc miłości. Po za grobowy zimny głąz sięga tylko wielka, w niebo bijąca potęga — tęsknoty.

Szpital — Bellevue.

*Nowy York, 25 sierpnia 1900. r.*

Siostro!

Stało się!... co?... zdawna przeczuwane, nie-  
uchronne: moja ręka — odcięta — w maszynie. —  
Lewa — a prawa bezsilna wobec swej broczącej  
krwią towarzyszki.

Siostro, ja wiem, to nieopatrzone, okrutne,  
wstrząsnąć Cię tak nagle, bez przygotowania. Taką  
wieść Ci posłać bez złagodzenia jej słowem....  
O! ale czyż są słowa, coby mogły boleść moją  
złagodzić? Jestem zgubiony — kaleka, ruina, po-  
zbawiony pracy — na wieki pozbawiony. I żyć  
20 — 40 lat z tymi pozostałymi jeszcze członkami  
— bez środków do życia, bez pracy? A żona moja?  
biedna, chora żona — a dziecię moje? Cóż z niemi  
się stanie? Mój zgorączkowany mózg odpowiada  
mi jedynie na te pytania zimnemi kroplami potu.

W zeszłym tygodniu — w poniedziałek —  
przyszło nieszczęście — zaraz rano — był to pierw-  
szy wypadek dnia. Nieszczęście czaiło się na mnie

całą noc — niedzielę całą. Zaledwie syrena fabryczna wyrzuciła swój ryk w ranne powietrze, a koła fabryczne kręcić się poczęły — i każdy z robotników stanął na swem stanowisku, puściłem i ja moją maszynę w ruch, piłę okrągłą, gładką, i zimną jak nóż — tę syczącą, stugębną zmiję. Ile razy patrzyłem na błysk tego ohydneho, chłonącego drzewo potwora, myślałem ze zgrozą, że to samo dzikie zwierzę odgryzło mojemu poprzednikowi wielki palec u ręki, drugiemu odcięło cztery palce w skos, trzeciemu spłatało rękę lewą, a prawą, co nieopatrznie na pomoc biegła zmieniło w bezkształtną masę. Z ręki się żywi ta jadowita gadzina, i jak wąż zdradziecko kąsa. Każdemu musi kości pogruchotać, każdemu, mnie także — wiedziałem o tem, czekałem na to — lecz mnie do tego przekłętego miejsca przykuł głód, a konieczność związała z niebezpieczeństwem.

Nieszczęście nie potrzebowało zadawać sobie wiele trudu, by mnie znaleźć. O! moja ręka! — Jak to się stało? — dlaczego? dziś patrzę na to, jak na mglisty sen — może potknąłem się w moich nowo podszytych butach — i to najprawdopodobniejsze — tak — to tak się stało. Pośliźnąłem się na gładkiej podłodze — uderzyłem ręką w powietrze — a potem z całym rozmachem o stalowe zęby piły, — a potem? co?... Dziki, przeraźliwy krzyk „ooo!” Płomień, lód, coś nakszałt iskry elektrycznej, co szeregiem skurczów prze-

biegła mi ciało, by w końcu utkwic gdzieś u ko-  
rzeni włosów na głowie... o! oszaleć!

Ujrzałem nagle piły, koła, belki, ściany, okna,  
wszystko w szalonym obrocie — splata się, kłębi,  
miażdży; na zębach piły zobaczyłem zmiażdżoną,  
krwawą masę, przewalającą się wśród trocin —  
to była — moja ręka. — Widziałem krew — wszę-  
dzie krew — czego dotknę — krew. Słyszałem  
sto krzyczących, zmieszanych głosów: „doktora!  
pogotowie! krew go ujdzie! na pomoc! ratunku!“  
Postacie, każda z tysiącem oczu i tysiącem rąk  
wala się zewsząd na mnie — pochwyciły mnie —  
podnoszą, gniotą, niosą, wciskają w jakiś stołek,  
pryskają na twarz wodą — obwijają moje ramię  
w ręczniki, sznurki, chusty.

I te straszliwe obrazy odbiły się gdzieś w po-  
wietrzu i teraz przerażają mnie zjawiskiem swem  
we śnie i na jawie. Tom z odciętą ręką — Tom  
bez pracy, Tom kaleka, dziad: przyszłość Toma  
zniszczona — żona i dzieci jego opuszczone, oder-  
wane od niego, obce jakieś. To życie rodzinne —  
jedyne biednego Toma szczęście, dla którego całe  
życie niósł cierpliwie nędze i ból — dziś — stra-  
cone i nigdy już nie wróci — nie wróci.

A tam jakby się nigdy nic nie stało, kręci  
się wściekle piła — ta mordercza zmija. Wście-  
kłość bez granic postawiła mnie na nogi — z gardła  
wydarł się krzyk: „maszyna! zabijcie maszynę“!  
I musiał to być jakiś przerażający krzyk, bo lu-

dzie rozstąpili się, coś dwa czy trzy kroki zrobiłem w jej kierunku — później — ogarnęła mnie ciemność.

W szpitalu Bellevue, niedaleko od tego miejsca, gdzie zostałem kaleką, ocknąłem się z długiego, ciężkiego omdlenia.

Po co!....

Siostro! muszę przestać — nie powinienem dalej pisać, coś mię rwie — rozbić moją nędzę w drzazgi. Mnie myśleć nie wolno — wolno mi jeść, pić, oddychać, byle tylko nie myśleć. Zwierz się we mnie budzi dziki.

*Tom.*

*Brooklyn. 27 sierpnia 1900 r.*

Siostro!

Zaledwie wysłałem do Ciebie ten poprzedni nieszczęsny list — a nastąpiła ulga. Chcę się niezwłocznie z Tobą tą wiadomością podzielić. Mój pracodawca opłaca doktora i aptekę, aż do mego wyzdrowienia. A ponieważ to nie sprawia żadnej różnicy w koszcie, czy leżę tu, czy tam, przewieźli mnie więc do Brooklynu — do mego domu. Ruch zmęczył mnie — gdyby nie to, napisałbym już wczoraj. Wogóle często popadam w omdlenie i mię wam zawroty głowy. Doktor twierdzi, że straciłem bardzo dużo krwi i życie zawdzięczam tylko memu silnemu organizmowi. Będę mieć jeszcze bał, z tym



moim silnym organizmem i — pustym żołądkiem. Zresztą zostawiam dziś skargi na boku. Jestem dziś wesoły i dobrej myśli — mam nawet ochotę rzec: „bardzo dobrej“.

I co środowisko może z człowieka zrobić? wszystko! człowiek płynie w niem, jak ryba w wodzie, jak drzewo spławne — z biegiem wody — szybko — wolno, gdy pnie się pod górę — w każdym jednak razie ulegnie środowisku.

Co do mnie — cieszę się dziś z jego wszechmocy. Od chwili, gdy opuściłem szpital i jestem u siebie, czuję się jak nowonarodzone dziecko. Szpitalna sala w Bellevue była wprawdzie bardziej przestronna, wyższa, wygodniejsza — salon wobec tej nędznej izdebki, jaką dziś zajmuję. Moja blada, wychudzona Ewuchna, nie idzie też w porównanie z energiczną, tęgą, o tryskających zdrowiem licach — dozorczynią szpitalną. Lecz — siostró... gdyby zjawilo się najlżejsze podejrzenie braku miłości — (nie było go dotąd) byłoby ono największym świństwem mego życia. Mówią, że w nieszczęściu poznaje się przyjaciół — jestem nieszczęśliwy — bardzo. Obok wszystkich cielesnych cierpień snują się koło mnie widma troski, lęku, niepokoju — nieodstępni towarzysze — a do nich przyłącza się dzisiaj najstraszniejszy z nich — żal. Byłem, bądź co bądź dobrym mężem i ojcem, człowiekiem z charakterem. Lecz ty wiesz, że tego rodzaju przymioty granic nie mają, a żona moja przerasta

mnie pod tym względem o całe nieba — i nawet marzyć nie mogę, bym dosięgnął kiedyś jej poziomu.

O! siostró — cierpię, jak potępieniec! Nieustanna ofiarność, współczucie, miłość tego anioła — pali mnie, jak cięcie biczem. Czuję to od chwili, gdy Ewa odwiedziła mnie w Bellevue.

Z krzykiem padła na łóżko, tuląc się do mnie. O! ten jęk — ten głos: „Tom! biedny Tom“! Łzy ją dławiły — pocałunki jej tłumiły mi oddech, tuliła pierś swą do mojej, tak, że czułem bicie jej serca — cisnęła swe czoło do mego, jakby mi wszelką myśl ciężką zabrać chciała. O! siostró! — boli taka miłość, jeżeli na odwzajemnienie jej sił nie staje. A potem — o! to takie bolesne — leżeć tu w małej nędznej izbie, bezsilnym jak dziecinnie i ciągle widzieć — ją — żonę — to biedne, drogie stworzenie — jak się trudzi, zabiega, gotuje, pierze, pokaszluje — widzieć ją i myśleć, że wszystek jej syzyfowy trud — nie uratuje tonącego okrętu, że musimy zginać, zatonać w beznamiętnym oceanie świata — niespostrzeżeni nawet. — Czemże jest jeden rozpaczny krzyk zaginiony w łoskocie i huku tego miasta — olbrzymia, gdzie miliony krzyczą, jęczą, śmieją się, klną?

Siostró! Jennie! — Nie chcę się znowu skarżyć — to nie moje skargi, to żali się ten rozbity, rozstrojony duch we mnie. Bierz dosłownie — jestem nieobliczalny, niepoczytalny nawet. Połowa wartości życia stracona i niestety — pewno ta lepsza.

Wraz z tą dobrą, tak kochaną ręką, znikł mój dobry humor, został sarkazm i dziki, zjadliwy dowcip — i dziś zмага się z mą biedną, chorą duszą. A może ty nawet nie rozumiesz tego co mówię? — Tem lepiej! — A może stało się z Tobą to, co ze mną? Ja czasem widzę litery, jak na wszystkie strony, jakoby żyjące istoty kulejąc, rozłożą się po papierze, niby schorzałe kaleki szpitalne na kulach, to znów jako psotne koboldy skaczą, wyrzucają czapki w górę, kulają się po ziemi — aż póki bolesny okrzyk „o o!“ nie roze-gna zgrai psotników, a głucha żałość nie wpatrzy się we mnie nieruchomo z pomiędzy wierszy.

Tam na ścianie wisi twój portret siostrze! gdzie-żeś teraz — gdy ja siedząc w łóżku piszę do Ciebie? Ta myśl boli. — Obok ciebie wisi obraz mego, tak bardzo kochanego dziecka, mojej Elzy, która dziś martwa, gdzieś na cmentarzu leży. Ta myśl boli mnie bardziej. Na przeciw wisi lustro. Z jego ram spogląda na mnie blada, martwa twarz mężczyzny — skinął ku mnie głową, ja ku niemu — on zwolna wstrząsa głową — ja także. Pokazuje mi straszliwie zniekształcone ramie, ja jemu moje — wstrząsa znów głową — czeka na mój uśmiech — ja na jego....

Przebóg! gdzie mam patrzeć, by uciec przed szaleństwem, chyba zamknąć oczy i spać.

„Ewa! weź ten list i precz z nim!“.

*Pilot Kurt, 28 sierpień 1900.*

### Kochany Bracie!

Ze zgrozą przeczytałem twój list. Biedny, biedny Bracie! — Nie znajduję słów, by ci moje współczucie wyrazić — moje bezgraniczne współczucie. Biedny, biedny bracie! Wierzyć się nie chce, by los mógł tak mścić się nieludzko, tak walić obuchem w tak dobrego, zacnego, dzielnego człowieka, jak ty.

Boże! Boże!

. . . . .  
Musiałem przerwać — nie mogę pisać — ból wytrąca pióro z ręki, a ręka mimowolnie ciśnie rozbolełe, bijące serce. Musiałam płakać — łzy przyniosły ulgę, a Bóg zesłał pociechę — więc i ku tobie z tą pociechą się zwracam. Jakże płacz wzmacnia biedne serce. Łzy! Łzy! to rosa niebieska, co pada na piaski pustyni ziemskich, póki ich w zieloną niwę nadziei nie zamieni. — Bracie — posłuchaj! Idę oto ku tobie, jako ten anioł Boży, co w chwilach zwątpienia przychodzi do mnie. Ja potrzebuję słów — on żadnych, to cała różnica. Więc z całą potęgą miłości siostrzanej wołam ku tobie: módl się! O! ty musisz bracie się modlić — modlić jak dawniej. Musisz poszukać Boga — znaleźć go. Módl się! Tylko modlitwa ukoi troskę oddali zwątpienie — pod jej wpływem odleci obłąd —

ona spłoszy przywarły do lic rys bólu, ona ogrzeje — ukoi.

Bracie! religia jeno zdolna zbudować nad przepaścią rozpaczy taki most, co niesie nad przepaścią rozpaczy, taki most, co niesie cały niezmierny ciężar bólu serc ludzkich — most co wiedzie na drugą stronę, gdzie jest nadzieja, wiara, spokój. Ja wiem — ty nie śmiejesz się, czytając te słowa — wiem także, że zrobisz to, o co proszę — spróbujesz się modlić — musisz spróbować. Niechętnie, ale mówię ci — musisz — znam Cię — znam twój umysł i cenę go jako wielki dar Boży. Lecz wierz mi bracie, żadna filozofia ludzi wykształconych, wolnomyślność, powątpiewanie, krytyka — cała olbrzymia mądrość ludzka nie da zbawienia. Nie osiągnie nawet tego, co zdobywa jedno dziecięcemi ustami szeptane „Ojcze nasz“. I nic nie zbliży tak do niebieskiego ojca, jak miłość dziecięca, miłość biednego, chorego, o pomoc proszącego dziecięcia. A ty takim dzieckiem jesteś. Jesteś kaleka, bezradny, pozbawiony pracy — żona twoja ci nie pomoże — ja też nie. Przyjaciół — ty, cudzoziemiec — w Nowym Yorku, nie znajdziesz — zwłaszcza teraz. I w rzeczywistości jesteś tak nędzny, samotny i opuszczony, jak zbłąkany wśród chmurnej nocy zimowej — promień miesięczny. Bracie! ty musisz wystarczyć sam sobie — musisz skupić się w sobie — zejść w głąb twojej własnej duszy. Dusza to Bóg — idź do niego.

On miliony pocieszył — miliony uratował — tchnął w nie lwią odwagę — zwrócił z dróg ucieczki i pchnął napowrót w bój i walkę, aż do ostatniego tchu. Wejdź w siebie! w głębi twej własnej duszy znajdziesz otuchę, pociechę, spokój — nie da ci go świat ni ludzie.

Dusza twoja jest Bogiem — idź do Boga. Cud można tylko odczuć — szukaj go w odczuciu własnym. Czemże jest byt ludzki — gdy odleci nadzieja? nędzną wegetacją — a wegetacja — bez promienia nadziei — to piekło.

Bracie! losem naszym rządzi wyższy duch. Ubogi w duchu czuje to, mędrzec, rozumie. — O! gdybym mogła — tak ci to wszystko powiedzieć, napisać — moc mego odczucia przelać w ciebie. Módl się, a sam wszystko zrozumiesz. Wróci wszystko to, coś stracił, dużo tego, wiem — ale to wróci — wróci nadzieja, wiara, ufność. Uczyń tak bracie — spróbuj. Obcy ludziom — nie jesteś obcy Bogu — on nie patrzy na Ciebie, jak na zgubionego bez ratunku grzesznika — dla niego jesteś zawsze dzieckiem — nieco może zachwianem w wierze — nieco za pochopnem do krytykowania cudu, co się z pod krytyki usuwa — ale zawsze tylko nieszczęśliwem jego dzieckiem. Muszę kończyć — już noc. Tyle jeszcze zostało słów. Moje serce tak jeszcze przepełnione — jak przedtem — ale już noc. Obowiązek żony zwycięża obowiązek siostry. Piotr wraca z kopalni — gło-

dny, przemoczony, zmęczony. Dzieci hałasują — słyszę ich wołanie z każdego kąta. Pióro zużyte trzeszczy — papier się kończy.

Zostań z Bogiem i Ty i żona twoja i dziecię twoje. Amen!

*Jennie.*

*Brooklyn, 1 września 1900 r.*

Droga Siostrzo!

Jakiż ja nikczemny tchórz — w obec Was kobiet. Ty masz słuszość droga siostrzo, mnie potrzeba stokroć więcej niż chleba powszedniego — odwagi do życia. Lecz to samo, że u Was kobiet, słabszej połowy ludzkości, szukać jej muszę, jest mi dowodem mej własnej nędzy . . . . .

W tej chwili upadło mi pióro na podłogę. Boże! czyż jest istota słabsza od niemowlęcia w powijaku? Niestety! dorosły mężczyzna w łóżku i chory. Syn mój, mały Bertie, wraca z podwórza i całuje mnie.

„Ojczy! boli cię?“ myśli o ranie. To jego ciągle pytanie, powtarza je dziesięć razy na dobę.

W nocy śpi, naturalnie spokojnie, jak wszystkie zdrowe dzieci, ale budzi się i kładzie do snu z tem pytaniem na ustach: „ojczy! boli cię?“. O! szczęśliwe dziecię, dla którego najdotkliwszem cierpieniem jest ból fizyczny . . . . .

Tak siostró! czuję, że nie zdołam się oprzeć magicznej potędze twoich słów. Myśli zawarte w twym liście mają nieprzewyciężoną, czarodziej-ską moc. Spróbuję modlić się — wrócić duchem w dawne czasy. Jak tylko podniosę się z łóżka i będę mógł wyjść na miasto, pójdę do kościoła — przyrzekam Ci to solennie. Bez względu na to, czy mi z tem będzie lżej, czy nie, uczynię wszystko co można, by dawną dziecięcą wiarę odzyskać.

Zniszczyłem ją sam — przekląłem — odbie-głem od niej daleko — spróbuję jednak wrócić. Pójdę więc błagać Boga o ratunek, o chleb, mie-szkanie, pracę, choćby dla jednej tylko ręki. A je-dnak to straszne — po tylu latach obojętności — przyjść odrazu z prośbą i w dodatku z olbrzymią prośbą. Gdyby to przynajmniej była dziękczynna modlitwa. Lecz..... Odwagi Tom! Bóg zna swoje twory i wie, że pośród nich wszystkich, od psa począwszy, jeden tylko człowiek — gotów zebrać u drzwi, które wczoraj znieważył. Ach! Bóg jest nieskończenie wyrozumiały.

Więc pójdę — i będę mówił: „Panie świata! Dwadzieścia lat z okładem błąkałem się po mano-wcach. Pacierza zapomniałem w połowie — wiary zupełnie. Nadzieję straciłem — miłość oddałem niewieście. Dziesięcioro przykazań, różaniec i inne błogosławione i błogosławieństwo niosące rzeczy, straciłem w pogoni za ziemskim szczęściem. Lecz teraz jestem już znużony, głodny, nieszczęśliwy



— wracam, bo w tej pogoni okaleczały mi nogi — i iść dalej nie mogę. Lecz gdyby ból był mniej dotkliwy, długo nie pomyślałbym o powrocie. Panie Boże, połóż tę bezczelność moją w rzędzie skarłałych cnót moich. Wszechwiedzący! znasz mnie lepiej niż ja Ciebie, oszczędź mi długich wyjaśnień.

Wszechdobry! umiesz silniej kochać niż ja — to moja nadzieja. Wszechmocny! nie potrzebujesz mnie — ja ciebie bardzo — to mnie tłumaczy.

Są wprawdzie istoty, co głośniej o ratunek wołają — ale ty usłysz mnie! Są istoty, które zginą bez natychmiastowej pomocy — ale mnie pomóż najpierwej. I tak dalej — ciągle w kółko — ja — ja — i tylko ja!“

O! nie Siostro! nie mogę tak znieważać Boga. Pójdę i powiem jeno: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. — Przyjdź królestwo Twoje... a chleba naszego powszedniego daj dzisiaj...“

O! Biada! słyszę pukanie! to doktor! — Ewa otwiera drzwi. — Teraz się tu zacznie... Mój Boże! Mój Boże — znowu tyle męki, znowu te narzędzia, noże, lancety... Biedny Tom!... Jennie! Jennie! Powiedz mi prawdę! Jestże to życie warte tyle męki?

*Tom.*

*Brooklyn, 5 września 1900 r.*

### Droga Siostró!

Skoro tylko wrócę do sił — zostanę praczką. Ta gwiazda nadziei, tak przypominająca niestety! zapach i barwę mydlin — oświeca swym promieniem moje łożę boleści. Ewa siadłszy dziś na skraju łóżka, oznajmiła mi o zjawieniu się tej nowej planety, na naszym małżeńskim horyzoncie.

Mówiąc o tem wodziła swą miękką, nerwową ręką po mojem czole i włosach, tak miękko i serdecznie, jak za naszych pierwszych, poślubnych czasów. Pieściła mnie tak po macierzyńsku jakbym był jej dziecięciem — a może tylko wprawiała tym ruchem swą rękę do namydlania bielizny. Dziecko! rzekła, przyszła mi do głowy dobra myśl. Byłam już u wszystkich sąsiadów — wiedzą o naszym nieszczęściu i będą mi dawać robotę. Założę pralnię.

Tak mówiła Ewa. Teraz posłuchaj mnie. A zatem założymy pralnię. Jak tylko będę na tyle silny by wstać i módz o własnych siłach pić herbatę przy kuchennym stole — ubiorę się w długi, biały, krochmalny fartuch, zawiązany z tyłu szeroką taśmą. Doda się do tego norweskki czepek, może gorsecik — fryzję koronkową. Swoją drogą zatrzymam spodnie i będę nosił pantofle.

Będzie to w każdym razie świadczyć, że nie jestem pod pantoflem.

Kocioł do prania już kupiony, woda czeka w rurze, mydło obstalowane — no! a koszule, skarpetki i prześcieradła — te się jeszcze zbrudzą do tej pory.

Tak! do tej pory! Tymczasem bowiem nie mógłbym być żadną pomocą. Leżę w łóżku, tak słaby i nędzny — jak każdy, kogo krew ubiegła. Słyszę, jak moja droga, kochana Ewcia trzodzi się i krząta, obok w kuchni — lecz nie będę mógł jej długo jeszcze pomódz — a potem... ach!... jedną tylko ręką!

W każdym razie dzięki Bogu i za tę odrobinę nadziei, przynajmniej nie pomrzemy z głodu — Ewa, Bertie, Tom. Mieszkanie zapłacone za cały wrzesień — doktor nic nie kosztuje, Ewa i Bertie mają nowe buciki, ja nie potrzebuję żadnych.

Ale to, że ja, olbrzym, silny jak dąb leżę w łóżku, a moja na płuca chora żona, zapracowuje sobie przy balii ręce po łokcie, dla mnie i dla mego dziecka — Siostro! to boli — jak pchnięcie nożem w serce, to pali, zabija mnie. Gdy o tem myślę — budzi się we mnie wściekłość na tę bogatą, uprzywilejowaną klasę i nie mogę jej tych bogactw przebaczyć — nie mogę.

*Tom.*

*Brooklyn 9 września 1900 r.*

### Kochana Siostró!

Oto dobry dziś dzień przeżyłem. O dziewiątej godzinie zaczął się wybornem śniadaniem przy kuchennym stole. Wogóle apetyt mam doskonały a sen bez zarzutu. O dziesiątej godzinie przyszedł doktor. Kiedy już skończył opatrunek — rzekł mi raz pierwszy pocieszające słowa: „No! panie Pratt, rana się goi — za jaki tydzień sam będziesz pan mógł robić opatrunki“. Ach! to brzmi pocieszająco. Pozbyć się raz doktora, a nadewszystko jego lancetów i narzędzi. To przecie wielka istotnie ulga.

Po obiedzie... oto kulminacyjny punkt pomyślnych wypadków dzisiejszego dnia — po obiedzie więc, po raz pierwszy od tego nieszczęsnego wypadku, wyszedłem w świat. Dotąd krążyłem tylko między kuchnią i sypialnią. Aż dziś, uczułem nagle szaloną potrzebę wyjścia w szerszy, wolny świat. Wziąłem więc czapkę, surdut i laskę — i wyszedłem na korytarz. Powiodło się — aż do schodów dostałem się bez żadnego wypadku — ale tam — hm! Jeszcze trochę nogi drżą podemną — a schody także — co zaś najgorsze — poręcz jest z lewej strony — o ile się schodzi. Bądź co bądź, złożyły się aż trzy trudności. Ale tęsknota za wolnem powietrzem, za ulicą, była silniejszą niż

rozsądek, nawet niż prośba mej zastraszonej Ewy— i jak rak idąc tyłem, zszedłem ze schodów. W ten sposób poręcz znalazła się po mojej prawej stronie i służyła mi za podpore. Śmiesznie to jednak musiało wyglądać, bo Ewa się śmiała. Tak! tak! miła żonko, cofamy się jak raki. Na dole musiałem odpocząć. Po drodze spotkałem przechodzącą stróżkę. Widząc mnie zwróconego tyłem, sądziła, że już wracam. Pozdrowiła mnie serdecznie. „Ach! panie Pratt! Był pan na spacerze, piękna pogoda, nie prawda?”

O! Wolności! w najlichszej nawet postaci jesteś królową darów bożych.

Odrobina słońca nad miastem zaszła wyziewami pary, błękit zaćmił się dymami metropolii — powietrze ciężkie, duszne i gęste — każde zrodzone źdźbło trawy przygniata ciężki kamień — drzewa zwyrodniały się w karłowate krzaki — ziemia nieszczęsna — ziemia bolesna. Cała natura okaleczała, zeszpecona przez ludzi, goniących jeno za zyskiem.

Zburzyli wzgórza, zapełnili doliny, zniszczyli pola, łąki i lasy. Zasypali gruzem, zatamowali źródła — jak pulsujące życie. Wybrzeża zatoki otoczyli murem i palami. Uroczy zakątek ziemi zamienili w jakiś duszny, zadymiony, zakopcony aglomerat ulic, domów, fabryk, kamieni, magazynów. Piekło dla tysiąca! — Wiem to, czuję — a jednak zostało tyle, mimo tego wandalskiego

zniszczenia, by napełnić zachwytem, biedne serce moje.

Całą godzinę spacerowałem w ten sposób po naszej dzielnicy i w końcu fizycznie wyczerpany, lecz odświeżony na duchu, wróciłem do domu. Bertie z głośnym okrzykiem wybiegł na moje spotkanie. Trzymał w ręku jabłko i wołał: „Ojcze! to pocziwa p. Finerty mi dała i jeszcze trzy dla ciebie i mamy“.

Istotnie. Do Ewy przyszły jej przyjaciółki. Zasiadliśmy w pięć osób za stołem i śmialiśmy się, gadali, bawili, dopóki nad miastem nie zawisł chłodny, cichy wieczór, wołając ludzi do spoczynku i snu.

*Tom.*

*Piłot Kart 12 września 1900 r.*

### B r a c i e !

Dzięki Bogu! Listy Twe tchną jakąś większą otuchą. Między liniami czytam, że lżej Ci, że odwaga, ufność, nadzieja, to wszystko, bez czego upadlibyśmy pod ciężarem krzyża — wraca znów do Twego serca.

W ten sposób będziesz się mniej wyczerpywał, a gdy ręka zagoi się zupełnie, to — no! przecież musi się znaleźć coś odpowiedniego dla Ciebie. Przecie tyle kalek żyje — tyle jest ludzi

bardziej nieszczęśliwych bezradnych, niż ty, a wszyscy mają co jeść, pić i w co się ubrać. Czemu więc przesądzać? Odwagi tylko, drogi bracie! Nie możemy, czy też nie powinniśmy być zupełnie szczęśliwi w tem życiu. Wszak nawet najszczęśliwszy ma swoje troski i niedole. Łez jest tyle, że nie otrzemy ich nawet obiema rękami. Ach! starczyłoby ich nawet dla trzech! Nie na śmiech — nie na radość, powołał nas stwórca do bytu — my mamy inne, święte, tajemnicze zadanie — ducha wyzwalać.

Jakże więc jesteś małodusznym, by zaraz przy lada nieszczęściu — tak tracić rozsądek... — Ale nie! nie chcę Ci nic wymawiać biedny Tomie! Rozumiem ile musiałeś wycierpieć — ach! cierpisz jeszcze... Ale nie mówmy już o nieszczęsnej przeszłości — zajmijmy się przyszłością.

Bracie, ty sam mówisz, że twój pracodawca odnosi się po ludzku do Ciebie. Czyż to nie daje Ci nadziei, że jakąś pracę w jego fabryce dostaniesz? Naturalnie nie przy pile, ale jakąkolwiek inną. A choćby nawet nie w tej fabryce, to się znajdzie coś — gdzieindziej — świat szeroki. Teraz z każdym dniem będziesz silniejszym i łatwiej opamiętasz się, a jak raz dostaniesz się między ludzi — w gwar i hałas uliczny, to przyjdzie też i otucha. Wiem z doświadczenia, że nic tak nie przygnębia, jak beczynne leżenie w łóżku, gdy jedyni nasi towarzysze — to ściany i sufit. Wogóle

należałoby do cudów, położyć się do łóżka i nie zachorować.

A potem pamiętaj braciszku, pamiętaj o Twem przyrzeczeniu — idź do kościoła. Jak tylko będziesz mógł wychodzić z domu — idź do kościoła! Najwięcejby mnie ucieszyło, gdybyś wybrał katolicki. Wychowano Cię w tej wierze i ledwo przestąpisz próg, poczujesz się jak w domu. Wszystko tam wołać ku Tobie będzie i zbudzi moc obrazów co od lat dziecięcych drzemią w twojej duszy. A bliskość Boga i wspomnienie tak bardzo odległego dzieciństwa — dwa tak sprzeczne bieguny — dadzą Ci wielkie i święte wzruszenie. Chyba nie miałbyś w żyłach tej samej krwi co ja. Sam przecie mówisz, że otoczenie więzi człowieka, lub go w dal niesie. My ludzie z łaski Boga możemy do pewnego stopnia, wybrać sobie jakieś środowisko. Ty wybierz kościół, to najodpowiedniejsze schronienie przed burzą życia. Wraz z ubogimi w duchu klękniij przed wiecznem Światłem i módl się — nie krytykuj, nie badaj — módl się. Nie rozmyślaj, bo snadnie stać byś się mógł za mądrym, za uczonym, a wzrok Twój zabłąkałby się na niedocieczonych szlakach. Religia musi być dla Ciebie świętą, niejasną, mistyczną, a wobec cierpień ludzkich jest konieczną.

Czemże jest cały rozum ludzki wobec tej nieodgadnionej potęgi?! Najmędrszy chodzi po omacku, a maluczcy trafiają najłatwiej.



Lecz dość o tem. Wracam do prozy życia — tej najsuchszej prozy — do mojego Piotra. Mój kochany małżonek kazał Cię stokrotnie pozdrowić, oraz powiedzieć, że Ci serdecznie współczuje itd. No! jeżeli Piotr Ci współczuje — jeżeli to tę skałę wzruszyło — bracie! to już możesz liczyć na jego sympatyę. To nie wiele — ale to wszystko, na co się zdobyć może. Pomyśl — 10 do 12 godzin dziennie machać łopata, kilofem, kopać, ryć w ziemi — na brzuchu lub plecach, pełzać, leżeć w błocie, lub w czarnej błotnistej wodzie — jak ostatni zwierz. Mieć ciągle przed oczyma niebezpieczeństwo śmierci, trupy uległych nieszczęściu towarzyszy — nie wychylać się wcale na blask i błękit nieba — żyć w ciężkiem, zgniłym powietrzu szybu kopalni. Czuć noc i skałę gniotącą ciągle pierś — na równi z przemoczoną bielizną...

Ach! Bracie! litość z takiej otchłani dobyta — to najczystszy, najwspanialszy ton duszy ludzkiej. A więc stwierdzam raz jeszcze, Piotr współczuje Ci.

Moje dzieci co wieczór odmawiają jedno „Ojciec nasz“, za wuja Toma z Brooklynu. To czyni sześć pacierzy. Mam nadzieję, że wkrótce Twój będzie siódmym. Siedem, to święta liczba — błogosławiona, magiczna liczba. Nie powinno się nigdy poprzestać na sześciu, lub pięciu. Ach! muszę tutaj zaprzeczyć mej własnej mądrości. Nie chciałabym nigdy mieć więcej dzieci nad sześcioro —

jednakże przy głosowaniu z Piotrem, zawsze ulegam i siódme... Ssst!... fe!... pfuj!... Wstydz się Jennie! Mam wielką ochotę przemazać to. — Bracie, ile razy coś mi się tak ni w pięć ni w dziewięć roi, dziękuję Opatrzności za ten ciężki ołowiany pion, który mi się pochylić nie dozwala — bez tego krzyża, który niosę — gdzieżby mnie uniosły rozhukane moje myśli?...

Muszę Ci jeszcze przesłać wyrazy współczucia i pozdrowienia, od Twego towarzysza szkolnego Dicka Teller'a. Chodzi on także z ręką na temblaku, a jego brat Bill, wogóle zupełnie nie chodzi — leży w łóżku walcząc między życiem i śmiercią. Obu spotkało nieszczęście przy podpieraniu sztolni kopalnianych. Trzeciego wyniesiono z tamtąd trupem — ojciec licznej rodziny. Boże! co tam było jęku! Mieszkają obok nas i całą noc słyszeliśmy rozpaczliwy płacz matki i dzieci. Teraz pojechali do St. Louis, do krewnych.

A tak! biedni muszą wiele trosk dźwigać, wiele nędzy i ciężkie krzyże. Zdałoby się, że cały ciężar życia spadł na biednych. Co prawda — bogatym jeszcze gorzej — muszą sami sobie zmartwienia tworzyć — my je dostajemy w podarunku.

Lecz oto już koniec. Papier się kończy: jak i zawsze wskutek krzywych linii — z prawej strony. Co prawda, to się zawsze zdarza, ilekroć piszę. Dowód, że jestem niewprawna pisarka. Nie

mam miary w oku i nic nie wiem o prawidłach pisania.

Czasem śmiejąc się myślę — jak wiele bym tak z tobą gawędzić mogła, gdyby arkusz na tysiąc mil się liczył. Bracie! przeszłabym w ten sposób Missouri, Illinois, aż do Nowego Yorku — do Ciebie!

Przesyłam serdeczne pozdrowienie dla Ciebie, Ewy i Twojego syna. Ach! prawda — byłabym zapomniała — dla Bertie łączę serdeczne życzenia w jego czwartą rocznicę urodzin. Pocziwe dziecko!

*Jennie.*

*Brooklyn 17 września 1900 r.*

### Droga Siostró!

Wywiązałem się z danego Ci przyrzeczenia. Byłem wczoraj w kościele — w dodatku na sumie. To Cię powinno ucieszyć. Zdziwisz się jednak, gdy się dowiesz co stamtąd wyniosłem. Dlatego też piszę ten długi — za długi może list.

Ledwo przestąpiłem próg świątyni, a owionęła mnie tęsknota za domem rodzinnym — tęsknota — tak nagła, potężna, że szedłem przez kościół jak w śnie, jak lunatyk. Odzyskałem zupełną świadomość dopiero gdy ukląknę w ławce pod jedną ze ścian. Przedemną klęczeli pobożni

za mną rozlegał się szept modlitwy. Moja sąsiadka, młoda dziewczyna zwracała uwagę spuszczonei pobożnie powiekami; obok niej siedziała jakaś starowina — już chyba za życia zbawiona. Byłem zatem w dobrym towarzystwie. Ostrożnie, aby nie wzbudzić jakiegoś szemrania oglądałem się w koło. Zobaczyłem wiele nowych a — przecie znanych mi rzeczy — i wiele starych co się nowemi zdały. Zobaczyłem też licznych znajomych z dawnych czasów — niektórzy pozdrowili mnie po imieniu. Nawa kościelna była piękna — budowa, rzeźby, malarstwo, usuwały się z pod wszelkiej krytyki i były godne pochwały. Pełna uroku harmonia, owiana jakimś tajemniczym półcieniem, zdawała się unosić wśród nawy. Światła gdzieś w głębi tęczowe blaski barwnych witraży, zlewały się w jakiś potężny akord, ogromnej symfonii blasków.

Wszystko to nawet codziennego gościa przejmie skruchą i skupieniem. Jakże więc musiało działać na mnie? Czułem gdzieś, w głębi piersi jęk, łkanie — chwila, a zamieniłoby się w spazmatyczny wybuch. Łzy zaćmiły mi oczy — ach! dwie nawet stoczyło się szybko i spadło na pusty rękaw... otarłem oczy...

Pochyliłem głowę bezradnie — z takim poczuciem nędzy... Ja — grzesznik, ja — bluźnierca — zbrodniarz, żebrak, zmuszony nędzą kołatać do drzwi, które za dobrych swych czasów oplwał drwiną i sarkazmem. Chyliłem głowę coraz niżej —

a między mną i Bogiem — między Bogiem a mną, wstawały z prochu, zapomniane winy moje.

Obejrzałem się w koło — przedemną, za mną, koło mnie — tłum na klęczkach — tłum się modli, chyli, płacze... Są tacy co się wcale nie modlą — są bogaci i nędzarze, strojni i nędznie odziani. Biedni — bardzo biedni, lecz najbiedniejszy — to ja. — Wszyscy mogą, umieją się modlić — ja — nie. Wszyscy umieją wierzyć — ja — nie! Wszyscy mogą obie ręce do modlitwy złożyć, ja — nie! Co ja robię tu? Boże! Boże!

O! jeśliś jest tam, w górze — ty! tysiącem serc przeczuwany — Boże! odwróć odemnie tę najgorszą z nędz moich — oddaj mi własność moją, straconą dawno — moją wiarę dziecka. Nagle rozległy się ciche, słodkie tony — to organy a potem jak wielki hymn z przepełnionej piersi, radosne *Kyrie* i *Glorya*. Związały się w jedną pieśń, tony i szept ludzkiej modlitwy — sztuka i samorodny krzyk piersi ludzkiej i popłynęły górą. I ścisnęło się bolesnym kurczem biedne serce moje i padały zeń zwolna wielkie, ciężkie, krople krwi...

O! serce, tyś niewolnikiem ciała — jeżeli nie na wieczność, to na życie całe. Duch? duch wolny i z marzeniem swem leci w przestrzeń. Ach! duch ten uśmiechnięty, zdradny tytan — porywa mnie i na skrzydłach orlich niesie tam — w dal — do domu mego. Oto skinał czarodziejską pałeczką.

Przedemną leży drogie, kochane Pilot Kurt. W blaskach południowego słońca złocą się wzgórza, doliny, niwy, pola, lasy. Oto dom mój rodzinny — dalej — chaty biednych, znanych niegdyś ludzi, a jeszcze dalej... to chata Jennie!... widzę jej dzieci, męża, ja samą. Siedzą oto pod cieniem dzikiego orzecha — bawią się i tam przecie niedziela.

Patrzę jak na cud! Ach! to wszystko zdziałał ten mały — a tak potężny i wszech wiedzący duch mój. Skinął po raz drugi laseczką. Noc — góry i doliny pochłoneła noc — wszystko ujęte snem. Niebo usiane gwiazdami, jak pole kwieciami, zawisło nad ziemią — tuląc w swych ramionach i gdzieś na południe czarowny kraj Arkadyi — i śnieżne szczyty północy.

Gdzieś na łące szemrze cicho strumień, zawodzi z wiatrem rozwiany liść wierzby cmentarnej. Ach! mogiły?! rysują się nie wyraźnie — mglisto, w cieniach nocy. Księżyc zajaśniał mocniej — czytam napisy: „Tu spoczywa...” jakiś ojciec, dalej matka, dalej ktoś inny... Spijcie! spoczywajcie w pokoju i ty ojczu i ty matko — pomarli już, choć prawie wcale nie żyli.

Księżyc zaszedł za chmury — zamgliły się chaty na wzgórzach... tu i ówdzie jeszcze gdzieś w pomroce błysnie mdłe światło... Coś znowu widzę....

Kraju! rodzinny mój kraju! Troska, nędza, ból, cierpienie?! czemże jest troska — i ból i nę-

nędza tam — w ojczyźnie! Dziecię cierpiące — na łonie matki pocałunkiem do snu kołysane? Czemże jest cierpiące dziecko, oderwane od macierzyńskiej piersi, którego nikt pocałunkiem nie utuli. Czemże jest troska i ból i cierpienie w dalekim obcym świecie — gdzie fala ludzi — jak morza fale szepce: Otoś samotny, zgubiony, na wieki samotny... Nagle — ocknąłem się. Strwożone mary pierzchły, wróciły nazad do piersi mojej... Tłum koło mnie powstał, ksiądz śpiewał głośno ewangelię. Podniosłem się, choć trochę zapóźno. Słuchałem. Śpiewał po łacinie. Z przyjemnością skonstatowałem, że w tym wypadku nie jestem odosobnionym. Nikt koło mnie nie rozumiał ni treści, ni słów „dobrej nowiny“. Na zakończenie ksiądz ucałował obojętnie księgę. Był to znak, że można napowrót usiąść.

Zdawało mi się, że teraz ma nadejść główny moment nabożeństwa. Tłum zakołysał się koło mnie. Kto tylko miał gardło, ten pluł, kaszlał, ucierał nos, popychał, sadowił się, poprawiał. Rzekłbyś ludzie przygotowywali swe serca, by godnie przyjąć ów posiew Boski, co miał paść w tę bujną niwę. Ospale zwrócił się ksiądz do ludzi i zwolna czytał:

„Dziś mamy szóstą niedzielę po Zielonych świątkach, (czy coś podobnego; wszystko w końcu jedno).

W przyszły czwartek odbędzie się uroczystość Wniebowstąpienia Chrystusa Pana.

Na środę wypadają suche dni.

W sobotę także.

W piątek tak samo.

Bardzo biedni ludzie, którzy w post żywią się jedynie suchymi kartoflami z solą, są od postu zwolnieni, oraz chorzy i małe dzieci.

Składka w ostatnią niedzielę wyniosła 196 dolarów 45 ct.: a więc o 22 dolary 17 ct. mniej niż w poprzednią niedzielę. Jeden członek parafii dał 10 dolarów, 22 członków po jednym dolarze, 66 po 50 ct., 84 po 25 ct., 710 po 10 ct., 349 po 5 ct., 2.200 po jednym cencie“. Potem nastąpiło surowe wypomnienie skąpstwa parafianom, zwrócone szczególnie przeciw tym, co dawali po jednym penny. 400 dolarów na dwie składki, to nawet nie utworzy marnych 25.000 dol. na rok, wliczając procenta“, krzyknął kapłan — w obliczu rozpiętego na krzyżu Chrystusa, owego bosego i ubogiego Nazarejczyka.

„Co poniedziałek odprawi się Msza św. na intencję tych, co dają po 10 ct., lub więcej, przy każdej składce. W środę, odprawi się Msza św. za zbierających kollektę. We czwartek, specjalna składka według listy — dziś także zapada termin opłaty za krzesła w kościele. W te oto skarbonki składać należy święto-pietrze i zasiłki dla missyi indyjskich. Dziś o godzinie siódmej odbędzie się muzyczny występ, ulubionego ojca Benetta, wraz



ze świetlnymi demonstracyami tutaj w kościele. Wstęp: 50 ct., 75 ct. i jeden dolar i t. d. i t. d.

Dzięki Bogu! wytrzeźwiałem zupełnie. Wszelkie idealizowanie, w obec takiej litanii liczb przy wielkim ołtarzu — ulotniło się jak kamfora.

To jedno odtąd tylko wiem na pewno, że pasterz dusz, przedewszystkiem pasie własne ciało.

Tłum znów powstał. Ksiądz czytał ewangelię, tym razem w dobrej angielszczyźnie. Była to przypowieść o królestwie niebieskim, które jest podobne do gorczycznego ziarnka. Przypowieść tę znałem jeszcze ze szkolnej ławy.

Potem znów wszyscy usiedli. Wogóle siadali i wstawali jak na komendę. Spocząć nawet nie było można. Ciągłe trzeba było się zniżać, podnosić, łamać ciało — zupełnie jak w szkole gimnastycznej. Cierpią na tem szczególnie kolana nie przywykłych nóg.

Potem nastąpiło tak zwane kazanie. Ksiądz dorzucił do owego gorczycznego ziarnka biblijnego i od siebie ziarn kilkoro. Sądząc po tytule, spodziewałem się czegoś lepszego. Tymczasem była to wodzianka, bez soli i pieprzu.

Ja wiem, to grzech dyktować świątobliwemu człowiekowi co ma mówić, ale on sam mnie poniekąd uprawnia, czytając tekst z góry.

Teraz wszedł na ambonę i jak z twierdzy bombardował mnie ztamtąd argumentami kazania w imię tego, że kazanie ma na celu oświecenie,

pouczenie słuchacza, zaczął nas pouczać. Właściwie mówiąc, nikogo nic nie nauczył. Człowiek tak pozbawiony wszelkiej treści uczyć wogóle nie może — by uczyć, trzeba posiadać obok darów Ducha św. jeszcze mądrość i wiedzę. Ten zaś świątobliwy człowiek dalekim był od wszelkiej uczoneści<sup>1)</sup>).

Stwierdzenie tego faktu sprawiło mi pewną przyjemność — nagle pomyślałem o mej odciętej ręce, o 20,000 dollarów i dzika wściekłość wzburzyła wszystką krew we mnie.

Doprawdy, głowa tego człowieka była tak pusta, czcza, bezduszna — tak opróżniona z wszystkiego, jak mogą być tylko piwnice Wirginii, po zakwaterowaniu wojsk skonfederowanych. I tę czczość własnej duszy chciał mi przehandlować

---

<sup>1)</sup> W całym ustępie gra wyrazów, której w polskim języku oddać niepodobna, polega na ciągłym przeciwstawianiu słowa „Lehrer“ — nauczyciel, słowu „Leerer“ — próżny, pusty. Litera „h“ różniąca te dwa wyrazy bez zmiany ich fonetyki, daje autorowi assumpt do dalszego kalamburu, mianowicie ze słowem „Haar“ — włos. W oryginalnym ustępie ten brzmi jak następuje:

„Ein Leerer kann nicht lehren. Ein Lehrer kann lehren. Ein Leerer kann höchstens Taschen leeren. Ein Leerer kann aber gefüllt werden, nur soll er gelehrt werden, muss er gefüllt werden, mit Weisheit, Wissen, mit den sieben Gaben des heiligen Geistes; so wird der Gelehrte gelehrt. Der Unterschied zwischen gelehrt und geleert, dreht sich ums „H“ rum. Ich könnte somit sagen: der heilige Mann ist ums „Haar“ ein gelehrter. (Przyp. tłumacza)

niby jakiś towar z nieba, niby wytwór Ducha św. Żądał jeszcze w dodatku, bym go odczuł, zrozumiał — by te bezduszne słowa jego, pokrzepiły spragnioną duszę moją. Bym z pustki, którą wiały, wyłowił dla siebie wiarę, nadzieję i miłość.

Jasnym jest, że żeby zostać księdzem trzeba 20 lat studyować, ale 20 lat studyować i palnąć takie kazanie — to wyprowadziłoby i świętego z równowagi.

A przecie... przypowieść o ziarnie gorczycznem — co to za pole dla mówcy! Może on duchem przemierzyć całą przestrzeń, gdzieś od podstaw ziemi, do niebios sklepienia, przebyć wszystkie przepastne otchłanie, wznieść się na niebotyczne szczyty. Może słuchaczów swoich porwać, jak burza porywa z sobą i niesie liść zerwany. Widocznie nie rozumiał wcale świątobliwy kapłan znaczenia tej przypowieści, lub też pomieszał ziarno gorczyczne z ogórkami, szpinakiem i sałata.

Słowa tak pozbawione iskry zapалу nie mogą go wzbudzić w słuchaczach; to też na stu wiernych, co najmniej 20 procent drzemało w najlepsze — drugie 20 procent nudziło się, a reszta robiła przegląd starych znajomych w nowych sukniach, byle czas zabić. Co do mnie, przyglądałem się jakiemuś obrazowi na ścianie. Przedstawiał on Chrystusa upadającego pod ciężarem krzyża. Wzruszający obraz! To co dobre, szlachetne, czci-

godne — leży w prochu u stóp tryumfującej brutalnej siły. Biedny Jezus!

Potem padły moje spojrzenia na senny tłum koło mnie. Zastanawiałem się czyby znalazło się wielu wśród tych chrześcian, coby chętnie skoczyło z pomocą temu Chrystusowi, gdyby nagle zjawił się żyjący, tu, w tym kościele, z tym ciężkim krzyżem na ramionach.

Wszyscy? O mały włos nie parsknąłem śmiechem, spojrzawszy na te wystrojone damy w jedwabiach, strusich piórach, w brylantowych kolczykach. Potem wzrok mój pobiegł do tej biednej starowiny obok mnie, w nędznej chuście i prawdopodobnie w wykoszlawionych bucikach.

Potem przyglądałem się innemu świętemu, postawianemu wzdłuż ścian. Stał tam jakiś mnich, wyciosany z drzewa i pomalowany. Trzymał na ręku dziecię. Boże! ileż ten święty musiał by się jeszcze wyrzec, by być niewinnym jak dziecię, ileż jeszcze nauczyć się, by być tak prostym jak dziecię ...

Dalej, też z drzewa wyciosana stała zakonnica z różańcem w ręku, z oczyma wzniesionymi w niebo. Podziwiałem tę kamienną obojętność zakonnicy, nie jej posągu, obojętność na gwar i ból świata — obojętność dla sióstr swych ginących w okrutnej walce z życiem. Jakże mało troszczyła się ona o cokolwiek, byle samej dotrzeć spokojnie do wrót niebieskich. Tak! samej — bo

kogóż ona uratuje z tego tłumu dusz ginących? — Sama siebie — swoje własne „ja“.

I pomyślałem nagle o matce, o żonie, co ratując dziecię, lub męża, sama tonie...

Stało tam wzdłuż ścian dużo świętych, wydłubanych, chciałem rzec: wyciosanych w drzewie, wyheblowanych nawet, ale zato pięknie złożonych. Rzekłbyś, wystawiali na pokaz swoje naśladowania godne cnoty. Byli to wszystko młodzi mężczyźni i kobiety, co umieli wynaleść sobie najprostszą dróżkę do wiecznej szczęśliwości. I tylko najświętszego ze świętych — nie było tam. Nigdzie nie zobaczyłem obrazu biednego, nieszczęśliwego ojca rodziny, co życie całe strawił, płuca wykaszłał w kurzu i prochu swego warsztatu, pracując uczciwie dla żony i dziecka. A także nie było tam ani jednego rodowitego Yankesa. Wszystko cudzoziemcy o obcych twarzach, sukniach, pewnie o obcych obyczajach. A tam gdzieś w górze na przedniem oknie chóru — palił się w blaskach słońca, jakiś witrażowy święty — i szły od niego barwne smugi na cały kościół.

Ale kazanie skończone — koniec też moim fantastycznym myślom. Wszyscy, absolutnie wszyscy uczyli ulgę. (Można to zrozumieć jak się komu podoba).

Potem odbywało się nabożeństwo dalej — z całą usilnością — by je Bogu jak najmilszem uczynić. Ale jeszcze jedno! Pod koniec podsunięto

pod nos każdemu z modlących się koszyczek, co miał się wypełnić pieniędzmi — tym „wymysłem dyabelskim“, jak mówił prorok Jeremiasz, czy Herod?

Gdzieś tam czytałem, że pieniądze są wymysłem szatańskim. W tem też leży zagadka, czemu pasterze dusz tak je troskliwie zbierają. Im mniej bowiem pieniędzy między owieczkami, tem mniej wymysłów dyabelskich. Więc! dawać tutaj te wymysły!

Amen! nabożeństwo skończone. Trwało pół-trzeciej godziny!

Boże! jakiś ty mało wymagający!

A więc czas do domu. Skłoniłem się głęboko przed ołtarzem, nie bacząc na mój ścierpły kark, nogi i krzyż. Więc to się Panu Bogu podoba, takie męczenie ludzkiego ciała!

Zrobiłem też znak krzyża — to mi się powiodło. Na zrobienie krzyża nie potrzeba dwóch rąk, ale nosić go jedną... Boże miłosierny! czemuś mnie tak mało pocieszył w twoim własnym domu? — Wszyscy wychodzą weseli, uśmiechnięci — ja tylko stoję ponury na ulicy i wracam wzrokiem w głąb kościelną. A tak! wiarę trzeba z sobą wnieść — zdobyć jej tutaj niepodobna! —

A jednak na przyszłą niedzielę pójdę jeszcze raz — zrobię to — może przeżyję raz jeszcze ów cudny sen przeszłości. Marzenie! tyś jest największem szczęściem duszy ludzkiej. *Tom.*

*Pilot-Kurt 23 września 1900 r.*

**Drogi Bracie!**

Jestem Ci winną dwa listy. Oto jeden.

Byłeś więc w kościele — co? Poszedłeś modlić się — co?

A więc posłuchaj mnie teraz: Jesteś najbardziej zatwardziałym odszczepieńcem i cudem chyba uniknąłeś stosu. Nie idzie się przecie do kościoła, by krytykować proboszcza, ale by samego siebie krytykować. Nie idzie się tam by coś naprawiać, nie bierze się cyrkla, cala, centimetra, lecz różaniec i książkę do nabożeństwa. Ale Tom! Szatańskie szyderstwo przepoiło Cię do szpiku kości i chyba udławiłbyś się niem, gdybyś go nie mógł na cokolwiek wyładować. Chciałabym się znaleźć teraz przy Tobie — wytargałabym Cię za uszy co się zowie, biłabym Cię, tłukła, dusiła, rwała Ci włosy z głowy. Ty! bezwstydnym, niepoprawnym, beznadziejnie zgubionym grzesznikiem. Obrzydliwy jesteś! Czy to ma być owa przyrzeczona poprawa, żal, czy pokuta? Czy to ma być powrót do dziecięcej wiary, powrót marnotrawnego syna do ojca? Puść lepiej świnie na swoje miejsce, a prędzej bodaj kwikiem uproszą Ci przebaczenie, niż Ty sam.

Oto list jeden. Teraz drugi.

Drogi mój bracie! I wy wszyscy drodzy moi! Nie mogę się opamiętać od czasu Twojego nieszczęścia. Nie mogę sobie znaleźć miejsca — nie mogę — ni spać, ni pracować. W każdej minucie dnia myślę o Tobie i Twoich. Co się z Wami dzieje. Pisujesz często — to prawda, częściej niż śmiem się spodziewać — a jednak z jakimże utęsknieniem, jak niecierpliwie oczekuję Twych listów. Tyle mil nas dzieli; nie mogę Ci nic pomódz — sama jestem bezradna.

Ach! to serce ludzkie! Nie dość nędzy — trzeba jeszcze na dobitkę ją odczuwać. Czemu to Pan Bóg nam biednym dał możność współczucia zamiast bogaczom. A może to jest potrzebne do utrzymania równowagi świata — bogaci mają pieniądze — my serce. Nie! Bracie! ja nie chcę szemrać — ale gdy tak patrzę na sprawy tego świata, gdy widzę je tak popaczone — to nawet w duszy mej tak ufnej, budzi się trwoga, że nigdy zbawienie nie nadejdzie.

Bracie! ucieszyłam się niezmiernie z tego, żeś był w kościele. Doznałeś wielu wrażeń — widzę to z Twego listu. — Czuleś tęsknotę — żal? To dowód, że anioł boży wstąpił do duszy Twojej. Nie martwi mnie nawet to, żeś nie odzyskał wiary. Straciłeś ją tak dawno! Wiara nie wróci tak łatwo, jak te dary boże, co się jeno z lekka w życiu zaćmiły, a nigdy z Twojej duszy zupełnie nie znikły.



Co prawda, tych kilka ostatnich zdań należy do poprzedniego listu, drugi list zagarnia je bezprawnie — to niesłuszne — umieszczam je jednak tutaj, bo sądzę, że im krótszy będzie tamten — tem lepiej. Nie bierz też słów moich zbyt dosłownie. Ty wiesz, że moje pióro jest też w części odemnie niezależne i unosi mnie, jak Ciebie Twoje. Mogłabym też była, posłużyć się raczej arystokracją zwierzęcą, zamiast demokracją. Ale ci władcy świata zwierzęcego, lwy, orły i t. d. nie chcą mieć nic wspólnego z człowiekiem — żebrakiem. Ty masz słuszość, pisząc w jednym z poprzednich listów: „człowiek co żebrze, podlejszym jest od psa“.

Drogi Bracie! Rozmyślam ciągle nad Twoją przyszłością, aż do kompletnego zmęczenia. Niepodobna przecież abyś poszedł żebrać. Boże! jałmużna i mój dumny, dzielny brat!

Byłeś u Twego pracodawcy w Nowym Yorku? co on mówi, co myśli? Czy masz nadzieję, że Ci da zajęcie; lub przynajmniej komuś poleci? Wielcy panowie mają pod tym względem duże wpływy. Ej, gdyby oni chcieli, nie byłoby wcale głodnych na świecie.

Trudno sobie wyobrazić ilebym dała za to byście tutaj byli, tu, w Pilot-Kurt. Mam nadzieję żebym bodaj wyżebrała dla Ciebie jakie miejsce stróża, pisarza, lub w zarządzie kopalni. Tom! ja

mam dziwną bezczelność w zebraniu, gdy chodzi o innych.

Nie jestem jeszcze bardzo brzydka, a za to bardzo smukła, gibka, mam giętkie ruchy i błyszczące oczy — to wszystko popłaca u panów. Już dwa razy wydobyłam Piotra z kłopotu takimi sztuczkami. Piotr za każdym razem dostał jakieś miejsce, a panowie też coś dostali, to jest, pewną pobłażliwość z mej strony. O! Jennie wie bardzo dobrze, jak dalece może się upokorzyć żona dzielnego robotnika.

Jezu! rozhulałam się widzę na dobre. Nie tylko zużyłam tę krótką godzinę, którą mam do rozporządzenia z dwudziestu czterech, ale nadszarpanełam troszeczkę następnej. Bracie! żegnam Was wszystkich w imię Boże.

*Twoja siostra.*

*Brooklyn 27 września 1900.*

Kochana, poczc i wa Bratowo!

I ja piszę do Ciebie, bo chcę Ci podziękować za Twoją dobroć dla Toma. On zaraz lepiej się czuje po Twoim liście. Najpierw on czyta Twój list głośno, a potem ja sama sobie go czytam jeszcze raz. Nie mogę się nigdy dosyć nacytać i muszę płakać po każdym liście. Bo Ty tak

pięknie piszesz. Czasem, jak się w nocy nie śpi to się tak myśli, lub rozmawia; lub w dzień, gdy jakiś smutek przyjdzie, a wszystko źle idzie, to i ja wtedy tak myślę i modlę się do Boga żeby szło lepiej.

Toma spotkało wielkie nieszczęście z tą jego ręką. Potem jeszcze dwa razy obcinali mu rękę; raz w szpitalu, drugi raz tu, bo przyszło zakażenie krwi. A to dlatego, że mu w fabryce obwiązali rękę jakimiś pofarbowanymi gałganami. Doktor powiada, że to mu krew zatręło. Tom nie pisał Ci dotąd, że mu obcięli po łokieć.

Nie chciał pisać, bo mówił, że to Ci będzie przykre, ale ja piszę, bo teraz już jest lepiej. A potem Ty powiadasz, że Tom powinien mieć odwagę. A przecie on tyle cierpi, a nawet ani razu głośno nie krzyknął, choć doktor z jakimś drugim krajał ciało nożem i jakąś piłką. Tom tylko głowę przytulił do mnie a ja go trzymałam. To było straszne! O małoco nie zemdlałam i nawet chora byłam — nic tylko z litości. Doktor powiada, że go nie można chloroformować, bo bardzo dużo krwi stracił i mógłby umrzeć pod chloroformem.

Teraz już mu lepiej, już wychodzi, ale pracować nie będzie mógł. Okropność! przez całe życie!

Kochana Bratowo! Jeszcze raz Ci dziękuję za Twoje piękne listy. Pisuj często, Tom się tak cieszy z każdego listu. Poszedł dzisiaj do Nowego

Yorku. do swego dawnego pryncypała z prośbą o radę. Dlatego mogę pisać. Tom nie powinien o tem wiedzieć, że piszę do Ciebie o jego nieszczęściu; on nie chce, żebyś o tem wiedziała. Żałuję bardzo, że nie umiem porządnie pisać. Tylko przez jedną zimę chodziłam do szkoły, a potem do warsztatów tkackich w St. Louis. Tam się przecie niczego nie można nauczyć. Ty pięknie piszesz i jesteś dobra, nawet dla mnie, a ja nie jestem nawet amerykanką, jestem luterskiego wyznania i Bertie także, ale my kochamy Cię i Ty nas, a Pan Bóg kocha nas wszystkich — powinniśmy więc żyć w zgodzie. Spodziewam się, że po śmierci wszyscy i Tom i Ty i Bertie i Elsie i wszyscy moi i Twoi krewni i wszyscy poczciwi ludzie spotkają się w niebie, u Boga.

Kończę już i idę zmówić pacierz.

Twoja kochająca Cię bratowa

*Ewa Pratt*

*Pilot Kurt, 1 października 1900 r.*

Droga Bratowo!

Poczciwa duszo! o Ty umiesz listy pisać i to takie piękne, serdeczne listy. Nie myśl, że żartuję, mówię zupełnie seryo i poważnie. Twój list zrobił

na mnie głębsze wrażenie niż najpiękniejsze kazanie i zmienił zupełnie mój sąd o Tobie.

Pomyśl Siostro! nie wiedziałam wcale, że Ty umiesz w ogóle pisać Przecie byłabym nieraz napisała do Ciebie jakiś list, taki babski, swojski, jak to między kobietami — rozumiesz mnie?

Ale to ten nieznośny Tom temu winien — nie ja — naprawdę! A potem — Ty sama, droga Ewo, jesteś temu troszeczkę winną, że tak mylne miałam o tobie wyobrażenie. Pięć lat jesteś moją bratową i nigdy, ani jednego słówka nie napisałaś do mnie, choć Tom pisuje tak często. Nigdy nawet na moje liczne pozdrowienia, zwrócone wprost do Ciebie nie odpowiedziałaś; cały trud, jakby nawet nie był wart jednego ruszenia piórem, zostawiając twemu wiernemu bożyszczu, twemu mężowi i panu.

Doprawdy! to mnie oburza na Toma, lecz zemszczę się — zaraz — na miejscu. Zedrę mu maskę z twarzy, a tobie, biedna kobiecino zasłonę z oczu. Ba! mam z dawnych czasów jego listy piswane, odkąd opuścił Pilot Kurt. Między innymi jeden o Tobie. Posłuchaj.

*St. Louis, dnia...*

„Droga, jedyna, najlepsza Siostro!

Jestem ci... i t. d.“ ale oto co pisze o Tobie:  
„Ewa jest sierotą od dziesiątego roku życia, dziś

ma lat dwadzieścia. Jej rodzice to emigranci ze Skandynawii, Ewa to ich jedyna córka. Jest ona typową przedstawicielką północnych ras. Jasna blondynka, wysoka, smukła, śnieżno biała, spokojna, chłodna, lodowato niemal chłodna.

Serce jej czyste i tak jeszcze zimne, że tylko gorąca, płomienna, pełna żaru miłość, może je rozgrzać. Jest ona pierwowzorem kobiet: skromna, wierna, nieśmiała, trwożliwa, może za trwożliwa, bo lekliwość jej graniczy z tchórzostwem! By taką sarnę żywcem pochwycić musiałyby myśliwy być boskim Apollem i jak on włócznię swą ukrywać w różany wieniec, lub czemś na wzór okrutnej pantery, co z drzewa niespodzianie skacze na kark upatrzonej ofiary.

To pierwowzór chrześcijański: religijna, ufna, cierpliwa, pokorna, nie znająca zła, wierząca w dobro. To prawdziwy anioł, co w ludzkie ciało się obłókł. Piękna, jak on, jak on czysta. Ewa pod każdym względem przerasta mnie o całe niebo. Muszę się więc jej poddać. Zresztą to jedyna sposobność pogodzenia się z aniołem. Taką jest moja Ewa i takie jej jasne strony.

A teraz posłuchaj coś o ciemnych. Gdyby ta dziewczyna była dla oczu ludzkich niedostępną, to przysięgłbym, że niema wcale w niej stron ciemnych, że czystością przewyższa światło i słońce. Lecz Ewa, to istota z krwi i ciała i dlatego musi mieć swe cienie, jak każda rzecz na ziemi. Oto

one: Ewa jest bardzo biedna, bardzo niedoświadczona, bardzo mało wykształcona. To największy cień, co na tym tworze wiosnianym ciąży, jak ciemna noc zimowa jej północnej ojczyzny. Nie wiem, czy widziała kiedy wewnątrz szkoły. Obawiam się czy wogóle umie pisać, a czyta prawdopodobnie sylabizując.

Biedne dziecko! szło zamiast do szkoły, do pracy fabrycznej, by zarobić na swoje wyżywienie. Boże! zmiłuj się — co za los! Któż temu winien i t. d “.

### Kochana Siostro!

Widzisz więc kto mnie przywiódł do tego błędnego przekonania, że nie umiesz nawet czytać, ani pisać, i że wskutek tego musisz na zawsze pozostać obcą korespondencyi, jaką ja lubię i uznaję.

To on, Tom. Zapłać mu tam za to. Prawdę rzekłszy, domyślam się czemu on to zrobił. Oto chciałby Cię tak niepodzielnie posiadać, tak sam, na swoją własność, że boi się podziału nawet z siostrą, o tysiące mil oddaloną. To ta piekielna, wściekła, zazdrość męska.

Lecz dość o tem. Cieszę się mocno, że obecnie mogę moją kumoszkowatą korespondencyę nieco rozszerzyć. Otrzymasz jeszcze nie jeden list od Jennie, a i Jennie może jaki list od Ewy dostanie. Co to za śliczna może być przyszłość... Ach!

pomyślałem nagle o otwartej ranie odciętej ręki.. Ty biedna męczennico! coś Ty już znieść musiała, a co Cię czeka jeszcze! Straciłaś ojca, matkę, straciłaś dwa razy ojczyznę, straciłaś Elzę, tę tak gorąco kochaną, jasnowłosą dziecinę, straciłaś zdrowie, a wreszcie ostatnie nieszczęście krzyżem Cię przygniata do ziemi. I nie masz nikogo, ktoby Cię pocieszył, ukoił, sił dodał ...

Biedna! biedna kobieto! Niech Cię Bóg wspomaga. Drzę z płaczu, nie mogę pisać — napiszę później. Trudno mi Cię pocieszać, bo sama łkam i płaczę jak dziecko.

Bóg z Tobą i z Twoimi — bądź zdrowa siostró.

*Jennie Daly*

*Brooklyn, 5. października 1900.*

Kochana Siostró!

Tak! tak! hm! to za moimi plecami moja kobiecina i Ty jakieś tam macie konszachty! Bertie zdradził wszystko. O! Bertie to wielki szelma! Wszystko wie, a czego nie wie, to się domyśli. Po mnie już widocznie odziedziczył chybki język — to już taka dziedziczność chyba. Ja nie stworzyłem swojego języka, mój ojciec swego także nie. Wedle teorii Darwina, Prattowie zatem powinni pochodzić od owego żartobliwego ptaka przedrzeźniacza — w tym jednak wypadku łańcuch tego



dziedzicznego grzechu byłby za długi, by szukać winowajcy gadatliwości Bertie.

Koniec końcem Bertie rzekł:

„Ojczy, mama dostała list od listonosza i schowała go. A potem mi powiedziała: „Bertie, nie mów nic ojcu o tym liście, bo mama się będzie gniewać“. Więc ja przyrzekłem mamie.

„No! więc czemuż mi mówisz, badałem chytrze dziecko, jeżeli ci mama zakazała mówić?”

„Bo boję się, że będziesz zły ojczy, jeżeli ci nic nie powiem. Zresztą nie mów nic o tem, bo inaczej mama powie, że Bertie wszystko wypapła, a ja mówiłam żeby nie mówił, a on mówi wszystko“.

No! w każdym razie nagadał dość dużo.

Poco zresztą powierzać dziecku jakieś tajemnice, tę truciznę naszego wieku?

Zresztą „Wolność dla każdego i dla każdej!“ Nie wspomniałem nic o tem, trochę tylko dziwiłem się, skąd mógłby nadejść ten list tajemniczy. To chyba dość zrozumiałe. Lecz — o! zacna, poczciwa dusza! Mogę teraz śmiało zawołać: Mąż i niewiasta to jedno! bo ledwom wszedł znużony do kuchni, Ewa z płonącemi oczami oddała mi twój list -- ucałowawszy mię wprzódy. Czytałem, od deski do deski, a Ewa z całą sumiennością objaśniła mi szczegóły swojej najnowszej korespondencyi. Istotnie! cały wóz nowinek dla starej gadatliwej praczki pana Toma Pratta. Zemsta jest słodką! A ponieważ w ostatnich czasach dość się

nałykałem goryczy, chciałbym więc użyć słodyczy — choćby tylko zemsty. A więc zemsta! Nad Tobą siostrzyczko przy sposobności, a nad moją kobieciną natychmiast. Za jej plecami zdradzę tajemnicę, o której poczciwina myśli, że zamknęła ją na wieki w swojej piersi.

A zatem zdrada Nr 1.

Przed kilku tygodniami, daty już nie pamiętam, przeżyłem bezsenną, pełną męki noc. Moja ręka poszarpana i pomasakrowana dzień poprzednio przez doktora, bolała nieznośnie. O śnie nie było mowy. Na drugi dzień około południa usnąłem na chwilę. Zbudził mnie szmer rozmowy. To Ewa rozmawiała z kimś w kuchni. Nie mógł to być Bertie, na czas bowiem operacyi i przesilenia Ewa odesłała chłopca do jednego z moich przyjaciół w Nowym Yorku. Z kimże więc mówić mogła? Słów nie mogłem pochwycić. Dolatywały mię tylko jakieś szepty, śmiech, tłumiony płacz — czasem łkanie — nawet pocałunki. Siostro! Jestem człowiekiem! Całe bezdenne osłabienie nie zabiło we mnie zazdrości. Jeżeli Otello dla jakiejś głupiej chusteczki, wpadł w taką wściekłość, że własną żonę na śmierć w łóżku zadusił — to ja — psia-krów! byłbym chyba kłocem drzewa, gdybym wytrzymał w łóżku, wobec tych przeklętych pocałunków — jęku i łkań.

Chciałem się podnieść. Nagle wzrok mój padł na przeciwległą ścianę — i przerażenie ścisnęło

wszystką krew w mych żyłach. Na ścianie tej zobaczyłem coś takiego... Ach! właściwie nie zobaczyłem nic — tylko obraz, co tam wisiał — znikł — nie było go. — Zrozumiałem, odgadłem — przejął mnie lęk i groza. To Ewa wzięła obraz do kuchni — to Ewa rozmawia z dziecieniem. Mimo mojej choroby i osłabienia zdołałem zwlec się z łóżka i trzymając się poręczy, taczałem się w kierunku na wpół otwartych drzwi.

O Boże — miłości macierzyńskiej! Tak było istotnie. Ewa klęczała bokiem do mnie zwrócona. Przed nią na krześle stał obraz. Przytrzymywała go obiema rękami — chyliła się ku niemu, to znów podnosiła głowę. Chwilami cisnęła go namiętnie do piersi, lub tuliła do twarzy. Jej chuda blada twarz odcinała się w mroku kuchni niemal w nadziemskich, marmurowych liniach. Widziałem jej profil — suchy, cienki nos, subtelny owal, oczy pociemniałe — przepastne... Chwila, a pęknie szkło obrazka rozbite o marmur jej twarzy. Z ust tej matki rwały się bezładne słowa: „Dziecko, moje dziecko najdroższe! Elsie! gdzie jesteś Elsie!? W niebie? między aniołkami u Boga? aniołki ubrały Elsie w złotą koszulinę, w złote buciczki... i Elsie dobrze w niebie, bardzo dobrze w niebie... O! dziecko!“

Ostatnie słowo padło krzykiem z jej ust. Poprzednie płynęły cicho — niby westchnienia mi-

styczne grobu — niby świergot piskląt jaskółczych w rodzinnem ich gnieździe.

Boże miłości macierzyńskiej!

I znowu nieszczęśliwa ucałowała szkło obrazka. „Czy Elsie będzie kochać mamę, gdy znów do niej przyjdzie? Czy pamięta? Czy kocha jeszcze? Ojciec chory, bardzo chory! Ojciec i mama wnet do Elsie przyjdą — mama przyjdzie z radością — Tatuś też chętnie. Bertie chce się jeszcze chwilę pobawić, a później przyjdzie i Bertie i będziemy znów razem — wszyscy! Czy Elsie bardzo kocha mamę? Jak bardzo, jak bardzo?!“

Dławiący płacz wstrząsał jej piersią. Chude, szczupłe ciało, przez cienkie, ubogie sukieneczyny drżało, jak w febrze. W gorących kroplach biegła łza za łzą i z marmuru jej lic padały na szkło.

Boże miłości macierzyńskiej! gdzie jesteś?... Musiałem odejść; u tych drzwi niebieskich stałbym długo jeszcze... sił nie stało... Czepiając się ścian, wróciłem do łóżka. Spojrzałem raz jeszcze na ścianę — tapety, w miejscu gdzie obraz wisiał — były starte i podrapane. Często więc musiał ten obraz być już w rękach matki.

Zasnąłem...

*Tom.*

*Brooklyn 15 Października 1900 r.*

### Kochana Siostró!

Chciałem Ci posłać radosną wieść — czekałem na nią długo — czekałem na próżno. Zawiodła — zawiodła jak wszystko, na co się czeka, pragnie, spodziewa. Mój pracodawca, u którego byłem dwa tygodnie temu, obiecał mi dać odpowiedź na moją prośbę o pracę. Odpowiedzi dotąd niema...

Jestem tak rozpaczliwie rozstrojony — myśli mi się rwą i płaczą — nie mogę ich powiązać — powiaż je więc sama droga Siostró.

Świat! O! jakże pięknym wydał mi się on — gdy po raz pierwszy ujrzałem go w pełni — ja więziony tak długo w pokoju — co gorsza w łóżku. Chłodny, wilgotny wiatr szedł od morza — fale były jednostajnie i rzucały swe perliste piany na dziób okrętu. Melodyjny szum wód roztrącanych sterem, mieszał się z żalobnym krzykiem mew — kołyszących się w rannem powietrzu.

Nadlatywały one gdzieś z dali, padały piersią na fale wód, wzbijały się znów w górę, płynęły niebem — niby złociste skrety, na falach wolności. —

Tu i ówdzie snuły się po błękitnem, cichem sklepieniu zabłąkane chmury — niby myśli ludz-

kie ciągnące w przestwór daleki. Słońce, potężny władca światła, sypało gorące pocałunki na to miasto milionów, jakby chciało zcałować z powierzchni ziemi wszystkie ból, grzech, troskę, łzy... Tom otarł oczy — to wiatr rzucił mu wodę w twarz — stał przecie na pokładzie okrętu...

Ach! tak! mógłbym w ten sposób zacząwszy, stworzyć wielki, w niebo bijący hymn — na cześć piękna — radości — mógłbym go snuć — pókiby łzy kojące z oczu nie trysły!...

Ale odpowiedzi niema — słyszysz Siostrze?! dotąd czekałem — niema! To źle — to bardzo źle. O, gdybyś wiedziała cośmy tu w trójkę przez te ostatnie tygodnie przeżyli. Ile nadziei, wiary, oczekiwania, planów przyszłości — zawodów... Posłuchaj Siostrze, teraz o losach człowieka bez ręki i o jego żebraczej wędrówce za pracą.

Początek był wspaniały! Od samego rana niešťczesny żebraczyna rozpoczął swoją wędrówkę.

Nim wyszedł na miasto, włożył swoją najlepszą koszulę, ubranie, krawat, ułożył najprzyjemniej w świecie swą twarz. Z powagą zszedł ze schodów na ulicę — z powagą, niemal majestatem — siadł na statek. Tak! z majestatem! I widać to było potrzebnem do utrzymania jego duszy w równowadze, by ów człowiek wrócił wieczorem, tą samą drogą zupełnie zmieniony, rozbity, zgnieciony, w najgłębszem upodleniu żebraczem.

Droga z Brooklynu do Nowego Yorku trwała 20 minut. W Nowym Yorku szedł Tom wzdłuż długiej ulicy do swojej dawnej fabryki. To wyniosło po raz drugi 20 minut. O godzinie dziesiątej Tom był już w fabryce i zjawił się w kancelaryi swego dawnego przełożonego. Co za lęk i ile nadziei! Słyszał niemal bicie swego własnego serca — tak się głośno tłukło ze wzruszenia w jego piersi. Tu przecie miał usłyszeć swój wyrok. Bo gdzież indziej znajdzie miejsce, jeżeli go z tej fabryki wypędzą — ztąd, gdzie go wszyscy znają, szanują, gdzie w wiernej służbie rękę stracił?!

Gdzież pójdzie jeżeli ztąd odejdzie na wieki zgubiony, bez zajęcia?

Boże ubogich! nie daj Tomowi zginąć! Wspomnij na jego żonę — na dziecię! Boże! zmiłuj się nad Tomem.

Zapukałem i wszedłem. Przyjęto mnie zdumiewająco grzecznie — przyjęcie olśniło mnie wprost. Cały personal fabryczny skupił się koło mnie współczujący, lub tylko ciekawy. Stałem się tak nagle, tak niespodziewanie główną osobistością, centrum dla całego tłumu, jak gdybym był wzbijającą się w górę rakieta, co oczy rwie za sobą. Ach! ten wzlot w górę nie trwał długo. Rakieta rozbiła się nagle o ciężkie, czarne chmury, a z olśniewających jej blasków został tylko — kij i zebracza torba Toma.

Usiadłem w kancelaryi na brzeżeczku krzesła. Byłem tak oszołomiony lękiem, trwogą... Błagałem najpokorniejszym głosem o jakieś zajęcie. I istotnie — dostałem — zgadnij Siostró co? dostałem od pierwszej chwili w pierwszym zapędzie. Co za niespodzianka! Mój pracodawca ofiarował mi... nadzieję! On ma nadzieję, że będzie mógł mnie umieścić gdzieś — w jakiejś fabryce — nie w swojej — to niemożliwe — ale gdzieś indziej — tak się spodziewa — sądzi — niechybnie — prawdopodobnie — możliwe. Trzeba tylko poczekać — on zawiadomi pocztą. Wszystko jest możliwe — nie trzeba tracić nadziei.

Tak! tak! wszystko jest możliwe! To była cała litania słów — a na końcu zostało — zostało to samo: Boże zmiłuj się nademną!

Nadzorca warsztatu dawał mi jeszcze więcej nadziei, niż sam pryncypał. Miał on niewyczerpany zapas słów. Malował mi w wyrazistych barwach losy ludzi, co nawet obu rąk nie mieli, a jednak znajdowali miejsce.

Moi towarzysze pracy robili mi jeszcze lepsze widoki: „Tom, mówili, ty umiesz pisać, czytać — dostaniesz miejsce pisarza lub stróża.“ — Posługacz fabryczny zrobił nawet przypuszczenie, że strata ręki może mi przynieść szczęście. Gdybym je obie zachował — życie całe strawiłbym w prochu i kurzu fabrycznym — teraz zaś, może zda-



rzyć się coś takiego, co mi stworzy piękną tęczową przyszłość.

Zauważyłem, że im kto niższe zajmował stanowisko, tem piękniejsze malował obrazy przyszłości. Szkoda, że w fabryce niema psa; tenby ich wszystkich przeszedł w dobroczynności i ofiarował mi prawdopodobnie jakieś zajęcie, bodaj przy swojej psiej budzie. Przy tej sposobności poszedłem zobaczyć mój dawny warsztat i piłę. Jakiś człowiek znacznie odemnie starszy, słabszy i mniej zgrabny, zajmował moje miejsce. Uścisnął mi rękę, mówiąc, jak bardzo dziękuje Bogu, że Tom Pratt utracił prawą, czy tam lewą rękę — to mu już obojętne którą! Nie! tak nie powiedział — mówił tylko, że przez siedem tygodni przebiegał ulice Nowego Yorku, szukając zajęcia, dopóki nie stracił wszystkich zasobów.

„Panie Pratt, rzekł, gdybym nie dostał tego zajęcia — powiesiłbym się chyba. Tu zrobił wymowny ruch ręką, jakby mi chciał ułatwić zrozumienie swych słów. A więc moje nieszczęście uratowało mu życie. I niechże tu kto mówi, że tam w górze niema Opatrzności, coby niosła pomoc w sam czas. Ale tak — między nami powiedziawszy — nie jest to trudno być wszechmocnym, jeżeli wszechmoc polega na tem, by jednemu dać to, co się drugiemu zabiera.

Pożegnałem więc fabrykę z nadzieją powrotu. Wchodząc tam wierzyłem, wychodząc byłem... przy

nadziei. Każda kobieta na mojem miejscu poszłaby wprost do akuszerki.

A więc... drzwi zamknęły się za mną. Przedemną ulica. Więc tylko tyle zdołałem wyżebrać?

Ooo! w niedzielę byłem na mszy, Bertie modlił się swemi dziecięcemi usteczkami do Ojca ubogich. Modliła się żona moja... Obok fabryki stoi kaplica. Czuję się tak wyczerpany, zmęczony, beznadziejny — czuję taką potrzebę spoczynku, że zastanowiłem się dokąd iść? — Czy wprost skoczyć do Gast River, czy też wejść do tej kapliczki?

Wybrałem to ostatnie. Na jednej ze ścian przeczytałem napis: „Pobożny! wspomóż jakim darem dom Boży, by oczyścić z długów hypotekę“. To i ty Boże masz swoje troski?

Zmęczony upadłem na ławkę — lecz krzyża nie mogłem zdjąć z ramion. Trudno odpocząć z takim ciężarem na ramionach. Nie mogłem się modlić; dziękować nie było za co, a prosić i prosić w dodatku tego Boga, co swych długów hypotecznych zapłacić nie może — to świństwo, którego dopiero nauczyć się muszę. W każdym razie mogłem współczuć Wszechmocnemu. Nie było to istotnie najwspanialsze mieszkanie dla stwórcy wszech świata — który od gwiazdy do gwiazdy kroczy i któremu droga mleczna do stóp się ściele.

Kościółek tak nędzny! Wszędzie nagie deski, blacha, nigdzie ni wieży, ni dzwonów. Nie trudno

byłoby go nawet zamienić na stajnię lub wozownię. Ołtarz tylko zastąpić wozem siana, obrazy widłami lub grabiami — i przemiana gotowa.

Wrzuciłem centa do puszeki. Tobie ma ten cent pomódz — mnie nie zuboży, niechże tak będzie.

Gdzież teraz? Tych kilka schodków z kościoła na ulicę — też mnie chyba do nieba nie zbliży — gdzież więc iść?

Skierowałem się powoli ulicą w zachodnim kierunku — wlokłem się przed siebie bez planu, bez celu. Na jednym z rogów spotkałem człowieka, który niósł tablicę z napisem: „Pomocy! żebrak!“. Dalej spotkałem ucznia z tornistrem, człowieka zgarbionego pod koszem węgla, matkę z dzieckiem na ręku, śmieciarkę z torbą gałganów. Torba ta była tak wielką... no! czemuż mam mój dowcip grzebać — zanim zdechł — tak była wielka, jak planeta Wenus. Potem spotkałem dziewczynę uliczną — niosła fałszywe zęby, włosy i brylanty. Dalej jeszcze szedł pijak, ten obnosił swoje sfałszowane... nie! nie! najprawdziwsze w świecie — zazdrości godne, pijaństwo.

I tutaj nagle nadleciała ku mnie wizya. Ujrzałem świat roztoczony przedemną i jego tajemnicze prawa. Krzyknąłem nagle tak głośno, że kilka osób obejrzało się za mną. Zrozumiałem i nagle wszystko wydało mi się jasnym. Tak! każdy coś niesie — każdy, ludzie, świat cały. I na

tem, na tem dźwiganiu ciężarów jakichś opiera się budowa świata. Słupy kolei nadpowietrznej dźwigają pociąg, dom dźwiga swój dach, oprawca musi nosić swój stryczek, żołnierz karabin, generał swoje ordery, król koronę — a ja — ja... — rozpacz moją!

Nawet ten dom, tam na rogu, dźwigał szyld, a szyld napis: „Piwnice dla przechowywania mięsa, sera, masła, ryb, słoniny“, (szczurów, stonóg i robactwa).

Oto obraz urządzeń wszechświatowych, a system taki trwa wieki. Na świecie to tak jak w tej piwnicy. Lodu dużo, by serce ludzkie zachować od zgnilizny. — Ach! przewidująca opatrzność włożyła nawet ludziom bryłę lodu zamiast serca. To utrzymuje temperaturę w równowadze. Bracie! nie zapominaj nigdy o tem, byś miał lodu poddostatkiem. Na innym rogu zobaczyłem aż cztery karczmy szeroko otwarte, -- a tam dalej — za nimi widniał kościół z napisem nad drzwiami: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście...“ Czy jednak tych wyrzuconych z szynku — przyjmia tam — w tym przybytku spokoju?..!

Potem włączyłem się nieco, po tej bogatej dzielnicy Nowego Yorku, gdzie na każdy okręg miasta przypada aż czterech milionerów i... czterech zamiataczy ulic.

Obok stoi tryumfalny łuk Dewey'a. Komiczne wrażenie robi ten z gipsu odlany symbol patryotyizmu. Biedny Dewey'u! Przed rokiem byłeś potężniejszym niż Bóg sam — dziś jesteś bohaterem — w odstawce. Ja — jako robotnik w odstawce — jestem tylko tchórzem, ale mam to na pociechę, że wpierw umrę, a potem ludzie o mnie zapomną. O tobie zaś zapomnieli za życia.

Potem zwróciwszy się na wschód, zawędrowałem do parku. Tysiące biednych, bez pracy ludzi siedzi tu co dnia, oczekując swego Mesyasza, a gdyby park był większym i więcej było ławek, siedziałoby 10,000 w tem samym oczekiwaniu. Ach! miliony nawet. Potem nawpół tylko przytomnie skierowałem się ku rzece. Czego ja nie widziałem w tej mojej wędrówce — tysiące ludzi — tysiące rzeczy.

Siostro! Widziałem niebo pogodne — roziskrzone blaskiem — tam w górze — widziałem piekło wrzące płomieniem u stóp — widziałem to, coby do śmiechu pobudziło melancholika, a trzpiota zmusiło do płaczu. Widziałem — brud, kał, występki — co się nie rumieniły w świetle południowego słońca — chociaż ciemności je zrodziły. Widziałem — dobro, piękno, walające się w ściekach miejskich, choć Bóg za nie krew swą oddał. Widziałem dzieci — opuszczone, zaniedbane, dzieci niewinne, a już zbrodniarze — i widziałem pie-szczone pieski pokojowe, jadące na spacer w sre-

brnych karocach — z boną, lokajem — stan-  
gretem.

Widziałem ludzi głodnych, znużonych, giną-  
cych w nędzy — choć całe składy przysmaków  
leżą w sklepach — ludzi bosych, obdartych, zzięb-  
niętych, choć za wystawami piętrzą się stosy ma-  
teryi i butwieją.

Widziałem tych co padają z przepracowania  
i tych co giną bez pracy... Widziałem ludzkość  
całą stojącą na głowie — choć nikt na głowie nie  
chodzi. Siostró! widziałem w wędrówce mojej —  
jeden straszny — wielki, beznadziejny i bolesny —  
szpital waryatów.

Patrzę na ludzkość całą — widzę morze czarne,  
głuche, posepne — noc bez gwiazd — na fali okręt  
— przy żaglach i sterze ślepcy — busola w ręku  
waryatów — drogi dla okrętu nie widzę.

Patrzę na dziewiczą lasu głąb — na słońce  
drżące promieniami na złotych piaskach pustyni —  
na mdłą księżycową poświatę w blaskach śnie-  
żnych nocy — na kępkę fiołków tulącą się do  
brzegów strumienia — urok podbiegunowych nocy.

Ach! harmonię natury całej — widzę.

O! przedemną pole bitwy — jęk, krzyk, rozpacz,  
zmieszane, poprzewalane ciała drżą w przedśmier-  
nej agonii. Śmierć jak grom z nieba leci i powala  
walczących — śmierć jękiem ku niebu bije i o czarne  
chmury się roztrąca — dźwięczy stal — rozbrzmiewa  
krzyk nienawiści — to ludzkość cała — widzę ją.

— Tam gdzieś dziecię płacze — chore dziecię na piersiach matki — nędza — ból! Zapadły oczy w głąb wynędzniałej twarzy — drżą boleśnie ściśnięte usta. — W izbie mroźny wiatr hula i tańczy — głód — ostatni anioł stróż odleciał dawno — śmierć! — Ostatnie krańce ludzkiej nędzy... widzę...

A oto wytworna stajnia psów i koni — hala, pełna bogactw — światła — blasku, klejnotów, barw. Co psów w niej! buldogi, mopsy, pinczery, jamniki, charty, wszystko wypasione, radosne.

Konie o bajecznych cenach — tysiące tygodni roboczych biednego Toma nie opłaciłoby wartości jednego z nich. Dla nich te blaski i barwy — pieśzoty najwytworniejszych dam i panów, dla nich rozkosze życia.

Ach! lecz jednej łzy z tylu tysięcy oczu — jednej jedynej łzy — poświęconej nędzy i biedzie — takiej łzy — Siostro — nie zobaczyłem nigdzie!

Siostro!

Nie! nie! nie mogę tak posłać tego listu, nie mogę. Przeczytałem go sam — przeraża mnie wprost dzikość mojej fantazyi własnej.

Mój anioł stróż — żona moja stanęła przy mnie i dyktuje:

„Trzeba mieć nadzieję i ufność w Bogu — nieszczęściem doświadczają Bóg człowieka i po tej ścieżce bólu wiedzie go do wiecznej szczęśliwości.

To Bóg — to ojciec nasz — tak jak jest, z wolą jego jest. Człowiek nie zna i nie rozumie tej woli — lecz ją mądrość boska zrodziła. Bóg wie dlaczego na świecie są bogaci i biedni, głodni i syści — smutni i szczęśliwi — tak być musi. Przemienie troska, ból i nędza, ale szczęśliwość niebieska nie przemienie. „Ojcze nasz, który jesteś w niebie...“.

O! wiaro! ty jedna ciężki krzyż bólu unieść zdołasz na stromych ścieżkach życia.

Tak, w ten sposób wolno mi ten list zakończyć. Siostro! Bądź zdrowa...

*Tom.*

*Brooklyn, 22 października 1900.*

Moja Siostro!

Nie odpowiedziałaś na mój ostatni list. Zresztą zupełną miałaś słuszność. Takie listy — powtóry zasługują co najwyżej na milczącą pogardę. Najlepszy to sposób, by stłumić ich wściekłość. Tak! tak! Im dłużej myślę nad sobą, tem jaśniej widzę, że się muszę zmienić, do gruntu zmienić i to nie przekształcić, lecz kompletnie przebudować. Dobrze, że zdołałem to zrozumieć — to fundament, na którym stanie nowy gmach.

Po za tem, droga Jennie, nie mogę żądać byś tak często do mnie pisywała, jak ja do Ciebie



Masz za dużo pracy, a za mało czasu. Ja go mam tyle, że ten nadmiar czasu udusiłby mnie, gdybym go czemkolwiek nie zabijał. Do tego Ty Twoje listy musisz opłacać, mnie moje nic nie kosztują. To jest także jeden z tych maleńkich dowodów boskiej opatrności, której my krótkowidze dojrzeć nie możemy.

Na Wielkanoc dostałem 90 cent. w markach listowych od mego dawnego towarzysza pracy w St. Louis. W owym czasie kłąłem co się zmieści na podobny sposób wypłacania swoich długów i na skąpstwo, które mu nie pozwoliło posłać całego dolara. Obecnie błogosławię te marki. Tak to bywa!

Od mojego chlebodawcy dotąd żadnej odpowiedzi niema — i on pewnie nic dla mnie nie znalazł. Dziś dla zdrowego trudno o pracę — a tu — Boże się zlituj! — Kaleka także pracy szuka.

Przyrzekłem sobie być potulnym i cierpliwym. Niech tam sobie nieszczęście pohula ze mną, niech użyje ile tylko zdoła — niech wypróbuje na mnie wszystkich środków zagłady.

Jestem przy nadziei, wkrótce porodzę całą masę cierpliwości — całą armię. Później uzbroję tę armię w odwagę i hart i pójdę do ataku. Co dzień robię już przygotowawcze ćwiczenia w kierunku Nowego Yorku. Jeżeli nieszczęście nie wpadnie na ten nędzny pomysł wzięcia mnie głodem, to

odeprę wszystkie jego ataki. W zeszłym tygodniu powiodła mi się nawet wycieczka do Nowego Yorku. Zdawało mi się, że zdołałem na dobre przełamać nieprzyjacielską linię. Dostałem posadę agenta księgarskiego. Niewinna jak lilia. Pilot-Kurt dotąd pewnie nie wie nawet co to jest agent księgarski. Posłuchaj zatem miła Siostrzyczko! Od rana do nocy przez cztery dni z ulicy na ulicę, od domu do domu, od Billy do Jacka, włókł się Twój braciszek, zachwalając, niby ser lub ziemniaki: Kuwinga, Elliota, Holmsa, Longfellow'a. Zdaje mi się, że popłatniejsza byłaby sprzedaż czernidła na buty w Kongo!

Groziło mi formalne zagłodzenie. Piątego dnia rzuciłem agenturę do licha.

Później dostałem znowu inne zajęcie — głód w tym wypadku absolutnie był wykluczonym. — Ciekawe zajęcie — wymysł wielkiego miasta. O czymś podobnem w waszych lasach nigdy nie słyszeliście.

Daruj Siostro! od kilku tygodni karmię mój dowcip samą rozpaczą — a jednak ponosi mię czasem jeszcze — mimo mej woli, niby koń rozhukany.

W wielkich miastach, takich jak St. Louis, Nowy York, używają restauratorzy, żyjącej, że tak powiem reklamy. Urządza się to w ten sposób: jakiemuś głodomorowi zawiesza się na ple-

cach tablicę z menu obiadowem i stawia się go na ulicy. W ten sposób objuczony człowiek włości się po trotoarze. Przechodnie z jego powierzchni, to jest z tablic dowiadują się dokładnie o treści ogłoszeń — jemu w zamian dozwolone są powierzchniowe oględziny gości. Na wstępie do tego zajęcia dostaje głodomór obietnicę obfitej nagrody, po wypełnieniu zaś swych obowiązków, samo wynagrodzenie — w tak jednak skromnej dozie, że piesby się nawet na to nie zląkomił.

W ten sposób cały dzień spacerowałem melancholijnie pod drzwiami jakiejś nędznej restauracyjki w Bowery. Na piersiach, a właściwie na tablicy nosiłem wymalowaną szklankę piwa. Jeno pochylić głową a mógłbym jej dotknąć ustami. Pod szklanką piwa, na samym moim żołądku błyszczał talerz zupy kartoflanej i kawał chleba. Na plecach umieścili mi tablicę z szynką, kiełbasą i pieczenią wieprzową. To był straszny dzień dla mnie! Lękałem się nieustannie, że mnie poznają znajomi — skutkiem tego wykrzywiałem się w niemożliwy sposób, by jeno twarz zmienić. Wolałbym być pożartym, razem z moimi tablicami przez ludożerców z nad Nilu lub Arnwinu, niż w ten sposób kręcić się po ulicy, tem bardziej, że za całą nagrodę miałem jedynie jakieś nędzne, kuchenne odpadki.

W dodatku Ewa gniewała się, że wogóle pod-

jąłem się tak „poniżającego“ jak mówiła zajęcia. Skutkiem tego zatrzymała mnie nazajutrz w domu. Straciłem więc i to miejsce.

Możesz sobie wyobrazić, jak taka historia podnieciła moją fantazyę. Całymi nocami śniłem tylko o tem. Zdawało mi się, że objuczony temi tablicami spaceruję nieustannie po ulicach Nowego Yorku. Napisy i obrazy zmieniały nieustannie swą treść. Raz były to dwa ogromne śledzie, potem obskubane z pierza kury — to znów dwa żywe i w niemożliwy sposób kwiczące prosięta. Innym znów razem nosiłem całe magazyny, wystawy, nawet kamienie grobowe. Ostatni raz śniło mi się, że noszę za Mojżeszem jego dziesięć przykazań, połowę na piersiach, połowę na plecach.

Ewa miała słuszość — zabraniając mi podobnej pracy. Nie będę co prawda przynosił wieczorami kiełbasy dla niej i dla Bertie, ale zarazem mogę liczyć, że przez to parę tygodni jeszcze przetrwam przy zdrowych zmysłach — a i to przecie coś warte.

Miałem też nadzieję na inne miejsce. Żona moja uprosiła dla mnie posadę zakrystyana u swego proboszcza. Mało tam było pracy — jeszcze mniej pieniędzy, dobre jednak i to. Cóż — kiedy proboszcz dowiedział się, że jestem innego wyznania — i kwita z miejsca.

Jakiś pobożny dureń dostał posadę i historia

skończona. Cóż robić? — tak jest — tak będzie, bo zawsze tak było — Amen!

Teraz więc przeżuwam i przeżuwam cały mój zapas nadziei, aż mi go chyba wkrótce zabraknie. Nadzieja — niezbyt to odpowiednie pożywienie dla głodnych — ale nie chcę szemrać! Cierpliwości Tom!...

Wierz mi Siostró! nieraz całą siłą woli muszę panować nad sobą by nie wyjść na ulicę i nie zacząć wyć — jak dzikie zwierzę... No! ale przecie Tom nie jest waryatem. Ewa obecnie prócz pralni zajmuje się wyrobem sztucznych kwiatów. Służę jej za posługacza. — Po za tem wiedzie nam się dobrze. Bertie bawi się na podwórzu i lepi babki z błota. — Nie pomrzemy więc z głodu.

*Tom.*

*Brooklyn 3 listopada 1900.*

### Droga Siostró!

A więc wierz mi droga Siostró, że brak zajęcia prowadzi najkrótszą drogą do piekła. Człowiek z charakterem i poczuciem godności, z sercem, za życia jeszcze morduje się jak potępieniec. Ten co zalet tych nie posiada, staje się niezawodnie na wieki własnością dyabła.

Dopiero dwa miesiące nie mam pracy, a tkwię już w grzechach po czubek głowy. Zazdroszczę

każdemu kto może pracować i każdemu, kto mając dwie ręce — może próżnować. Niegdyś nie zazdrościłem niczego nikomu, dziś wszystkim — niemal wszystkim szubrawcom i łotrzykom. Jakiś pierwszy lepszy łotrzyk nie ma po większej części żadnych obowiązków, żadnych trosk, nie ma żony ni dziecka, nie troszczy się o ich wyżywienie i ubranie. Może przed nieszczęściem uciec bodaj do Kalifornii lub Kairu, wszystko jedno gdzie. Nigdzie nie odczuje tęsknoty — ni wyrzutów sumienia.

Zdaje mi się chwilami, że mógłbym zabić bez wzruszenia człowieka za to tylko, że może, że ma prawo śmiać się i być wesołym — a czasem zabiłbym go tylko dla tego, że nie jest kaleką.

Dziś siedziałem beczynnym na schodach domu. Wzrok błędząc bezmyślnie padł na moją pozostałą prawą rękę. Serce moje zalała gorycz — co mam robić z tobą — ręko moja! Co? czyż zarobisz na chleb? nie! czy dziecię i żonę ochronisz od pewnej zguby? nie! Jedno możesz — kraść — tak! kraść! Ba! możesz nawet złożyć przysięgę — fałszywą przysięgę — możesz także jakiemuś bogaczowi poderżnąć gardło we śnie i obedrzeć go. O! możesz nawet całe miasto puścić z dymem — i potem paść oczy ich rozpaczą.

Widzisz siostrze, to zły duch tak mnie kusi — wszystko to, to wynik próżniactwa. Bodaj to dyabli wszystko wzięli.

*Tom.*

*Brooklyn, 12 listopada 1900.*

### Droga Sioostro!

A przecie to jest jeszcze łaska boska być pozbawionym ręki, a nie nogi. Gdy mnie ktoś pyta: „No, jakże panu idzie, panie Pratt?“ mogę zupełnie szczerze odpowiedzieć „dobrze“<sup>1)</sup>.

Byłoby to jednak kłamstwem, gdybym nie miał nogi.

Ludzie jednak wobec cudzego nieszczęścia zachowują się z zadziwiającą ostrożnością. Zauważyłem to dawno. Zdają się strzedz swych własnych interesów i spraw z podziwu godnem wyrachowaniem, ze zdumiewającą chytrą. Przynosiłoby to nawet zaszczyt sprytowi tych panów świata, gdyby to nie był naturalny instynkt.

Nikt nigdy nie spyta mnie: „Cóż pan robisz, panie Pratt?“. Wiedzą przecie dobrze, że nic nie robię, że nic nie mogę robić mając odciętą rękę. A przecie kaleka co nic nie robi, nie może też nic zarobić. A kto nic nie zarabia — no, to się już wszystko kończy!

Człowiek, któremu grozi głód, jest na najpewniejszej drodze do żebractwa. A ludzie prze-

---

<sup>1)</sup> Po niemiecku brzmi: »wie gehen Sie« po polsku oddać tego nie można. (Przyp. tłumacza).

cie najwięcej boją się żebraka. Nic tak nie wprawia w zakłopotanie tych pobożnych chrześcian, jak prośba o jałmużnę. Nie wiem doprawdy, kto jest im sympatyczniejszy, żebrak, czy kieszonkowy złodziej.

Pół biedy jeszcze — jeżeli żebrak jest im obcym, nieznanym. Pierwszy rzut oka na niego wystarczy — by w tej chwili zająć się bardziej stossem nowych kapeluszy za wystawą sklepową — niż jednym pustym kapeluszem biednego kaleki. Jeżeli zaś żebrak bardzo biedny, znędzniały, zmaltretowany przez los, nieszczęściem w rynsztoku wytarzany — jeżeli taki człowiek zwróci na siebie uwagę chrześcijańskiej dobroczynności — to wówczas owa dobroczynność przed taką nędzą — robi koziółka i staje na głowie.

Z tego położenia zupełnie inaczej widzi tę nędzę niż ona jest w rzeczywistości. Nędzarz przedradza się natychmiast w łajdaka, jedynym powodem jego nieszczęścia są jego własne winy, a jego chwiejny z wyczerpania krok — to tylko skutek pijaństwa. Lecz jeżeli w żebraku poznają ludzie dawnego znajomego, przyjaciela, lub krewnego — to wtedy dopiero zaczyna się istotny taniec wśród mieczów, taniec, w którym wije się bliźni między skąpstwem, a sumieniem. Przypatrz się oto takiemu męczennikowi dobroczynności. Na prośbę o jałmużnę zaczyna się wić, pocić, czerwienić, jęczeć, skarżyć się, chrząkać, oglądać za czemś,



coby go od żebraka uwolniło. Z radością powita kroplę deszczu — bo uciekając przed nią, uciecze zarazem przed żebrakiem, lub wóz, przed którym będzie musiał się usunąć.

Skwapliwie szuka czego bądź, bodajby spłoszonych koni, lub wściekłego psa. Popatrz jak chce osłonić kłamstwo pozorami uczucia — jak przykładą rękę do serca — udaje, że je rzeczywiście ma — he he! Mefisto!

Jeżeli dyabeł widząc tę obłudę, bezwstyd, okrucieństwo — nie śmieje się, jeżeli jego kozia bródka nie chwieje się z radości, niby motylek z pawich piór — to widać, że stary stracił ochotę zajmowania się drobiazgami życia ludzkiego. No! dość! I tak nigdy tej kwestyi nie wyczerpię — a wstręt mnie ogarnia.

*Tom.*

*Brooklyn, 15 listopada 1900.*

Moja dobra, kochana Siostro!

W ostatnim liście ciężko zgrzeszyłem wydając sąd o ludziach — muszę go odwołać.

Dziś siedziałem w parku — jak zawsze beczynnienie, przyglądając się moi butom. Przechodząc, jakaś poczciwa babina wcisnęła mi w rękę dziesięć centów. Kupiłem jabłko dla dzie-

cka, pomarańczę dla żony, kawał chleba dla nas trojga.

Dzięki ci, po stokroć dzięki szlachetna istoto! Kimkolwiek byś była, Bóg Cię znajdzie i nagrodzi: nakarmiłaś głodnych.

Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

*Tom.*

*Brooklyn, 20 listopada 1900.*

Kochana Siostro!

Mimowolna bezczynność jest szkołą, mogącą więcej człowieka nauczyć, niż wszyscy profesorowie całego świata. Jestem pewny, że Newton, zamiast jednego prawa ciężkości, odkryłby sto praw, gdyby się był w tej wspaniałej szkole kształcił. Darwin, nigdyby nie palnął takiego głupstwa, że człowiek jest uszlachetnionym potomkiem zwierzęcia, zrozumiałby, że jest przeciwnie.

Galileusz możeby w prawdzie przysiągł, że „ziemia porusza się“, dodałby jednak pewnie: „porusza się, ale w tył“.

Nieśmiertelnemu Shakspearowi wysechł by mózg, gdyby zamiast tworzyć swego Shylocka, studyował znaczenie „kapitału“ sam nie tylko kapitału, ale nawet pracy nie mając. Ów męczennik z Getsemani — zrozumiałby, że zbawienie ludzkości

to najniewdzięczniejsze zajęcie pod słońcem. — Archimedes wyliczyłby w jaki sposób rodzina złożona z dziesięciu osób ma się wyżywić z dziesięciu dolarów tygodniowo, lub nawet wogóle bez pieniędzy. Dyogenes łatwo mógłby się zapoznać z nieznanem mu wcale opłacaniem czynszu za swoją beczkę i nie potrzebowałby wcale szukać z latarnią po świecie „człowieka“. Jeden z przedstawicieli ludzkości — właściciel beczki — zjawiłby się sam — przy końcu miesiąca. To pewne! świat jest co raz lepszym i piękniejszym. Przekonać się o tem dokładnie może najlepiej ten, co gnany głodem — przebiega ulice miasta w rozpaczliwym poszukiwaniu zajęcia — ten komu ból tak często jęk wyrywa z piersi — że nawet w nocnym marzeniu ból ma w duszy, a krzyk na ustach!

Tak! świat jest co raz piękniejszym! Powstają przecie wspaniałe gmachy, niby zaczarowane pałace z tysiąca i jednej nocy, a biedny człowiek ma przecie ten niczem nienaruszony przywilej, że może koło tych domów przechodzić, w deszczu, w zamieci śnieżnej, lub w żarze słońca.

W parkach stoją ławki — w cieniu drzew — człowiek bez pracy może na nich usiąść, odpocząć — ochłodzić się — oglądać się, spacerować, nawet oddychać swobodnie powietrzem. Jeżeli jest spragniony — może się napić wody. W parku stoi beczka na ten użytek, a nawet znajduje się tam garnuszek na łańcuszku. Wolno mu tak długo

pić, póki woda nie zacznie bulgotać w jego żołądku, jak w napój napełnionej konewce. Jeżeli jest głodny — ma do rozporządzenia niezliczone wystawy sklepowe — za którymi się piętrzą stosy gotowych, lub surowych przysmaków. Może się przypatrywać i przeżyć całą skalę uczuć, od wstępu do pragnienia, tęsknoty, pożądliwości, głodu psa, wilka nawet, aż mu z brody zacznie kapać ślina — niby wodospad małej Niagary.

Jeżeliby zaś człowiek skazany na bezrobocie zapragnął jakiejś rozrywki, lub zabawy — to wystarczy by wyszedł na bulwary. Może się tam natrzeć na różne ciekawe i zajmujące rzeczy.

Bogacze spacerują tam cały dzień po to tylko, by się zabawić i rozerwać. Biedak nie może tam wprawdzie stać — siedzieć też mu nie wolno, może jednak skromnie przez dziurę w płocie przypatrzeć się, jak im się tam wszystkim powodzi. Może patrzeć jak czystą bieliznę noszą panowie, jakie mankiety, kołnierze, krawatki, dyamentowe szpilki, rękawiczki z najrzadszych skór kozich, trzewiczki, ulizane spodeńki, surduciki, kamizelki, wszystko skrojone ręką znakomitego krawca.

Może dojrzeć panie kwitnące, płonące, jak się poniżają w kokieteryi i nędznym flircie — jak leniwieją w beczynności, jak się nudzą własnem lenistwem, jak je psuje ich dworskie, służalcze, czołgające się otoczenie.

Ileż to trzeba rozwagi, zastanowienia, nim

jaka panienska lub dama, odważy się swą cerę i kapelusz wystawić na działanie powietrza — jak starannie dobiera się odpowiednią pogodę — jak się poważnie zastanawia czy słońce dostatecznie grzeje, czy gdzie chmura jaka nie grozi. Przez cieniste aleje z szybkością strzały mkną ich ręce konie, wiatr chłodzi wypiełgnowane twarze — w zimie najkosztowniejsze futra niby puch pościeli chronią ciało.

A koła ciągle toczą się i niesą naprzód. O! o! Ileż tysięcy głodnych dziewcząt i matek, synów i ojców musi się śmiertelnie znużyć by temu hulaszczemu tłumowi nakryć stół, zbudować dom, komnaty ubrać, sukien dostarczyć, zabawić, ileż łakoci dostarczyć dla tych wybrednych, zepsutych gardeł, aż do wymiotów.

Po pewnym czasie takich studyów zdarzyć się może, że biedak oszalały gna do domu i przysposabia bomby. Nieszczęśliwiec myśli, że te okrągłe stworzonka, to coś niby bochenki chleba, a gdy je zapali i słyszy ich grzmot sądzi, że to dzień czwartego czerwca, dzień ogłoszenia niepodległości. Lecz społeczeństwo umie się bronić przed tego rodzaju waryatami. Ze stryczkiem na szyi posyła się anarchistę do dyabła — ten przynajmniej będzie umiał sobie z nim poradzić.

Tak! tak! urządzenie świata jest wprost majestatyczne! Możliwość krzyknąć: „zwycięstwo!“ lub

wyść gdzieś wysoko, choćby na Chimborasso i plu-  
nąć na całe to Eldorado.

*Tom.*

*Brooklyn, 25 listopada 1900 r.*

S i o s t r o !

Ostatniej nocy długo i z głębi duszy mówiłem z Bogiem. Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Opowiadałem mu o życiu i cierpieniu w warsztacie, mówiłem mu jak się to w fabryce dymi, kopci, śmierdzi; jak tam ludzie kaszlą, pocą się, jakie miewają zawroty głowy, jak mało człowiek tam zarobi, jak nawet na tę twardą drogę nie może z sobą wziąć żony, lub dziecka.

On opowiadał mi o świecie duchów, o planach stworzenia, o światach, które już stworzył — o tych — które jeszcze stworzy, o światłach, które co noc zapala — tam gdzieś w niezmierzonej głębi — gdzie mróz lodem ścina słońca, a wszechmoc szuka swych granic i nie znajduje.

Skarżyłem mu się na nędzę moją.

On na ludzi.

Modliłem się do niego.

On tchnął na mnie.

Zaprzysięgliśmy sobie wieczną przyjaźń. Coś mi się marzy. —

Cicha dolina przecięta smugą kryształowej wody. — Tam w dali niby widma, mającą pociemniałe w mroku pasma wzgórz — na wzgórzach chwieją się szumne sosny i coś gwarzą z wiatrem — gwiazdami — ciemnością. — Nad niemi zawisła gwiaździsta, gorąca noc letnia, tak cicha — czysta. — Widziałem kiedyś takie noce — w Pilot Kurt.

Nocny wiatr szepce coś starym sosnom — może skargę? Olbrzymy drżą, chwieją się — kłonią głowy — „A tak — tak“ — szepcą do wtóru — inne prostują wierzchołki — przeczą — „nie, nie“ — drży w ich gałęziach.

Wiatr nocny opowiada im — gdzie był, co widział. Wszędzie był — wszystko widział — słyszał jak na niebie z hukiem przewalają się pioruny — słyszał huk i trzask lodowców, obsuwających się w ciche doliny — słyszał szmer lotnych piasków na pustyni — podsłuchał odgłosy chat — gwar pałaców. — W noc letnią szepce to sosnom i skałom — sosny drżą — skały odziewają się w ciemną ruń barwinka, stroją podnóża swe kwieciami. A czasami zasłaniają lica swych szczytów śnieżnym całunem lodów — i ronią wielkie, perliste łyzy wodospadów.

Tam na łące szemrze strumień — snuje swą długą opowieść kwiatom nadbrzeżnym — mówi im o losach swych — o dalekim świecie — o szlakach, którymi biegł w głąb morza. — Opowiada

im jak potem na skrzydłach chmur wrócił do nich — do stron swych rodzinnych — do źródeł swoich. Złudzone opowieścią — kwiaty drżą z upojenia i tęsknoty za dalekim — wielkim światem — płaczą świętymi łzami — padają piersią na wód kryształą i płyną z niemi w dal — by nigdy nie wrócić.

W pierwszą noc tworzenia — jeszcze nie zabrzmiało wszechpotężne: „Stań się“. Jeszcze nie skończyła się ciemność wieczności — jeszcze trwa noc, w której Bóg śnił sen swój o świecie, przyszłości, tworzeniu. Jeszcze kołysze się nad jego głową sen, pragnienie, by nicość iskraw zapalić i począć cały świat w miłości, szczęściu, blasku. — Słońce! o! słońce.

Buch! potknąłem się. — Tom leży.

Nie! Siostrzyczko! tym skokiem nie dostałem się do Pana Zastępów — ni nawet do drzwi jego. Próbowałem. — Nie powiodło się i pewnie nie powiedzie nigdy więcej.

Współczułaś ze mną na pewno, gdybyś widziała wszystkie wysiłki moje — by jakimś ogromnym skokiem, skupieniem wszystkich sił moich wy dostać się po za obręb działania siły ciężkości. — Wszystko jednak napróżno. Ach! nie jestem już tym Tomem poetą, Tomem, co z niebiańskimi anioły grał na strunach harf serafickich, co unosił się wśród gwiazdzistych obłoków, Tomem, co Pana wszechświatów w przystępie dobrego hu-



moru po ramieniu klepał — i bawił się z nim, jak małe dziecko z ojcem.

Skończyło się — to było jednak — gdzieś w marzeniu.

Całą ostatnią noc spędziłem na rozmowie z Bogiem. Ewa zmęczona całodzienną pracą przy balii, położyła się wcześniej. Bertie poszedł za jej przykładem. Ja usiadłem przy otwartym oknie i zapatrzyłem się w noc. Cicha była — jesienna — ja spokojny — smutny nieco tylko. —

Wpatrzyłem się w konstelację Andromedy. Nagle — uderzyła mnie dziwna zmiana na niebie. Przeraziłem się! Droga mleczna, tak często przecie widywana, tak dobrze mi znana — uległa dziwnemu przeobrażeniu: to nie była już mgławica gwiazd — lecz olbrzymia, gdzieś w nieskończoność idąca biaława ściana — przypominająca świeżo pobielony mur ogrodu. Zdawała się zbliżać do mnie, czy też ja do niej. Nagle zrozumiałem. Za tym murem był raj niebieski. Dolatywał mnie stamtąd śmiech, gwar, dźwięki harf, po przez mur wychylały się palmy, obciążone owocem, poruszane lekkim wiatrem. Wciągałem w nozdrza woń dymu, co się nakształt lekkiej mgły unosił w powietrzu. Byłem więc u bram niebieskich, brakło tylko jakiegoś otworu w murze, by wejść do środka. Postanowiłem go poszukać, skierowałem się więc wzdłuż muru.

Był to więc istotnie przedsiónek do raj —

niestety — nie raj sam. Wszystko, co widziałem wokół świadczyło o tem. Koło muru stała cudowna zieleń murawy — chwiały się wysokie — owiane jakimś nadziemskim cudownym blaskiem drzewa. Nad drzewami, nad trawą szedł jednak jakiś wiatr — powiew, co kłonił ich wierzchołki, ku tamtej stronie muru. Każdy kwiat, źdźbło trawy — zdawało się konać z tęsknoty i pragnienia. Rośliny gięły się i chyliły — zdawały się prężyć w usiłowaniu przedostania się poza mur do wnętrza. To samo uczucie udzieliło się i mnie — ogarnęła mnie jakaś trawiąca gorączka tęsknoty. Nagle dojrzałem jakieś drzwiczki na tle gładkiej białej ściany. Boże! Były to wrota do raj — te upragnione — wymarzone wrota.

Brodząc wśród kwiatów, zbliżyłem się do nich. Dojrzałem tam siwego, białą odzianego starca. Siedział na drewnianej twardej ławce i zdawał się drzemać. Mógł to być tylko św. Piotr. Miał na sobie białą, czystą, ogromnie długą z grubego płótna uszytą koszulę, z kołnierzem marynarskim. Aureola w kształcie obręczy otaczała mu skronie świetnym blaskiem. Obok, na ławce stał koszyczek a w nim znajdowały się śliwki, dwie bułeczki, posolone rzodkiewki i ten nasz zwykły, pieniący się kufel piwa. Do ucha koszyczka przytroczony, chwiał się z wiatrem pęk purpurowych, atłasowych wstążek. W trawie obok ławki leżał maleńki, podszwaw do góry obrócony, złoty pantofelek. Widocznie

aniołki przyniosły starcowi podwieczorek, a potem bawiły się w trawie, jak to i nasze dzieci chętnie czynią.

Zacząłem pokaszliwać, żeby zwrócić uwagę świętego. Wrażenie było piorunujące. Święty Piotr zerwał się i skrzywił, jakby ukąszony przez skorpiona. Chwilę wpatrywał się we mnie rozbłyśniętymi oczyma — następnie wróciła mu zwykła równowaga — wzruszył ramionami, wstrząsnął głową i założył nogę na nogę. Teraz dopiero spostrzegłem swą pomyłkę. Święty bynajmniej nie drzemał, lecz obcinał sobie paznogie scyzorykiem.

— Czy bardzo ci pilno? — zapytał mnie z dziwną mieszaniną obojętności i gniewu, wracając znowu do swego zajęcia.

— Nie tak bardzo święty Piotrze — odpowiedziałem.

— W takim razie poczekaj, aż dokończę obcinać te trzy pozostałe paznogie.

— Ależ, proszę! sto nawet!

Byłem tak oszołomiony, że nie zdawałem sobie sprawy, iż człowiek posiada tylko dwadzieścia paznogi.

— Skądże przybywasz? — zapytał święty znacznie już miększym tonem.

— Z ziemi — odpowiedziałem.

— No! tego się łatwo domyślić — haha —

ale chciałbym wiedzieć z jakiego kraju, czy królestwa?

— Nie z królestwa, z rzeczypospolitej!

— Z Transwaalu?

— Z Ameryki.

— Z Ameryki! — stary wstrząsnął głową — a z jakiego, jeżeli wolno spytać, miasta?

— Z Nowego Yorku.

— Z Nowego Yorku? Nowy York? gdzież to leży?

— Przy Jong Island — odpowiedziałem, ciągle jeszcze pod silnem wrażeniem.

— Jong Island? Ach! tak, już wiem — nędzna to okolica. — Od 10 lat mamy stamtąd dopiero drugiego gościa.

— A któż jest tym pierwszym? — spytałem ciekawie.

— Engersoll.

— Engersoll! — krzyknąłem głośno — Robert Engersoll, ten odszczepieniec!?

— No, i cóż? — spytał Piotr, rzuciwszy na mnie wejrzenie z pod oka.

— Engersoll — ateusz?

— No, więc co?

— Błuznierca?

— No, więc co?

— Engersoll — co się tak wyśmiewał z religii, zatruwał innych drwiną i sarkazmem, co całe życie biblię traktował jak jakieś śmiecie dziennikarskie!

— No, więc co?

— Więc, co? więc takiego człowieka wpuściliście do nieba?

— Gdybym chciał tak dokładnie sądzić wszystkich — odparł sucho święty — to bym musiał chyba budę zamknąć i klucze zawiesić na kołku. W jego książce rodowej nie ma wzmianki, jakoby on mego Mistrza i Pana sprzedawał za 30 srebrników. A ja się trzymam książki — jedynie książki.

Musiałem parsknąć.

— Jakże on mógł sprzedawać Boga, kiedy wogóle w niego nie wierzy.

— Ech! co tam, wierzy, wierzy! Co Bogu przyjdzie z waszej wiary — On pluje na waszą wiare. On żąda tylko dobrych uczynków, uczciwości, braterstwa, sprawiedliwości.

Tu zajął się święty swoim pierwotnem zajęciem tak kompletnie, że zapomniał zupełnie o temacie naszej rozmowy. Była to tylko drobnostka wobec tak ważnej sprawy jak paznogieć u wielkiego palca. Był to zresztą wrastający w ciało paznogieć, wymagał więc niezwyklej uwagi, cierpliwości i zręczności. Takiemu zajęciu trzeba się oddać całą duszą — by czego nie popsuć przez pośpiech lub nieuwagę — tembardziej nie można wówczas myśleć o czem innem.

W okół zapanowała cisza — z dala dolatywały tony harf niebieskich, ale tak stłumione

i ciche, jak dalekie, zwolna konające granie dzwo-  
nów wieczornych.

A więc widziałem go — Jego, świętego Piotra  
rybaka i sternika, co przed 19 setkami lat pro-  
wadził okręt po falach morza Galilejskiego. —  
Więc to on — przedemną — on, ten prosty, na-  
turalny, poczciwy robotnik, którego Chrystus od  
pierwszego wejrzenia tak ukochał, że go swym  
zastępcą na ziemi uczynił. — To jest więc ten  
potężny mózg, co potrafił ująć i pokierować całym  
rozmachem nowopowstającej wiary? — Tak! nie  
myle się, namulone ręce pracowały nad rudlem  
i siecią, a potem były na krzyżu przybite. Te oto  
nogi obiegły cały świat, od błękitnego jeziora Ge-  
nezareth, aż do pociemniałych fal Martwego mo-  
rza, od góry Tabor, aż do góry Oliwnej, od świę-  
tego miasta Jeruzalem, aż do wiecznego miasta  
Romy. — Te nogi tam się dały na krzyżu przybić.

I zdjęła mnie nagle litość i cześć dla tego  
męczennika. Zbliżyłem się nieco — i powodowany  
trochę współczuciem, a trochę chęcią nawiązania  
rozmowy, spytałem: „No, a tu co słyhać święty  
Piotrze?”

Ręką uzbrojoną w scyzoryk wskazał w odpo-  
wiedzi na bramę do raju. Spojrzałem — zarosła  
murawą i oplotły ją pajęczyny.

— No! nie robi to wrażenia jakoby często  
tędy ktoś przechodził, mruknąłem.

— No! to robi wrażenie, że cały świat idzie

do dyabła. — Krzyknął święty. Gniew go tak uniósł, że o mało co całego wyrazu „dyabeł“ nie wymówił. Na szczęście zatrzymał się na literze „d“. Twarz jego z gniewu nabrała koloru wiśni, a oczy ciskały błyskawice. Przerwał już na dobre swoje zajęcie i scyzoryk schował gdzieś w fałdy koszuli.

— Gdybym był Wszechmocnym spuściłbym wody wszechświata na to plemię ludzkie, niechby sobie wtedy szukali na księżycu suchego lądu. — Czyż to są ludzie, stworzeni na wzór i podobieństwo boże? Odkupieni krwią Chrystusa? — Społeczeństwo ludzkie lepiej niż dyabeł produkuje grzeszników. Bez trudu i kłopotu dostarczy ich piekłu więcej niż najusilniejsze zabiegi wszystkich szatanów razem wziętych. — Eh! co tam gadać!

Tu uspokoił się nieco czcigodny gniew świętego męża — zrezygnowany machnął ręką.

— Wogóle to nieudana próba, to całe stworzenie świata. To prawda — nie każdemu zaraz każda robota musi się powieść. — Ale żeby tak taki ogromny materiał popsuć, to się aż na płacz zbiera. Można było przecie coś wspaniałego stworzyć. — Trzeba tylko było mieć więcej odwagi — i nie tak się spieszyć. Czyż jednak można w przeciągu sześciu dni stworzyć dobrze to, na co trzeba użyć całej wieczności. No! stało się, teraz choćby niewiem jak latał i zszywał to już na nic się nie zda.

Ziewnął, wziął rzodkiewkę z koszyczka, przypatrywał się jej chwilę — potem znów ją odłożył. Potem wstał z ławki, podniósł porzucony w trawie pantofelek i przerzucił go przez mur ogrodu, do wnętrza.

— Te szelmy na przyszły raz gotowe tu swoje skrzydła zostawić — mruknął.

— Wszystko to jest jednak bardzo smutne — szepnąłem, coraz więcej oszołomiony, tem co widziałem i słyszałem.

— Ba! jest nawet nad czem rozpaczać — odparł święty, siadając napowrót. — Sam nawet Pan mój i mistrz to przyznaje. W zeszłym tygodniu zaszedł tu do mnie na godzinę. Usiadł tam, gdzie stoi teraz ten dzban, a ja siedziałem tu, na mojem dawnem miejscu. „Piotrze, rzekł Pan, a bardzo był smutny, smutniejszy nawet niż zazwyczaj. Piotrze, oni tam na dole obchodzą nowe stulecie. Słyszysz co oni tam wyrabiają. Takiego hałasu nie słyszeliśmy nigdy, odkąd archanioł Michał uwolnił niebo od arystokratów. Na trzech punktach kuli ziemskiej toczą się wojny, w 10 wre w najlepsze rzeź, w 100 prawdziwe jatki swych własnych braci. Wszędzie zbrodnie, zazdrość, kłamstwo, złodziejstwo, oszustwo, pijaństwo, nienawiść, duma, szelmstwo, łajdactwo... Rodzaj ludzki kąpie się w grzechach. Bogacz gnije w zbytku i rozpuście, ubogiemu karleje dusza w nędzy i rozpaczy. Słońcem dla nich, Bogiem ich, to pieniądz, nie mają nic



świętszego, droższego nad pieniądź. Ten staruszek tam w Watykanie niema nawet najlżejszego wyobrażenia o komunizmie, za który my daliśmy się ukrzyżować. Gdybym się trzymał jego zasad, zostałbym co najmniej arcykapłanem, a Paweł rzymskim senatorem. Jednego tylko Judasza nie potrzebuję się wstydzić — umiał przynajmniej zażądać ceny. Te zaś mnichy sprzedają mnie za 10 ct. i ani jeden się nie powiesi z tego powodu — ani jeden. Piotrze! liczę na twoją stałość — pamiętaj nie wpuścić tutaj ani jednego z tych co tylko za pieniędzmi i zyskiem goniają“. Przy tych słowach starzec podniósł się: „No! teraz przystąpimy do egzaminu, spodziewam się, że go zdasz. U nas teraz, od czasu gdy (tu łypnął szelmosko okiem) przyjmujemy cyklistów piekiel... wesoło“.

Słowo egzamin, przyprawiło mnie o dreszcz. Sam nie wiem w jakim tonie wyszeptałem:

— Drogi, kochany panie! Jedzenie panu wystygnie przezemnie, a piwo skwaśnieje. A mnie naprawdę nie pilno, kochany panie!

Wpierw interes, potem przyjemność — piwo może postać — nic mu się nie stanie — to przecie prawdziwe.

Tu roześmiał się. Ten śmiech uspokoił mnie nieco. Potem starzec wszedł do wnętrza i zamknął drzwi za sobą. Ja zostałem zewnątrz. Wkrótce zjawił się znowu w małym, otwartym okienku i przyniósł wielką, w czarną skórę oprawną księgę.

Nie spuszczać zeń oczu, śledziłem wszystkie jego ruchy. Piotr włożył na nos okulary w rogowej oprawie, co nadało na poły komiczny, na poły poważny wyraz jego sędziwej twarzy. Okulary stare i zużyte nosiły znak firmy: „Lewi i syn, ulica Emaus, Kafarnaum...”

Apostoł spytał mnie o imię i nazwisko.

— Tom Prat — odpowiedziałem.

Chwilę szeleścił kartkami.

— Tom Platt — mruczał po cichu.

— Na Boga — krzyknąłem — Tom Pratt, a nie Platt.

— Aha! Tom Pratt — Prat — Tom Pratt.

Przejęty śmiertelną trwogą wpatrywałem się w jego twarz. Przecie najmniejsze zmarszczenie brwi oznaczać miało wyrok potępienia — najlżejszy uśmiech — to znak zbawienia. Nagle rysy jego twarzy nabrały wyrazu inkwizytora — cera stała się fioletowo-czerwoną — mięśnie i żyły nabrzmiały w zdumiewający sposób. „Oszuście! — krzyknął — toć ty żyjesz jeszcze! Za życia chcesz się dostać do nieba? Od chwili jak tu jestem nie widziałem jeszcze podobnej bezczelności...”

Tu starzec pochwycił pęk kluczy, wążący co najmniej ze trzy funty. Uczułem nagłe uderzenie w łeb. Gwiazdy, planety, pierścienie Saturna zawirowały koło mnie. — — —

— — — Obudziłem się... Siedząc przy otwar-

tem oknie kuchni — zasnąłem. Senna, jak ołów ciężka głowa moja opadła na twarde gzymsy okna.

*Tom.*

*Brooklyn 1 grudnia 1900 r.*

### Kochana Siostró!

Są chwile w życiu człowieka — dziwnie przypominające oberwanie się chmury. Po długim smutnym okresie deszczu, następuje gwałtowna ulewa — a po niej zaraz przedziera się słońce i rzuca swe oślepiające blaski w mrok i ciemność. Taką chwilę przeżyliśmy wczoraj z Ewą; — przez łyby błysnął uśmiech, jak słońce przez chmury. Przez cały dzień padał deszcz. Wstałem o zwykłej porze — nie mogłem jednak wyjść na miasto, bo lało ustawicznie jak z cebra. O 8 godzinie zjawiał się listonosz z listem do „Tomasza Pratta“.

Zbiegłem do niego nadół — „Ewa, list z Pilot Kurt“, wołałem do mojej żony.

Nie był to jednak list od drogiej Jennie — było to pismo mojego dawnego pracodawcy w Nowym Yorku. — Gorączkowo rozerwałem kopertę i przebiegłem papier oczyma.

„Praca! Krzyknąłem, Ewa! ja mam zajęcie“. Krzyczałem na głos — biegłem po schodach tak szybko, że żona moja przerażona krzykiem, ledwie

zdażyła dobieść do drzwi, gdy już byłem z powrotem w kuchni. „Ewa! praca! zajęcie! ja mam zajęcie. Tom ma zajęcie! 12 dolarów na tydzień, ot! tu, czarno na białem! Czytajże przecie!”

„Szanowny Panie Pratt.

Po długich trudach znalazłem wreszcie odpowiednie dla pana zajęcie. Musi je pan jednak natychmiast objąć. Proszę się natychmiast udać na Mercer street 700. Pan Rouss, z którym się już porozumiałem, przyjmie pana do swego składu jako stróża nocnego. Płaca 12 dolarów tygodniowo. Właściwie pracy żadnej mieć pan nie będzie. Potrzebna jest tylko ogromna uczciwość, trzeźwość i sumienność, a te przymioty posiada pan w zupełności...”

Nie zdołałem dalej czytać. Żona moja z głośnym płaczem rzuciła mi się na szyję. Oboje płacząc i śmiejąc się, padliśmy na sofę. Bertie zbudzony gwarem, przybiegł do nas w swej nocnej koszulinie, a nie rozumiejąc o co chodzi, zaczął krzyczeć i wyć z całych sił. Utworzył się więc chór z mieszanych głosów — a na sofie formalny kłąbek ciał. Dobra chwila minęła wśród łkań, pocałunków, śmiechu — bezładnych słów, zanim my starzy odzyskaliśmy równowagę i uspokoiliśmy dziecko.

Był to już co prawda najwyższy czas, gdyż

inaczej zwabiliśmy całe sąsiedztwo, a kto wie, może nawet straż pożarną. Później tatuś włożył odświętne ubranie, buty, białą koszulę, a mama przez ten czas, wśród nieprzerwanych śmiechów i łkań tuliła dziecko i ścisnęła, tak, że biedny Bertie, udusiłby się prawdopodobnie, gdybym nie był zawołał Ewy, prosząc, by mi zawiązała krawatę.

Wśród ulewnego deszczu wyszedłem na miasto i skierowałem się w stronę Nowego Yorku. W godzinę później zjawiłem się w kancelaryi pana Rouss.

I rzeczywiście znalazłem zajęcie i to natychmiast. O 6 wieczorem miałem wstąpić w służbę. Jest to bowiem czas, w którym zamyka się przedsiębiorstwo, a stróż, to jest ja, zostaje wewnątrz zamknięty. Dosłownie zamyka się go. — Ma on obowiązek co godzinę obejść całe zabudowanie. Głównymi wrogami są złodzieje, ogień i szczury, przeciwko którym cały spryt zwrócić trzeba.

A więc mam zajęcie jako stróż, „ale“ — tak! zostaje jedno przerażające „ale“. Jeszcze nigdy w życiu, te trzy litery tak mnie nie zbiły z tropu.

„Ale, rzekł pan Rouss, gdyby Patt (był to mój poprzednik w służbie) gdyby więc Patt wyzdrowiał — musi mu pan ustąpić miejsca. Jest to obowiązkiem uczciwego człowieka. Patt zresztą jest ojcem 11 dzieci, a do tego starym, wiernym sługą firmy. Jeżeli by umarł, ciągnął dalej pan Rouss, to

ralnie pan zatrzymasz to miejsce na stałe. Proszę przyjść dzisiaj o 6 godzinie do służby — dozorca udzieli panu dalszych objaśnień.

Skinął głową, za chwilę znalazłem się za drzwiami kancelaryi. Dozorca, w szklach na nosie, z cygarem w zębach, gaduła taki, że nawet u golarza nie może zamknąć na chwilę gęby, a twarz jego od ciągłego gadania nabrała coś wprost papuziego, objaśnił mnie bez ogródki, że Patt jest od lat 14 stróżem w tym domu, że cierpi na reumatyzm, że żona jego pije i zajmuje się znachorstwem, że ma 11 maleńkich dzieci, że zaziębiwszy się przed trzema tygodniami, leży w łóżku i że dotąd robotnicy na zmianę pełnili jego służbę.

„Wszystko w porządku, rzekł w końcu, straciliśmy Patta, dostajemy Pratta. Prawdopodobnie różnica między nim a panem nie będzie większa, jak różnica w waszych nazwiskach. Patt był bowiem uczciwym, pewnym człowiekiem. Adieu!“

Po tej pełnej wrażeń godzinie wpadłem w jakiś stan niepoczytalności. Ogromna świetlana radość i to straszne ponure „ale“ wyrosły w mej wyobraźni w dwa, potężne, walczące z sobą olbrzymy, wokół których pełzały złośliwe, drobne koboldy. Schorzała moja fantazyja nasuwała mi tak przerażające obrazy, że musiałem przed temi fantastycznymi upiorami poszukać gdzie bądź schronienia. Dojrzałem otwarte drzwi kościoła. Wsze-

dłem tam bez wahania i rzuciwszy się na kolana dziękowałem Bogu za zesłanie mi ratunku — za wybawienie mnie z tego piekła przymusowej bezczynności.

Mokry, zziębnięty, zmęczony, głodny, przymknąłem znużone powieki. Zgorączkowana wyobraźnia przesuwała przed moimi oczami całe szeregi obrazów. Widziałem żonę moją, klęczącą wraz z dzieckiem koło mnie, widziałem kościół napełniający się zwolna jakimiś biednymi, obdartymi ludźmi. Wszyscy się modlą — nagle z ciżby podnoszą się jakieś ręce — od tłumu odrywa się człowiek jeden i zaczyna głośno błagać Boga o chleb dla swoich jedenaściorga dzieci. Poznałem go, to Patt. Nie mogę oderwać od niego oczu — pierzcha sen, radość, spokój, modlitwa — wszystko, wszystko — zostaje tylko straszny, okropny niepokój — nawa kościelna rozbrzmiewa wielkim przerażającym dysonansem, który miesza całą harmonię uczuć moich. Taki dysonans zrodzić mogło tylko nasze społeczeństwo.

O! Jezusie! Nie mogę dziękować Bogu, ani modlić się bez bluźnierstwa. — Moja prośba — to grzech — moje dzięki — to przekleństwo — a byt mój — to bratobójstwo. Co wyżebrzę dla siebie — to wydzieram bratu memu. Żeby coś zdobyć dla siebie, muszę zrabować na bracie moim. Żeby się samemu utrzymać na powierzchni fal — muszę go utopić — muszę go okraść — zdusić — na

śmierć zdusić, bo tak chce wszechwładny porządek świata.

A ja chcę przecie porządku.

*Tom.*

*Pilot Kurt, 1 grudnia 1900 r.*

Kochany Bracie!

Modliłam się noc całą — i niebo zesłało mi zbawczą myśl. — Posłuchaj mnie bracie: probuj umysłową pracą zdobyć utrzymanie. Tysiące ludzi żyje z pióra i nawet żyją w dobrobycie. Do tego wystarczy jedna tylko ręka — a tę przecie masz. Cóż dopiero mówić o twym umyśle, czy sercu. — Wprawdzie jesteś tylko zwykłym, opylonym robotnikiem — nie odebrałeś wyższego wykształcenia — ale gdy pomyślę o Twoich niezwykłych zdolnościach, gdy czytam Twoje wzruszające listy. — — —

Spróbuj! Czyż ś. p. ojciec nasz, choć był tylko prostym górnikiem, nie przerastał umysłem całego zarządu kopalni wraz z inżynierem i dozorcą. A nasza matka? Ileż duszy w niej było! Bracie! odwagi! Talent leży w naszej krwi. Co inni ludzie z trudem muszą wyssać z książek, my wyssaliśmy z piersi matki. Ja sama, gdybym miała czas, odrobinę bodaj czasu, napisałabym poemat, coby do łez pobudzał. — Ha-ha-ha. —



A więc Bracie, weź się do pracy z odwagą i z zapałem. Wybierz sobie jakiś temat, jakąś zagadkę życiową, coś z historyi, z natury, coś nadprzyrodzonego może, coś z czasów tego świata — bądź co! —

Napisz naprzykład o losach człowieka, co chciał się ożenić, a całe życie pozostał bezżennym, lub o losach takiego, co się ożenił, choć pragnął zostać kawalerem — możesz dalej pisać o tem ile zmarszczek niesie nadużycie; jak się tyje przy wstrzemięźliwości i odwrotnie. Jak się ludzie wzbogacają uczciwością, a zchodzą oszustwem i podłością na psy, lub odwrotnie. Jak się człowiek dostaje do nieba uczciwością, a do piekła łajdactwem. To już bez odwrotności.

Ot! gadam i gadam, a czas leci, trzy cebrzyki brudnej bielizny stoją na podwórzu. — Jestem przecie praczką — precz z piórem — i do balii! —

Na dziś dość! następnym razem dostaniesz nieskończenie długi list.

*Jennie.*

*Pilot Kurt, 1 grudnia 1900 r.*

**Kochana Bratowo!**

Z lękiem i trwogą piszę ten list do Ciebie. Tom nie powinien go nigdy czytać ni widzieć,

słyszysz? nigdy! List ten jest do Ciebie i jedynie do Ciebie. Gdyby mu list ten wpadł kiedy w ręce wszystko byłoby stracone — wszystko!

Przykra rola przypadła mi w udziale — wy macie tak bezgraniczne zaufanie do siebie a ja rzucam między was dwoje — cień: tajemnicę. — Jednakże miłość, wszystkie dobre duchy, przywiązanie, konieczność w końcu nakazują mi to uczynić. Ewa! przeraża mnie przyszłość Twojego męża — mego brata. To nie to, że stracił rękę, nie to, że nie może pracować, nie to nawet że dobrobyt wasz jest zachwianym. — Największe niebezpieczeństwo leży w samej duszy Toma — to ona mnie przeraża. — Siostró, przeczuwam, widzę, jak ten piękny duch mego brata schodzi w ciemność nocy. Ewa, Ty znasz tylko Twojego męża — ja mego brata znam także, jako człowieka. Tom przerósł innych ludzi. — Przerósł wielkością duszy, ale zarazem brakiem odporności. Ma on więcej spokoju, stoicyzmu nawet niż inni, ale zarazem posiada nadmierną wrażliwość, miękkość, uczuciowość. — Jego dusza jest bogatszą, ale zarazem bardziej tchórzliwą — spętana własną wrażliwością. Niestety! — zanadto się pogrążył w analizie swej duszy.

Nieprawdą jest jakoby wielkie dusze najwięcej znieść mogły — to te zwykłe, proste, nieskomplikowane dusze wszystko znieść mogą. Ewo! Siostró! musimy Toma oszukać — lecz to będzie

jego ratunkiem. W listach jego skargi brzmią coraz dzikszym, gwałtowniejszym tonem, skargi przeciw Bogu i ludziom. Co się z nim stanie, jeżeli nie znajdzie przystani, której szuka. Coś go tak gna, tak nim miota! — Och! nadziei! on musi mieć bodaj jedno błędne światełko, wśród nocy jedną gwiazdę zabłąkaną na pustem niebie. Choćby na razie posiadał tylko ów promyk nadziei to go i tak uratuje.

Siostro! równocześnie z tym listem posyłam inny do Twego męża, w którym podałam mu ostatnią deskę ratunku przed ostatecznym zwątpieniem. Tom Ci przeczyta list — dowiesz się o co chodzi. To jest coś zupełnie nowego dla Toma — może w ten sposób ujmie rozhukane, męczące myśli i pchnie je na nowe tory. Chociażby nawet plan mój spełził na niczem, to i tak będzie to absolutnym zyskiem, że będzie mógł myśli swe bodaj na papier wyładować. Tom pisuje do mnie często od chwili swego nieszczęścia. To byłoby dobrem, ale pisząc w ten sposób przeżywa po raz setny wszystkie swe bóle, a taka jednostronna, bez miary i celu krytyka świata i ludzi prowadzi do zasklepienia się w nienawiści, do pesymizmu i może go w końcu doprowadzić do szału.

Ah! wzrok ludzki musi umieć patrzeć w dal, musi umieć rozszczepić się. — Widzieć przed sobą robaka jak się wiję w pyle ziemi, ale zarazem nie tracić z oczu Boga. Tylko taki wszech-

stronny, potężny wzrok ducha da człowiekowi siłę, odwagę, mężność życia. Kto go straci — musi zejść do roli biernego niewolnika warunków, w których żyje. Dusza staje się wówczas tylko martwym mechanizmem, odczuwa zjawiska życiowe, niby prądy magnetyczne, ale ich nie rozumie.

Ah! Ewa, pamiętaj żeby słowa te nigdy nie doszły do rąk Toma. Nie mów mu tego co piszę. Dla człowieka tak pozbawionego odwagi i energii nic straszniejszego, jak ostrzeżenie o zbliżającym się obłąkaniu. Ty powinnaś wzmacniać Toma, zachęcać go do nowego życia i walki. Staraj się wmówić w niego, że zajęcie literackie przyniesie mu szczęście, spokój, chwałę. Niech czyta Ci swoje utwory. Krytykuj, chwal, śmiej się, płacz. —

W czasie, gdy on tworzyć będzie, znajdzie się może jakieś zajęcie dla niego, które wam byt zapewni. W głębi bowiem duszy wątpię, by Tom piórem na chleb mógł zarobić. Przecie nawet dla uczonych konkurencya jest groźną. Jezu! co za straszny świat — co za straszne życie! Wszędzie dokoła nas wre walka. Jeden drugiemu wydziera kawałek chleba. — O! kiedyżto będzie lepiej! O! biedne, biedne nasze dzieci! Noce są tak ciemne — tak długie — nawet tu na południu — a gdy się ma troskę, noc zdaje się nigdy nie mieć końca. — Tyle godzin do północy, a potem — a potem znów tyle godzin do świtu. Z klepsydry zwolna spływa piasek — zwolna, monotonnie, niby krople, co jakieś

niezmierne naczynie napełnić mają — każde ziarnko piasku lecące w dół, spędza noc z nieba. O! kiedyż nakoniec ostatecznie zwiastuje świt?

Noc ciemna — wokół słyszę oddech śpiących, z daleka dolatuje mnie szczekanie psa — tam, gdzieś, wiatr zawodzi i bije w okna, deszcz uderza o dach chaty — ciemno — głucho! gdyby nie wiara w czuwającego anioła stróża, żadna matka przeżywszy taką noc, nie znalazłaby nazajutrz uśmiechu dla swoich budzących się dzieci.

I ja krzyżową drogą przez życie idę — niby krzyż ciężki kładzie się na barki moje troska o dzieci i Piotra, najcięższy jednak ten, który mnie do ziemi tłoczy — to krzyż troski o Toma.

Ach! Ewa! ja wiem — Ty cierpisz tak, jak ja, tak samo cicha, pokorna, i mimo wszystko ufna — więc siostrą jesteś moją, siostrą w miłości, cierpieniu — łączy nas jeden Bóg — jedna wiara — jedna religia, ofiary i cierpienia.

Ale jeszcze jedno — powiedz Siostro, czy moglibyście porzucić wasz dotychczasowy dom, zerwać układ o mieszkanie, wyprzedać się i przyjechać tutaj — do ojczyzny Toma? Potrzeba na to sześćdziesiąt dolarów. Mogłabym Wam część posłać. W ten sposób bylibyście tu z nami, nie damy Wam tutaj zginąć z głodu. Powiedz to Tomowi.

Boże! Boże! krwawymi łzami płaczę nad moją bezsilnością — nie mogę Wam nic pomódz —

nic — dlatego, że tak daleko jesteście — tak daleko!

Napisz też Siostrze o zdrowiu Twojem, zapomnę zawsze spytać o to. Od czasu kiedy zajęliśmy się wszyscy Twoim mężem, nie mam nigdy żadnej wiadomości o Tobie. Czy masz ciągle duszności? Czy plujesz krwią? — O! biedna Ty męczennico!

Ucałuj Bertie odemnie i bądź mi zdrowa Siostrze!

*Jennie Daly.*

*Brooklyn, 4 grudnia 1900 r.*

Kochana Bratowo!

Bóg czuwa nad nami. Tom listu nie dostał. Sypia on całymi dniami, bo zajęcie w nocy. Przychodzi nad ranem z Nowego Yorku, zjada śniadanie i kładzie się spać. — Wstaje dopiero po obiedzie. Listonosz zaś przychodzi rano. W ten sposób dostał tylko swój własny list.

O! Bratowo! Siostrze! pozwól mi się nazywać siostrą — to tak pięknie. Jak Ty dobrze radziłaś Tomowi. Boję się i ja o niego bardzo. — On bierze tak bardzo swoje nieszczęście do serca, że aż choruje z tego; nie może jeść — ani spać, ani śmiać się, ani nawet rozmawiać. Czasami, gdy się

obudzę w nocy widzę go, jak siedzi przy oknie — i chociaż płaczę i proszę, żeby poszedł spać, to nie chce. Potem z tego choruje. Dzięki Bogu teraz dostał zajęcie w Nowym Yorku. Jest stróżem nocnym. Jak dla kaleki to bardzo dobre miejsce. Dostaje 12 dolarów tygodniowo, a to nawet bardzo dobra płaca. Tylko, że to miejsce dopiero wtedy będzie mógł zatrzymać na stałe, jeżeli jego poprzednik umrze. To takie smutne! Tom to powtarza codziennie. Modłę się i modłę, aby mógł to miejsce zatrzymać, abyśmy mogli żyć. Pranie to za ciężka robota na moje siły. Jak tak ciężko pracuję cały dzień, to boli potem mnie coś w pierśsiach, a to bardzo silny ból.

Kochana Siostró proszę Cię, nie wspominaj o wyjeździe z Brooklynu, proszę Cię, proszę bardzo, nie mów o tem. Widzisz, ja nie mogę odjechać, bo przecie tu zostanie grób Elsie — Kto go będzie odwiedzał, jeżeli ja odjadę? — Tom wspominał już raz o tem, że musimy jechać do Pilot Kurt, a ja tak potem płakałam, całutki tydzień. O! Pozwólcie mi przeżyć te kilka tygodni tutaj. Ja przecie nie chcę wiele. Byle tylko iść na grób Elsie, gdy mam trochę czasu. Jeżeli zaś Tom będzie miał to miejsce na stałe — to wszystko będzie dobrze. Miejmy w Bogu nadzieję.

Tom miał rację kochana siostró, ja nie umiałam ani czytać, ani pisać — tylko po szwedzku trochę. Tom dopiero po ślubie nauczył mnie. —

Uczył mnie codzień gdy wracał z roboty. To taka piękna rzecz pisać do siebie listy — jeżeli co umię, to Toma zasługa. Ty masz rację — on chętnie pisuje i to dobrze na niego działa. Jeżeliby jednak to miejsce zatrzymał, to nie będzie potrzebował pisać książek. Przecie nie jest, ani tak wykształcony, ani tak mądry jak panowie. Czy nie zgadzasz się ze mną? Muszę już teraz skończyć, bo boję się, że Tom obudzi się lada chwila.

Ja piszę zawsze tak wolno, nie umię tak prędko jak Wy.

Niech Bóg ma w opiece mojego tak bardzo drogiego Toma i Ciebie i dzieci Twoje i Twojego męża.

Twoja kochająca Cię siostra-bratowa

*Ewa Pratt.*

*Brooklyn, 4 grudnia 1900.*

**Droga Kochana Siostro!**

Listy nasze musiały się gdzieś rozminąć w drodze. Spotkały się może w Indyanie lub Ohio. Z daty widzę, że były tego samego dnia wysłane; nie jest to bowiem odpowiedź na mój ostatni list. Sądzę jednak, że dziś masz go już w ręku.

A zatem spóźniłaś się z Twoją radą. Nie po-



trzebuję już piórem na chleb pracować. Odkąd mogę chodzić, gonię do upadłego szukając miejsca pisarza. Bezżyteczny trud — to prawdziwa loteryjka: jeden na dwunastu, a częściej jeden na stu zdobywa takie miejsce — i to w dodatku ludzie, co posiadają obie ręce — a cóż dopiero mówić o Tomie-kalece.

Ale — hm! być literatem, pisać książki, romanse, poezye, dramaty. — Siostro! Tyś wymówiła straszne słowo — Ty mnie niem przerażasz! więcej! — miażdżysz mnie! To jedno słowo zdolne rozpętać wszystkie, skute niewolą dotychczas myśli mojej duszy. Siostro! to będzie bunt, walka — a co się stanie ze spokojem moim? O! tak — powiem Ci prawdę. — Ta myśl, ta Twoja myśl od dawna nie daje mi chwili spokoju, tak często mówiłem sam sobie: „Tom! co się stało? — co się dzieje z tobą? Ręki niema i prędzej zielona trawa porośnie na grobie twoim i twoich, nim ręka odrośnie. — Musisz zająć się czem innem, chwycić czego innego niż młota, hebla, piły. — I gdyby naprzykład — — —

Ach! złośliwe koboldy otaczają mnie tanecznem kołem — — —

Czy mam spróbować? tak! muszę. Ale to takie niezwykle — nieoczekiwane — to jakby zawrotny taniec na niedostępnych szczytach. Ja prosty tokarz — artystą, literatem? — — — Nie wiem, śmiać się, czy płakać — — — a może to czytel-

nicy śmiać się lub płakać za mnie będą! Jennie! Jennie! to Twoje dzieło! Jeżeli na skrzydłach orła — z odwagą lwa — pójdę — tam — w chmury — albo też z tych wyżyn spadnę i łeb roztrzaskam — to tylko Twoje dzieło!

A jednak niech się dzieje co chce — pójdę! O wszechpotężny duchu świata, zstąp do mnie! Oto ja, żebrak, biedny okaleczony żebrak, klękam przed Tobą i dłonie ku Tobie wyciągam. Otom nicością bez Ciebie — O! wszechpotężny przyjdź — nie pozwól mi zginać, rozwiać się w milczenie śmierci — przyjdź i daj mi — natchnienie.

— — — Jennie, biedna Jennie. Muszę oto mówić do Ciebie słowami, które nie zwykły były dźwięczeć w naszych listach. Muszę oto gniewać się na Ciebie — zganić Cię. Nigdy! nigdy więcej — słyszysz? — Nigdy więcej pod żadnymi pozorami nie pozwolę na takie postępowanie. Doprawdy, gdyby to drugi raz miało miejsce, nie wiem, czy byłbym zdolny przebaczyć. Twój list zawierał bilet 5-dolarowy. Więc to ma być dla mnie i dla mojej rodziny, abyśmy nie pomarli z głodu? Nie piszesz tego wprawdzie, ale to się czyta między liniami. Pamiętaj Jennie, niech to się nigdy więcej nie powtórzy, pod żadnym pozorem. Pomyśl, Jennie, masz przecie 6 dzieci. Trzeba je wszystkie nakarmić, odziać, zapewnić ciepłą odzież przed nadchodzącą zimą. A Twój mąż górnik zarabia za ledwie półtora dolara dziennie. To krwawy grosz,

nie posyłaj nam go nigdy więcej. Odsyłam Ci te pieniądze jednocześnie z tym listem. Każdy cent z tych dolarów obłany mojemu łzami, łzami mojej żony i dziecka.

Ale dość, muszę kończyć. O 6 godzinie zaczyna się moja służba. Nie mogę tego nazwać pracą — nie mam bowiem nic do roboty, nocuję tylko w składzie, spaceruję, nad słuchuję, kaszlę, węszę. Do tego zamknięcia nic się nie może dostać — nic wydobyć stamtąd — prócz mojego pozdrowienia dla Ciebie.

Jennie! Bądź zdrowa —

*Tom.*

*Pilot-Kurt 9 grudnia 1900 r.*

**B r a c i e !**

Ludzie mówią: gdy nędza ludzka najcięższa, pomoc Boska najbliżej. Ojciec ubogich nie dozwoli dzieciom swym zginąć bez ratunku. A więc na starość zdobyłeś miejsce nocnego stróża? Ktoś mógłby rzec, że to najciemniejsza przyszłość jaka Cię spotkać mogła, co do mnie uważam to wprost za świetlane zjawisko i już wiadomość o tem oślepiła mnie jak blask słońca i oczy napełnia łzami. Ale to nietylko radość — ja wprost dziecinnieję ze szczęścia. Czuje, że nie będę mogła mówić

z sensem, będę Cię męczyć wybuchami memi — tak, jak Ty mnie swojemi, jeno, że one powstają na innem tle. Będę tak samo śmiać się, dowcipkować, dokazywać, jak onego czasu, gdy Jennie wyciągnąwszy Toma z łóżka, bombardowała go po drodze do szkoły kulami ze śniegu. Mój Boże! to moja pustota. Sądziłam, że zdołałam ją w sobie wprost zamorzyć, zabić, pogrzebać nawet. A oto ona wraca niby dawny towarzysz po długiej tułaczej wędrówce, porywa mnie w ramiona i tuli.

A więc jesteś stróżem nocnym, pożegnałeś światło — O! bądź błogosławiona ty nocy — ty ciemne państwo duchów nietoperzy i czarów, dyabłów i nocnych stróżów. To śmieszne; gdy ludzie mówią: dobranoc, śpij spokojnie, Tom zasiada do śniadania! Skoro mówią: dzień dobry, Tom idzie spać. Mój Boże! nawet to odróżnia Cię od innych ludzi. Teraz nic niema w moim bracie dziwaku, coby się dało podciągnąć pod ogólny strychulec, dostosować do potrzeb towarzyskich. Tomie Pratt! ty, jesteś rewolucją samą!

Dziś jest niedziela. Moje dzieci wyszły na całe popołudnie do lasu. Piotr śpi; mam więc trochę czasu, by Ci donieść nieco nowin. To mnie uratuje i od delirium i od drzemki. Nowinę jedną mogłam Ci już dawno donieść, ale wobec Twojego nieszczęścia niechciałam nic poruszać.

Mieliśmy tu w kopalni 6-tygodniowy strejk. Byłóż to życie tutaj w górach! Dziwię się, że po-

marli Indyanie nie powstawali ze swych grobów i nie zaczęli z radości tańczyć koło ogniska!

Obecnie strejk ukończony — naturalnie bez skutku. Nie przypuszczałam nigdy, żeby ludzie mogli tak potracić głowy. Właściwie było tam za wiele głów — same głowy, lecz żadna z nich, czy też wszystkie razem, nie miały tyle mózgu, ile go posiada bodaj spensjonowany kopista. Za to krzykaczy było poddostatkiem. Cóż to był za wrzask, hałas, wycie, zamieszanie, zgromadzanie się, rozwiązywanie wieców, pochody, mowy i tak od rana do nocy. Najgłośniej i najgruntowniej wrzeszczał mój Piotr. Obecnie leży pan komiteto- wiec strejkowy i chrapie, że ledwie pisać mogę. Dziś wszystko już zapomniane. Właściwie nic nie zapomniane, a co gorsza, nikt się niczego nie nauczył. „Piotrze! hej! Piotrze — odczytać protokół, postawić wniosek, zamknąć obrady, do porządku dziennego, moi panowie!“ I tak dalej.

A inni — — — Ach! bracie! robotnicy są, jak to rzecz dowiedziona, najtępszymi uczniami w szkole życia. W czasie 6-tygodniowej ruchawki nikt się niczego nie nauczył, chyba przymierania głodem. Ah! Kiedyż wreszcie zstąpi Duch św. na tych maluczkich? Możesz sobie wyobrazić, Bracie, jak nam ten strejk ciążył, szczególnie nam, kobietom. Branie na kredyt i robienie długów stało się wprost epidemiczne, bo przecie nie wiele z nas ma czeki bankowe. Ja do nich też nie należę.

Nasi zaś szanowni małżonkowie, owi namiętni, ograniczali się cały czas na darciu gęby — na kształt ziejących ogniem kraterów. Wreszcie ogar-  
nął ich wszystkich kompletny niesmak. Stracili już ochotę do występowania masowego i dziś wo-  
leliby wszyscy za darmo pracować w kopalni niż  
jeszcze raz zasztrejkować. Dziś każdy radby scho-  
wać się w mysią dziurę. Wszyscy spokornieli, tak  
teraz pełzają, łaszają się, niby psy bite, gną się  
w ukłonach, wkrótce chyba będą wyglądać jak  
powyginane podkowy. A my biedne matki, przy  
takich, Boże się zlituj! mężach, mamy wychować  
pokolenie dzielnych obywateli.

A jacy oni wszyscy kłótniwi, gburowaci, zja-  
dliwi. Mój Piotr od czasu owego strejku przero-  
dził się w naszym małżeńskim ogródeczku w istny  
krzak szczawiu. Teraz nawet kiedy śpi, robi takie  
miny, jakbym go przez te 6 tygodni karmiła octem  
z papryką. A gdy się obudzi i zacznie myśleć, co  
mu się zresztą rzadko zdarza, wtedy miny jego  
są jeszcze gorsze. Temi swojemi grymasami chce  
prawdopodobnie napędzić takiego strachu (czytam  
przecie w jego myślach jak w książce), bym z samej  
drżączki nie dostała ochoty do śmiechu, z jego  
patetycznych mów sztrejkowych.

Pozatem chrapie! Niech go Bóg ma w swej  
opiece. Pomimo wszystko lepszy on niż inni  
i choć małżeństwo moje nie jest zbyt zazdrości  
godnem — to jednak Piotr jest mi droższym niż

wszyscy inni — on, ojciec moich drogich dzieci. To takie poczciwe, serdeczne, dobre, tresowane niedźwiedzisko. I nie bat go tresował, lecz cukier, miód, mierne ustępstwa i dobroć z mojej strony. Moja cierpliwość i spokój nie pozwoliły mu nigdy rozwinąć jego wrodzonych grubych popędów. Tak że dziś nawet nie wiem czy je wogóle ma. Żyjemy z sobą w zgodzie: ja reprezentuję ul — on niedźwiedzia. Czuję jednak, że mnie wkrótce porze. Ważę przecie wraz z ciałem i duszą nie całe 100 funtów. Mój Boże kochany, są przecie gorsi mężowie. Bywają mężczyźni podobni do tygrysów, psów, małp, osłów, nawet świń. Rzadziej trafiają się lwy, a i przy nich jagnię nie jest zbyt bezpieczne. Najlepsi mężczyźni to ci, którzy są ludźmi, tak jak Ty, mój drogi, najlepszy bracie. Zastanawiam się nieraz nad tem, jak długo dwoje ludzi, tak przez naturę obdarzonych jak Ty, mogłoby ze sobą żyć, bez wojny, głodu, mordy. A jak długo miliony ludzi tak sprawiedliwych, dobrych jak Ty, mogłoby żyć w szczęściu i spokoju? — Klnę się na zbawienie duszy mojej, że gdyby wszyscy ludzie byli tacy, jak mój Tom, niebo zesłoby poniżej chmur, tu nad ziemię! Ah! — — Bracie! daruj tego żyda na papierze! Piotr właśnie przewracał się z boku na bok i tak chrapnął, że aż się sam obudził. Tak mnie przeraził, że ręka drgnęła a pióro prysnęło atramentem. Tomie! takim chrapaniem mógłbyś wszystkie niedźwiedzie

i lwy do ich jam zapędzić. Teraz usnął znowu i śni o strejku! „cicho! zaczyna się rozprawa! Piotr Daly ma głos“.

Tomie! Bracie! stróżu nocny! Nie mogę się uspokoić, taką radością napawa mnie Twoja posada. Bóg pomoże Pattowi w jakikolwiek sposób, a Ty utrzymasz się przy tem miejscu. Bóg Cię ciężko doświadczył, lecz dziś czas już na jakąś ulgę. Szczęście i nieszczęście — to ogień próbny, który hartuje człowieka i zciera kanciaste strony charakteru. Jeżeliś zachował dawną szczerłość, to mi przyznasz, że i na Ciebie nieszczęście podziało w podobny sposób. W listach Twoich coraz częściej dźwięczy słowo „Bóg“. Dawniej nie spotykałam go nigdy. Niewiem — czy to przez zbytek szacunku, czy też przez lekceważenie unikałeś go tak pilnie. Do kościoła chodzisz dość często. No i — i — i żyjcie w szczęściu i spokoju.

*Jennie.*

*Nowy York, 20 grudnia 1900.*

**Kochana Siostro!**

Gdyby tak o tem mój pryncypał się dowiedział — to miałbym za swoje! Przez całą noc bowiem używam jego kancelaryi, jak swego własnego pokoju. Plan moich zajęć tutaj przedstawia się



w ten sposób: jestem obowiązany 12 razy na noc, to jest co godzina, przejść wzdłuż i wszerz cały gmach. Tak brzmi przepis. W tym celu uzbrajam moje uszy i węch w niezwykłą czujność. Sam sobie wówczas przypominam lisa, zaskoczonego przez całą psiarnię. Pozostałe 30 minut każdej godziny używam dla siebie. Zasiadam więc na wysokim wyściełanym fotelu kancelaryjnym, jak gdybym był panem Rouss, milionerem, a przecie jestem tylko Tomem Pratt, biednym, jednorekim stróżem nocnym, któremu się marzą zawrotne wyżyny nieśmiertelnych natchnień. Po pierwszej takiej inspekcji składu zasiada stróż nocny przy biurku i oczekuje natchnień, coby go ze stróża zmieniły w poetę. Bierze kancelaryjny papier, pióra firmowe (nie jest przecie tak głupio uczciwy by zdechnąć z głodu w piekarni) i usiłuje wzbić się na Olimp. Wszystko to jednak, co przez noc napisze, to taka mieszanina, że nie wiadomo co z nią robić. Oj! to prawda — gdybym mógł wybierać sobie talent nie wybrałbym talentu Toma Pratta.

Co mi imponuje najwięcej z tej całej dyletanckiej babraniny, to ta przedziwna pewność kompozycji, a właściwie przedziwna zarozumiałość Toma. Nie widziałem jeszcze nigdy by w zamiśleniu gryzł obsadkę pióra, lub drapał się w głowę, skubał wąsy. Nigdy nie wzdycha, nie przerywa sobie, nigdy żadnego słowa nie przekreśli, ani nie zmieni. Mój Boże nie widziałem nawet

aby kiedykolwiek odczytywał swój manuskrypt. Niby wszechmocny twórca prowadzi swoje dzieło bez rzutu oka wstecz lub naprzód. Te wszystkie fraszki zostawia recenzentom i czytającej publice.

Będzie zato wówczas katastrofa, jeżeli ten dziwotwór, co z pod ręki Toma wyjdzie, zechce poszukać sobie nakładcy, owego najżarłoczniejszego z potworów.

O! Siostró, nie ma się z czego śmiać, lub żartować. Nie tak to łatwo w mojem położeniu ująć rozpierzchłe myśli, tchnąć je w jedno dzieło. Nawet geniusza to zmęczy — wiarę zamienić na siłę — sile dać skrzydła nadziei — w miłość tchnąć ideał dobra. Ach! tak potrzeba mi tej drobnostki, pewności, że miejsce to zatrzymam na stałe. Pewność ta dodałaby skrzydeł moim myślom, by mogły lecieć w błękitną przestrzeń, w nieskończoność. Ale Patt, ten ojciec 11 drobnych dzieci, co dzień zdrowszy, silniejszy, a skoro się zjawi Patt, odejdzie Pratt — a dokąd pójdzie?

Ta jedna, jedyna myśl: „dokąd“, owłada mą duszą i przygniata ją niby olbrzym — Guliwer, inne myśli — to liliputy — opadają i pierzchają bezsilne. — Nie wiem, nie wiem, czyś miała rację radząc mi zająć się piśmiennictwem, dziś na odwrót zapóźno — walka zaczęta, duchy walą się na mnie i tłoczą — porywają mnie — unoszą — — dokąd? —

(10 godzina w nocy).

Piszę — piszę i piszę, nie wiem, to może nowość tak mnie upaja, że snują się koło mnie wizerunki. Widzę te dzieci mojego ducha w niemal dotykanej formie. Wszystko to żyje, rusza się, oddycha, mówi, płacze, śmieje się, otacza mnie zwarciem kołem. Zda mi się, że wszedłem do zaczarowanego pałacu. O! urocze marzenia. Byłby to mój raj — gdybym wiedział, że to tak trwać będzie bez zmiany.

(11 w nocy).

Całymi godzinami bez spoczynku i wytchnienia pracuję nad mojem nowem dziełem. Chwilami myślę o Tobie i piszę, chwilami o dziecięciu mojem i znów piszę. Czasami nadlatuje na mnie troska o chorą moją żonę, lecz mimo to piszę.

Czy jednak osiągnę cel? Czy znowu -- zawód — ów potwór o okrutnych szponach — zadrętwi to radosne dziecię nieb błękitnych — nadzieję? Chwilami jestem tak beznadziejny, tak słaby, że ogarnia mnie dziecienny lęk i uspakajam się dopiero wtedy, gdy zobaczę i uściskam żonę moją i dziecko.

(12 w nocy).

Godzina duchów. Pomiedzy 12 i 1 odkładam pióro i wszelkie zajęcia. Przedemną, przed myślami mojemi suną zaczarowane zagadki bytu. Modłę się, to moja godzina modlitwy.

(1 w nocy).

Zazwyczaj już po trzeciem „Ojcze nasz“, cza-

sami nawet po drugim, Bóg otwiera wrota do raju i woła mnie do swego przybytku pracy.

Dziś jestem tam już dość zażyłym gościem, gdy jednak pierwszy raz tam wszedłem, ogarnął mnie strach tak wielki, że Pan musiał odrzucić wszelkie zajęcia i uspakajać mnie. Potem oprowadził mnie wokół całego świata. Pokazał mi wszystkie cuda: dźwignię wszechświata, koła, które unoszą go w dal, olbrzymie maszyny, walce, formy, retorty, obcegi. Dalej widziałem tokarnię, na której wytacza planety, olbrzymie ogniska, w których wypala słońca, sito przez które przesiewa gwiazdy. Wszystko to pokazał mi, objaśniał każde pytanie, które mu niby dziecię ciekawe zadawałem, z nieskończoną dobrocią i cierpliwością. Na jedno tylko najważniejsze pytanie nie chciał odpowiedzieć. Westchnął, ucałował moje usta i rzekł: „Dziecię! wszechwiedza, stoję przedtem pytaniem; ty jednak sam możesz sobie na nie odpowiedzieć“.

(2 w nocy).

A skoro mi Pan świata ziemię wraz z jej całym życiem, niby piękny dar w posiadanie oddał — zacząłem po planetach błądzić, szukając jakiego cichego zakątka dla skołatanej duszy mojej. — Siostró! pospieszyłem do Brooklynu, do sypialnej izdebki mojej Ewy. Siedzę oto tutaj tak samotny, zamknięty, pod kluczem, jak człowiek, którego wystrzegać się należy. Noc cicha, długa — głucha wisi nademną, nadlatuje wówczas ku

mnie niewymowna tęsknota za moją żoną. Wstaję wtedy, chodzę po zabudowaniu, szukam czego, coby się dało uścisnąć, przytulić. Ach! sambym siebie całował — taką radością napawa mnie myśl, że znowu jestem żywicielem, podporą mojej rodziny. Śmiesznie to brzmi w ustach człowieka, który już od 5 lat jest żonaty. Ale Siostró, gdybyś Ty widziała ją — śpiącą — i gdybyś była mężczyzną a nie kobietą — klękłabyś tak jak ja — i modliłabyś się do niej. W czasie owych strasznych, bezsennych nocy, kiedy z ręką na temblaku krążyłem między kuchnią i sypialnią, klękałem nieraz u stóp jej łóżka i modliłem się do niej z tą pobożnością, z jaką się modli pielgrzym do Madonny. Raz, w czasie takiej nocy, księżyc nagle — niemal gwałtownie, przedarł ciężkie opony chmur i rzucił swój blask na twarz śpiącej. Nigdy, nigdy, nie zapomnę tego wrażenia. Siostró! to nie było ciało, żaden blask krwi nie zabarwił tych lic. To był piękny, lekkim oddechem poruszany blok marmurowy. Bywają takie twarze kobiece, które choroba, cierpienie, zawody, głód nawet zdaje się jeno uszlachetnieć, wyidealnieć, upięknieć.

Jennie! chcę powierzyć Ci różne tajemnice mego serca — liczę na Twoją dyskrecję — (jesteś mi ją przecie dłużna). W przeciwnym razie, Tom nigdyby Ci więcej nie zaufał.

A zatem:

1) Będę musiał się od nowa przemienić, by móżdż na śpiącą kobietę bez litości patrzeć.

2) Litość ta — to nie odruch mojej natury, mojej krwi czy temperamentu, to wytwór moich filozoficznych dociekań.

3) O! Bądźcie błogosławione, wy! kobiety.

4) Niech Bóg strzeże Was, wy duże dzieci i wasz odwieczny pełen wdzięku urok dobroczynny.

5) Kocham was wszystkie, jedne mniej — drugie więcej, wszystkie jednak.

O! bezbronna droga istoto — kobieto! (Jennie, jest to moje osobiste uczucie ilekroć patrzę na śpiącą Ewę. Zupełnie to się nie odnosi do Ciebie. Gdybyś jednak położyła się obok niej, Ty, lub jakie inne kobiety — to pozdrowię was wszystkie w imię Boże i będę do was mówił sercem przepelnionem). Śpijcie, spoczywajcie piękne kobiety, to jedyny wasz wolny czas, o! biedne, biedne marzycielki, biedne, słabe istoty! Co wyście musiały wycierpieć w długiej wędrówce ludzkości, co jeszcze wycierpicie dopóki nie zaświta dzień, w którym wam włożą koronę na głowę. To wy przecie jesteście koroną stworzenia — nie mężczyzna. Wy utrzymujecie święte węzły z duchem wszechświata, w łonie waszem drzemią nieukozone, wieczne tęsknoty — marzenie, piękno, dobro. Wy dajecie byt życiu, które mężczyzna — szalenię, niszczy ogniem i mieczem. Wy rodzicie kwiaty — dzieci

— wy je chowacie, karmicie, pielęgnujecie. Mężczyzna umie jeno nóż ostrzyć i kuć łańcuchy. Wprawdzie on swe czyny pokrywa szumną nazwą miłości ojczyzny, wiary, wolności. A przecie hańbienie kobiet, zabijanie niemowląt, pustoszenie domów i krain, niewola, despotyzm, kapitalizm, nie jest ni miłością ojczyzny, ni dążeniem do wolności. Powiedzcie mu, że tchórzem jest, że lęka się zdejść jarzma niewoli z was, słabszej połowy ludzkości, ze strachu jedynie przed waszą siłą, współzawodnictwem. On już dziś nie może utrzymać się na równi z kobietą terażniejszości — ona go już dogania. Kobieta przyszłości minie go i zostawi go na drodze tak ogłupionego, jak głupieje człowiek, gdy mu burza zerwie kapelusz i parasol, unosząc go het w chmury — hahaha! Czyż powiedziałem za wiele? A jednak nie cofnąłbym ani jednego słowa. Popatrzcie na niego, mężczyznę, jak staje się coraz słabszym, mniejszym, bardziej nerwowym, jak degeneruje go każda generacya, jak karleje z każdym stuleciem. Ale to są tylko fizyczne małostki. Popatrzcie na jego dorobek w ciągu 6000 lat, w czasie gdy kobieta była spletaną. Popatrzcie na jego gospodarke. Jak daleko zaszedł ze swoją burżuazyą i prawem wyborczem — hahaha! —

Ziemia, to bądź co bądź raj. Obfituje we wszystko czego dusza zapragnie. Rodzi samą rozkosz i dobrobyt — a jednak setki tysięcy cierpią

niedostatek, giną z głodu — z rozpacz. A przecie człowieka dręczą nie jakieś widma, upiory, lecz jego własne dzieci, bracia, siostry — żona, on sam nawet.

(3 w nocy).

Ciekawa rzecz, czem właściwie jest to, co my nazywamy duszą ludzką?

Czy ja jestem jej własnością, czy ona moją? — czy istniała już przedemną — czy poczęła się wraz z ciałem mojem? Kto z nas przetrwa — ja, czy ona? To jedno jasnym jest, że nie jesteśmy jednością, gdyż to, co się już stopiło w jedność, wojny z sobą prowadzić nie może. A to dziwne połączenie duszy z ciałem, robi wrażenie jakiejś pożałowania godnej pary, jakiegoś niedobranego małżeństwa, małżeństwa z przymusu, bez miłości — bez wspólności interesów nawet. Źródła ich pochodzenia są różne. Jedno zrodziła ziemia, drugie niebo. Jedno żąda swobodnego, naturalnego życia — drugie narzuca mu jakieś obowiązki, marzenia przyniesione z sobą z chmur, z kraju wieszczek i snów. Faktycznie niema nadziei, aby kiedykolwiek spokój w tego rodzaju stadle zapanował — sprowadzi go śmierć, zabierając jedno z dwojga. Ilekroć myślę o tych ciemnych, strasznych zagadkach, wydaje mi się, jakobym szedł bez przewodników, bez świateł, zabłąkany w jakimś potwornym labiryncie, jakiejś jaskini mamutów. Jedyny szmer, co mi przypomina życie i rzeczywistość



to mój własny oddech. Odgłos moich własnych nigdy nie ustających kroków, po krzywej, urwistej drodze, to jedyny ton, który jak echo zawodzi w pustce i czasem szepnie głosem nadziei — „oto droga, światło!“ Od czasu do czasu wśród pełnego trwogi błędzenia, spotykam jakiegoś ducha — upiora — czasami spotykam człowieka. On, jak ja, bezradny i opuszczony szuka, jak ja — wyjścia z tej matni. Tam, gdzieś, daleko, na świecie piękne, błękitne niebo, ciepłe, wonne powietrze wiosny, tam na zewnątrz łąki, pola kwietne, lasy pełne żywicznej woni i świeżej zieleni, cały rozśpiewany, rozegrany, rozśmiany świat. Och! gdybym znaleźć mógł wyśnione bramy labiryntu, lub nigdy, nigdy nie wpadł w tę otchłań. — — —

„Zaprawdę, powiadam wam: nie wniejdziecie do królestwa niebieskiego, jeśli się nie staniecie czyści jako jeden z tych maluczkich“.

I czego mózg mędrca — nie zbada, nie zgłębi,  
To odkryć potrafi dziecka duch gołębi.

Te wspaniałe słowa syna człowieczego i człowieka co zamknął w swej duszy pierwiastek boskości, przychodzą mi na myśl, ponieważ myślę o Bertie.

Swoją drogą, wiem że piszę głupstwa; Bertie bowiem wobec moich chromających ustawicznie idealnych teorii, jest skończonym filozofem praktyczności.

Bertie zanosi się na rycerza filozofa, coś na kształt małego Aleksandra, co cięciem pałasza rozcina gordyjski węzeł. Wogóle łączy w sobie filozofię, dyplomacyę i bezczelność w tak cudowną trójcę, że nawet Wszechmocny z wola lub bez, musi ją uznać.

Właściwie nie powinienem ci o tem pisać, co Bertie zrobił. Jesteś przecie jego ciotką i masz zresztą prawo zbesztać bąka. Co do mnie nie uczyniłem tego — z tchórzostwa, czy sympatyi — nie wiem.

W zaduszki poszliśmy na cmentarz, ubrać grób Elsie. Skoro to uczyniliśmy, usiadłem naprzeciw mogiły, wziąłem Bertie na kolana i usiłowałem zebrać poplątane pasma moich myśli.

Myślałem o tem, czy też przyjdzie kiedy czas w którym to dziecie, spoczywające w tej mogiłce będę mógł objąć, ucałować w złociste loczki i purpurowe usteczka — tak, jak czyniliśmy to dawniej.

Wtem Bertie zapytał mnie nieco niepewnym głosem:

— Ojczy?

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Czy mogę cię o coś spytać ojczy?

— Naturalnie mój mały.

— Powiedz, cobyś powiedział, gdyby Pan Bóg zesłał na ciebie śmierć, a jakiś człowiek pochował cię tu w dole i... — tu zatrzymał się.

— I...? cóż dalej?

— I gdyby Pan Bóg zapomniał o tobie i zostawił cię tam, w dole — cobyś powiedział?

— Chcesz powiedzieć coby to było gdyby Pan Bóg nie pozwolił mi zmartwychwstać?

— Tak, ojczy, gdyby Pan Bóg zostawił cię tam w dole, na zawsze, zupełnie na zawsze i gdybyś nigdy zamtąd nie wyszedł, cobyś powiedział?

— Hm!... ja sądzę, że nic.

— A ja bym powiedział!

— No! cobyś powiedział?

— Kiedy nie powiem, bo to jest głupie.

— Głupie? przecież mnie możesz wszystko powiedzieć.

— Ja rzekłbym tak: Panie Boże! to ty także kłamiesz.

To silne — czyż nie? Ale Bertie by powiedział — prosto w twarz Bogu, tak jak mnie wówczas. Ręczę za to.

(4 w nocy).

Oto najcichsza, najspokojniejsza godzina w całym mieście. Żaden szmer nie dobiega z daleka i nie ma ci ciszy. Wozy nie toczą się jeszcze po bruku, nie słychać nawet wycia syreny wśród nocnej ciszy. Nie słychać tu także głosu puhaczy, ni piania kogutów, ni rehotu żab, ni brzęczenia moskitów.

Myślę o Tobie, o drogiem kochanem Pilot Kurt — śpij, spoczywaj, droga, najdroższa Jeunie.

(5 rano).

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Siostró gdybym się mógł pozbyć cięższej mi troski o byt i całą potęgę duszy mojej skupić w jednym punkcie, napisałbym poemat, wielki poemat. Dosiadłbym pegaza, co byłby tak dziki, niepowściągniony, jak nigdy nie znający cugli rumak stepowy. I tylko rozległby się tentent jego grzmiących kopyt na placu targowym — i taki by się wzniósł pył z potarganych ksiąg, z przestarzałych manuskryptów, że zaćmiłby oczy wszystkich recenzentów, agentów, księgarzy. Hypogryf mój wzbiłby się zaś tak wysoko, gdzieś w błękitne nieba, gdzieby go ni pocisk, ni strzała nie dosięgła.

Śmierć atletom, których mowy drżą, śmierć poetom, co nie mają czem się żywić, śmierć orłom, którym burza zwichnęła skrzydła. O! o! o! straszne uczucie! nadchodzi ono na mnie, gdy duch poezji odlata, zabity troską. Straszne uczucie, to coś jak lęk pogrzebanego w letargu, którego dłoń natrafi w ciemności na zabite wieko trumny. Chwilami miewam wrażenie, że ten co rząd gwiazd dzierży w dłoni, schodzi ku mnie i dyktuje mi słowa, które piszę. Chwilami czuję, jak wszystkie potęgi ciemności potężnem uderzeniem młota rozwalają mi mózg, z którego wszystkie myśli moje lecą w nicość.

(6 rano).

Już dzień. Całą noc spędziłem na rozmowie

z Tobą. — Cóż bym robił bez tej rozrywki? Niech będzie błogosławione pióro, atrament, papier.

(7 rano).

Od tej chwili aż do ósmej porządkuję w kancelaryi. Koniec zatem pisania. O 8 godzinie punktualnie zaczyna się ruch. Już jednak o w pół do ósmej dozorca otwiera drzwi i wypuszcza Toma Pratta na wolność. Toma, który przez 14 godzin strzegł sklepu od łotrzyków Nowego Yorku (a tych jest dużo, nie licząc tych, co się zbierają na Wallstreet).

Czemu oni mnie zamykają? Ludzie dzisiejszych czasów są tak bajecznie ostrożni, że strzegą nawet stróża, co pilnuje domu.

*Tom.*

*Nowy York noc Sylwestrowa 1900 — 1901.*

**Droga, Droga Siostro!**

Siedzę już oto połowę nocy — zamknięty w tym składzie towarów i męczę się w nieznośnej bezczynności. Nie mogę dobrać odpowiednich myśli do mojego dzieła. Te, które absorbują mózg mój są faktycznie szalone i nie do użytku. Cóż mam robić, śpiewać, modlić się, skakać, prosić Boga o natchnienie? Spać nie mogę -- nie powinienem i zresztą nie byłbym w stanie. A to jeszcze tak

daleko do chwili, kiedy mnie ztąd wypuszczą i pozwolą iść do domu.

Zegar wydzwania 1 godzinę.

Nowy Rok! Dopiero uciszył się gwar i hałas, którym nasi burżuje obchodzą sylwestrową noc. Tak, jak zawsze, jak co roku, obchodzą ją hucznie i wesoło. W tej chwili zmęczeni idą na spoczynek, odświeżają się wodą sodową, by mózdz nazajutrz dalej pić i bawić się.

Ah! Siostró nasza mnie znów dziwna melancholia — w dodatku jestem samotnym. Gdybym był w domu, między ludźmi znalazłbym ujście dla mego przepełnionego serca, tutaj zaś nie mogę wyładować moich uczuć.

Duchy zmarłych krążą nademną — jakby żądając swej daniny.

Siedzę tu oto samotny — słyszę jeno monotonny głos zegara, skrzyp mego własnego pióra, chrobotanie myszy gdzieś pod podłogą. — — — A ta groźna, głucha noc — to przecie sylwestrowa noc. A rok temu? Boże! jeden rok i tyle spustoszeń. Ah! rok temu nie byłem tak samotny — siedziałem przy łóżeczku mojej, jeszcze żyjącej Elsie, obok mej jeszcze zdrowej Ewy i... i z dwójgiem rąk jeszcze. A szczęście moje wydało mi się nieprzebrane. Oto otaczały mnie dusze, które Bóg mi powierzył — białe, niby płatki śnieżne, a wszystkie one stawały mi się droższe, bliższe, wrastały coraz mocniej w duszę moją, za każdym uśmiechem,

westchnieniem, ruchem. Tam na dworze jęczał wśród ciemności wiatr i hulał wśród oceanu domów. Mróz pukał w okna i drzwi jakby prosząc o gościnę — a ja śniłem, marzyłem, bujałem myślą het! w chmurach, lecz wzrok mój z najdalszych dali powracał do nich, do żony mojej spoczywającej na pościelisku swych własnych włosów, a potem ku dzieciom moim. Bertie spał słodko, objąwszy rączkami siostrę, jakby czuł, że niedalekim już cios, co miał mu ją wyrwać na wieki. A nad nią unosił się jakiś zaświatowy wiew — dech śmierci, co ją miał wkrótce przenieść do grona aniołów.

(3 w nocy).

Trzy razy trzy, równa się dziewięć. To można dowieść. Trzy razy trzy, równa się cztery. To może być też jakimś stadu idiotów dowiedzionem. Dowód zatem nie jest nieomylny, jak to ludzie sądzą. Świadczą o tem do pewnego stopnia adwokaci, którzy na zawołanie robią z czarnego białe. Zatem dowód zależnym jest raczej od dowodzącego niż od materji samego dowodu.

Przypuszczam, że mi ktoś powie: Pracie, ty masz duszę nieśmiertelną, a potem zaczniesz dowodzić mi tego pewnika, wówczas wzbudzi się we mnie podejrzenie, czy przypadkiem nie należę do tej trzody kretynów, co pozwoli wmówić sobie, że trzy razy trzy, równa się czterem, a ta myśl wystarczy, bym zaczął wątpić o nieśmiertelności duszy. Zaczynam więc ostrą samokrytykę, na temat

moich właściwości duchowych. Z tego wyciągam jeden tylko niezawodny wniosek: ja sam muszę sobie o duszy mojej zdobyć pojęcie — muszę ją sam odczuć, zrozumieć, a nie ktoś obcy. Ktoś inny może tylko też o swojej duszy coś powiedzieć, moja jest dla niego zagadką. Psiakrew! toż on nie umie zdać sobie sprawy nawet z moich cierpień fizycznych, jeżeli go moją grą twarzy na tę myśl nie naprowadzę.

Dość — — —

Niektórzy filozofowie twierdzą, że istnienie Boga nie może być dowiedzionem z braku potrzebnych danych. Brakuje tu wiadomej wielkości, jakby powiedział jakiś matematyk, któraby mogła posłużyć za podstawę obliczeń. Ci panowie uprawiają politykę strusiów w pustyni nauki. Ścigani tą zagadką gonią nieustannie w koło, wracając co chwila do dawnego punktu wyjścia, a ponieważ sami kryjąc głowy w piasek nic nie widzą — głoszą, że nikt nic zobaczyć nie może. Nieraz składają oni dość duże, obiecujące jaje. Najtrudniejszą jednak rzecz, wyląg piskląt, pozostawili działaniu słońca. Zanim jednak słońce proces ten do końca doprowadzi, to szczury, czy chrząszcze dawno już żółtko zjedzą. To, że tu i ówdzie jakieś sikory, czy wróble w zarozumiałości swojej pochlebiają sobie, że zdołają jaje wysiedzieć, to może najwyżej śmiech wzbudzić; lecz że strusie biegają tylko po liniach krzywych i z granic pustyni nie



dostają się w zielony kwitnący kraj życia to przede wszystkim smutne.

Inni filozofowie, co nie zważają na żadne przeszkody, wybijają dziurę w murze własną głową. Przez ową dziurę widzą ci ludzie jakieś nadnaturalne rzeczy, zależnie od tego, czy mniej lub więcej mózg im się otrząsł przy przebijaniu muru. Czasami widzą nawet niebo otwarte i Syon o złotych perłami nabijanych bramach. Widzą samego Boga we własnej osobie, już to w chwili, gdy na pościeli z chmur spoczywa, lub też, gdy wśród błyskawic i grzmotów rozbija się po niebie, na swoim wozie, niby jakiś szampion automobilista. Widzą oni aniołów. Serafy grają na skrzypcach, tańczą, lub pilnie każdą przybywającą duszę ważą, z dokładnością kramarza, sprzedającego masło lub kartofle. Słowem, widzą owo życie do najdrobniejszych szczegółów. Rzecz to dla nich zupełnie pewna, stwierdzona, nie ulegająca żadnej wątpliwości, kwestyi i t. d. Amen.

Ten gatunek filozofów, przyjął na siebie rolę bawołów w zwierzyńcu świata uczonych. Łby twarde, czoła z miedzi. Uderzeniem potężnych rogów miażdżą wszystko. A kto odbiega od ich „credo“ — to napewno heretyk. Barwa czerwona, czerwone sukno, czy chorągiew, doprowadza ich do szału. W odróżnieniu jednak od strusi, brodzą po brzuch w jadle. Zielona, bujna trawa wrasta im formalnie w pyski, za to z uszów wygląda im niedyskretnie

sucha słoma. Lecz to jest tylko śmieszne. To zaś, że całe życie poświęcili badaniu boskich tajemnic, a właśnie w tej dziedzinie są głupi, jak stołowe nogi — to smutne. I są znów inni filozofowie pesymizmu, apostołowie wszech-bólu, którzy z ciągłego udrezczania się schną, chudną, wędną, tracą apetyt, zdrową krew, normalnie funkcjonującą wątrobę, żółć, kwas żołądkowy, zęby, włosy, miłość, nadzieję, wiarę, radość życia. Pod ramię ze wszech-bólem kroczą przez drogę życia, starannie zbierając wszystkie osty i ciernie, depczą kwiaty, nie widzą harmonii, ni piękności, starannie niby zarazę, omijają ludzi szczęśliwych i śmiejących się. Żyć mogą chyba z duchami na cmentarzach, a bawić się szkieletem i trupią czaszką. Tantalowi uciekały pieczone gołąbki z przed ust, ilekroć ręką po nie sięgnął, pesymista dobrowolnie zacina zęby i usuwa usta, choć słodka czara życia ku niemu się zbliża. Nie byłoby w tem zresztą nic smutnego — smutek tkwi tylko w ich przekonaniu, że przyjście na świat — to ich największe nieszczęście. Lecz, że na to ich zdanie ludzie — się godzą, że godzi się nawet ich własny ojciec, to już jest wprost śmieszne. Myślicieli takich trudno porównać z jakimkolwiek zwierzęciem — bo każde zwierze mniej lub więcej cieszy się życiem i czerpie dobro i radość z rąk wspaniałej przyrody.

Inni znów — to filozofowie śmiechu. Połowa z nich jednak to dzieci, druga połowa kradnie

cudze dowcipy i pod własną marką w świat puszcza.

I jeszcze są filozofowie korsarze (ateiści). Każdej napotkanej duszy rabują ster, żagle, kotwice i niby pustą łupinę puszczają w dalszą drogę.

To znów są skąpi filozofowie egoizmu. Biorą w siebie wszystko. Bystrą swą obserwacją gromadzą wiadomość, mądrość, niezależność zdania — lecz nigdy nic z tego nie uzewnętrznia. Milczenie — to ich pierwsze i najważniejsze przykazanie. Umierają niby skąpcy wśród olbrzymich skarbów — nigdy jednak żadnego nędzarza niczem nie obdarzą.

Nakoniec filozofowie marnotrawcy, którzy gadatliwością tak skarby swe rozrzucają, że schodzą w końcu do poziomu bankrutów umysłowych. Tu i tam wprowadzie ktoś od nich coś skorzystał, otoczenie ich doświadczeniem zdobyło nieco przeczności — oni jednak giną, jak każdy marnotrawca — do dna zbankrutowani.

I jeszcze filozofowie — Świat roi się od filozofów, powietrze zgęstniało kompletnie od ich jęków, lamentów, westchnień z przekleństwami nawet — przepoiło się nimi niby kwasem siarczanym. No! i cóż ci panowie w końcu zyskali? Cóż zdobył ten pułk myślicieli z Sokratesem na prawem skrzydle, a ze „Spencerkiem“ na lewym. Cóż zdobyli, czego dowiedli w ciągu wielu wieków.

Inne gałęzie wiedzy ludzkiej działy w tym czasie cuda, a z czemże wystąpi filozofia w dniu sądu? — Czy z księgami, co wazą całe cetnary, a treść ich lekka niby plewa? Tysiące książek, a kilka zaledwo myśli — ani jednego, pewnego, niewzruszonego dowodu. I tę chwiejną wierzę Babel chcą ci ludzie wznieść, aż do nieba.

A ja! Ileż razy błądziłem po tych głuchych piaskach pustyni, szukając oazy, czy źródła. Ileż razy w tej całej górze plew szukałem ziarnka prawdy. Grzebałem w chaosie dowodów — a nie znalazłem ani jednego, którym sceptycyzm nie mógłby się bawić niby piłką. Czytałem, badałem, połknałem tyle filozoficznych rodzyneków, ogórków, cebuli i limburskiego sera, że w końcu przejadł. I byłbym nędznie umarł na niestrawność, gdybym od czasu do czasu nie wysłuchał kazania, co dla mnie zawsze było niezawodnym antidotum.

Łączność między Bogiem i człowiekiem istnieje tylko w uczuciu. Uczucie bez poznania jest najniższym szczeblem życia.

Różnica między najwyższym duchem a stworzeniem, polega tylko na mniejszem poznaniu tego ostatniego.

Nie wątpię, że z największem poznaniem łączy się rozwiązanie problemu wieczności.

Przeznaczonym jest człowiek do rozwiązywania każdego problemu, a sprawiedliwość wymaga by ilekroć silnie zechce, każdy problem rozwiązał.

Wszystko to jednak — to wstrętny galimatyas i mam go już dość, aż po uszy.

Letnia niedziela. W gorącym, upalnym wprost powietrzu unoszą się obłoki pyłu. Mury ulic w St. Louis rozżarzone niby piece żelazne. Starzy i młodzi — każdy, co ma chwilę wolną, ucieka z miasta, w cieniste parki, lub szuka chłodu na wybrzeżach Mississipi.

Od rana już wyszedłem na miasto, owiane jak zwykle w niedzielę świątecznym nastrojem. Prosił mnie bowiem dzień przed tem jeden z moich przyjaciół, by wraz z nim zrobić wycieczkę do podmiejskiej fermy, własności rodziców jego żony. Z całą starannością przygotowywałem się na tę wycieczkę, fryzowałem włosy, stroiłem się. Byłem podówczas jeszcze kawalerem.

No i wszystko dobrze — właściwie zupełnie źle ku memu zmartwieniu, a jeszcze większej rozpacz mego przyjaciela. Zastałem go bowiem w łóżku, jęczącego z bólu. Były to ostatnie odbryzgi choleryny, której dostał w nocy. On twierdził, że przyczyną choroby było piwo, które pił dzień przedtem, ona, że to mus jabłeczny, który mu ugotowała na wieczerzę. Do tego dysonansu zapatrywań, mącałego zwykłą harmonię małżonków, dorzuciłem i ja jeden ton i zaopiniowałem, że

przyczyną wszystkiego złego były jabłka w połączeniu z piwem.

Oboje gospodarstwo zatrzymali mnie na obiad. Popołudniu więc dopiero wyszedłem. Połowa niedzieli była zmarnowana, a wraz z nią ulotnił się mój świąteczny nastrój. Wyszędłszy, skierowałem się ku jednej z głównych ulic, by wsiąść w pierwszy lepszy tramwaj i pojechać byle gdzie, byle dalej od tego rozpalonego miasta, od tych rozżarzonych domów i ulic. Po drodze musiałem, szanując moje świeżo oczyszczone buty, wyminąć jakiś budujący się dom, skutkiem czego nie zdążyłem wsiąść do właśnie mijającego mnie tramwaju. Dopiero po długiej chwili oczekiwania wsiadłem do następnego, dążącego w kierunku zachodnim. Był on jednak już po brzegi wypełniony; wewnątrz panował przerażający ścisk. Ci, co siedzieli dusili się, jak śledzie w beczce, ci co stali chwiali się w różne strony za każdym ruchem wagonu, niby pijani. Inni znów wisieli w powietrzu, trzymając się poręczy. Ja byłem w rzędzie tych ostatnich. Nasz los był najgorszym. — Wiatr niósł całą kurzawę prosto w oczy, słońce paliło twarz, kapelusze spadały z głów, a każdy truchlał o swoje nagniotki. W każdym razie posuwaliśmy się naprzód. Szeregi domów uciekały ciągle wstecz i pozostawały za nami.

Nagle z za murów ukazały się zielone drzewa, murawa, gazony kwiatowe, otoczone żelazną kratą.

„Cmentarz!“ przemknęło mi nagle przez myśl. Nie wiem już jak i czemu wyskoczyłem z tramwaju. Pełnym wdzięku ruchem wyminąłem przejeżdżający powóz — mniej szczęśliwie powiodło mi się z jakimś postrzelonym cyklistą. Nakoniec przez żelazną bramę wszedłem w państwo umarłych. Pełen trwożnego szacunku zdjąłem kapelusz. Orzeźwiający wiatr chłodził mi twarz. Wonne od zapachu kwiatów powietrze, niby jakiś powiew z nieba ogarnęło mnie całego.

„Bóg z wami“, szepnąłem do tych, co tu dziś śpią, a niegdyś — niedawno może jeszcze żyli. Bóg z wami. Ci, co zostali na świecie pochowali was pięknie. Dzieci swoich rodziców — rodzice nadzieje swoje. Miłość i cześć splotły się razem i zaznaczyły swe ślady na płytach grobowych, co nad waszemi głowami ciążą, póki ich Bóg nie zdejmie w dzień sądu. Ah! żywi nie przypuszczają nawet jak bliską jest śmierć, jak ona czyha! Jedno uderzenie puls, jedno oka mgnienie i już następuje śmierć. Radość i ból, szczęście i nieszczęście kroczą razem po drodze życia. Śmiech i rozpacz, miłość i nienawiść, to nierozdzielni towarzysze. Gdy jeden śpi — drugi czuwa. Jedno łono zrodziło, jedna kolebka wykołysała, te miliony sprzeczności, a los rzucił je w świat na wieczną walkę, ból, zamęt, dopóki zmęczone, wyczerpane, nie wrócą tu, zbratane jak niegdyś, ciche jak niegdyś, spocząć tu, na cmentarzu. Powoli posuwałem

się wzdłuż wijącej się ścieżki cmentarnej, coraz dalej w głąb, aż do poświęcanych ołtarzy kapliczki. Tam ukląknęłam i modliłam się za wszystkich pomarłych. Potem poszedłam dalej, bez planu, bez celu. Błądziłam wśród wzgórzy, zwirowatych ścieżek, uliczek, trawy. Czasem pociągnął mnie ku sobie, jakiś wspaniały pomnik, to znów drewniana prosta tablica, skromny, samotny kwiateczek, to znów całe grzędy hiacenty, lilii, rumianku, jakby u stóp ich leżał święty i jakby za chwilę zrzuciwszy z siebie pokłady gliny i piasku miał wzlecieć ku niebu.

Nagle ujrzałam kobietę — nie! dziewczę. Zatrzymałam oddech, lękałam się, że lada tchnienie rozwieje to zjawisko w mgły. Nie dalej, jak dziesięć kroków odemnie, na trawę porosłej mogile, klęczała dziewczyna, wspierając twarz i ręce o krzyż zmurszały. Boże! śniłem kiedyś ten obraz przeczuwałam, że kiedyś znajdę go, a wraz z nim przystań, cel mego życia. To nie złudzenie — to ona, w snach najgoretszych przeczuwana, upragniona. Szukałam jej życie całe — śniłem o takim spotkaniu — okolicznościach, czasie, miejscu, śniłem jej postać, wdzięk, młodość, nędzę, opuszczenie, sieroctwo. I marzyło mi się, że oto przyjdę ja — wybrany z tysiąca, przez Boga zesłany na ratunek, ja zbawca — że podniosę sierotę rozpaczającą na mogile matki, uniosę z sobą, dam jej miłość, radość, szczęście.



Musiałem krzyknąć. Dziewczyna drgnęła przestraszona i spojrzała na mnie. Sen się prześnił — obraz się zamglił. Biedne stworzenie, któremu miałem być zbawcą, zniknęło nagle. Ah! cała idylla młodości mojej, której tęsknota dodawała barw błękitniejszych, niż wszystkie barwy nieba zniknęła nagle. Przedemną, na tem samym miejscu stał anioł boży, co patrzył na mnie z taką powagą, że uczułem w sobie wstyd żebraka, z takim spokojem nadziemskim, że pochyliłem głowę w poczuciu, że jestem tylko marnym robakiem ziemskim. Przedemną stał anioł, co w dłoni swej dzierżył klucz od bram mego raju; anioł, który rozporządzał całym szczęściem mojego życia i całym jego bólem. To ja stałem teraz przed nim bezbronny, bezradny, tak biedny, że nie pozostawało mi nic innego — jak paść do nóg anioła i resztą tchu w piersi błagać: „Łaski! o! łaski!“ Uczyniłem to — i padłem do nóg Ewy.

Zachodzące, złoto-purpurowe słońce schodziło z czystego wieczornego nieba w cienie nocy. Lecz słońce to, to światło nieb pogodnych, co majestatem swym oślepia oczy ludzkie — jest tylko zwiastunem gwiazdy Wenus. I cokolwiekby ludzie mówili, jakimiby pieśniami chwalili światło światła, słońce słońc — to można tylko uznać w dzień.

Wieczorem zaś, gdy na ziemię schodzą mistyczne światła i cienie, gdy ogarniają, podbijają wszystko pod swą władzę — świat cały spieszy do ołtarzy, u których ziemia cała dań składa — kobiecie. Nie mogłem już żyć spokojnie. Czułem to. Moja izdebka stała się ciasną, jak trumna, której wieko lada chwila miało opaść. Czasami kłękałem i modliłem się, ale jakaś ręka pozrywała wszystkie węzły między mną i Bogiem, jakaś postać stawała co raz wyraźniej między mną i nim. Chwilami latałem jak szalony po pokoju, lecz to nie uspakało mnie. — Siadałem przy oknie, zapatrzony w niebo, ale wówczas niepokój mój wzrastał. Ostatnie pocałunki złożone na ustach dziewczęcia, które odprowadziłem z cmentarza do domu, paliły niby rozżarzone węgle moje wargi, policzki, czoło.

„Uduszę się!“ Krzyknąłem nagle — porwałem kapelusz i wybiegłem w tłok i zamęt uliczny, opanowany szaloną myślą, widzenie jej teraz wśród nocy, choćby z narażeniem jej nieskalanej opinii.

Nieprzytomny prawie wskoczyłem do przebiegającego mimo tramwaju, który niósł mnie daleko w przeciwnym kierunku.

W godzinę później, w północnej stronie, gdzie miasto tworzy malowniczy widok, snuł się najwidoczniej bez żadnego celu jakiś człowiek wśród podmiejskich ferm. Zatrzymał się na chwilę — rozprężył ramiona, jakby chciał objąć cały świat,

wraz z jego wszystkimi skarbami. Potem powlókł się dalej. Ktoś obcy wziąłby go za waryata, lub zrozbaczonego samobójcę. Znów stanął — nagle rzucił się twarzą w zroszoną zielenią murawy i pozostał tak nieruchomy.

Gdzieś w pobliżu huczała rzeka, miotając olbrzymimi falami spienionych wód — wokół falowały i szemrały z wiatrem pola i lasy. Niby w zawistnych zawodach o zwycięstwo wyciągały drzewa swoje ramiona nad niższą krzewiną, krzewy swoje gałązki nad kwieciem i trawą. Nad nimi zaś unosił się rozkoszny, ciepły oddech nocy letniej, poszum fal strumienia, pogwar wierzchołków drzew, i całe życie tego świata, tu na dole unosiło się w górę, w świetlane dale — niby słodka kołysanka letniej nocy.

Gdy po długim dobroczynnym płaczu powstałem w końcu — i spojrzałem w koło — zdało mi się, że całe życie skupiło się we mnie — a świat zmienił się w martwą bryłę — w mgliste środowisko — którego celem — jestem ja. Ja byłem centrum, czerwoną nicią łączącą oba bieguny — obrazem — świat, to jeno ramy. Przedemną leżała jakaś martwa przestrzeń wodna. Nie zauważyłem że to Mississipi, rzeka, która co dnia z pluskiem bije o brzegi, co dnia doliną snuje się ku morzu,

falę na falę zarzuca i w setki obrazów się zmienia. Wokół niej stały jakieś zarośla, drzewa, kwiecie polne, trzcina niby posągi dawno pomarłych rzeczy. Nie zauważyłem nawet, że oto okrywa ją świeża zieleń, że rosna, kwitna, gna się, prostują, ruchliwe i zmienne, jak fala. W górze nademną, mrugały gwiazdy, niby jakiś świat nad światem. Wydały mi się nieruchome, przybite na szafirowem tle nieba, co niby nabijane kosztownemi kamieniami kotary łoża zwisło nad uśpioną naturą. Nie spostrzegłem, że tam w górze, jak tu na ziemi, wszystko drga, rusza się, żyje, gna gdzieś w szalonym biegu, czerpie życie i daje je. Nie widziałem, że dla tych światów wieczność i nieskończoność, to arena, na której odprawia swoje radosne obrzędy pełne miłości noc majowa, po której przesuwają się kolejno ponura melancholia dni jesiennych, twórcza płodność dni letnich i głuche milczenie zimowych nocy.

Na niebie świeci 7 gwiazd i przegląda się w wodzie. To Oryon. Świecił on w tym samym majestacie blasku niegdyś nad błękitnem morzem greckiem, gdy przepojone boską pieśnią Homera powietrze niosło nieśmiertelne dźwięki, aż do gwiazd. Świecił tak samo, ponad praświatem, dymiących oparami bagnisk, gdy milczenie ponurej nocy przerywały tylko ryki legendarnych, trucizną ziejących smoków.

Był jednak czas, w którym świeciły inne

gwiazdy, lub żadnych nie było — w którym te, co dziś błyszczą na firmamencie spoczywały w łonach mgławic — a tu na dole nie było ni ziemi, ni wód.

Wprost nad moją głową zawisła jakaś gwiazda i spogląda ze swego świata ku memu. Jakaż przestrzeń dzieli mnie od niej — jakież niezmierne dale ciągną się między temi płonącemi gwiazdami, co niby zapalone pochodnie, rzucają swój blask i żar w ciemność i chłód nocy. Jakaż przestrzeń rzucił stwórca między nami i tamtym światem, przestrzeń, w której zabłąkać się może, myśl, modlitwa, marzenie.

A z pomiędzy tych krążących w nieskończoności systemów, z pomiędzy tych niezliczonych istnień, które dziś są, jutro giną, dziś świecą — jutro pokryją się pyłem lat, lodem — z całej tej masy tworów zapełniających przestrzeń, jeden twór się wyłonił — wszystko przeżył — wszystko przetrwał. Jeden z pomiędzy chaosu atomów, żywiołów co giną w rozpaczliwej walce o byt — jeden powstał silny, dumny, niezwyciężony — zwycięzca w odwiecznej walce — pogromca wrogów licznych, jak ziarnka piasku w morskiej toni — jeden tylko jedyny. Twór ten to ja! Jam jest tym, co nie może być zwyciężonym, władcą życia — panem stworzenia, koroną świata, podobnym Stwórcy. — Przejrzyjcie świat od krańca do krańca — nie znaj-

dziecie nic coby mogło stanąć między mną i Bogiem.

Czy to zarozumiałość? — bluźnierstwo? O! najgłębsza pokora, najistotniejsza wdzięczność przejmuję mnie. Mój Boże! jaką łaską stworzyłeś mnie na obraz i podobieństwo swoje, na mocy jakiej ofiary? —

Ach! wiem — tą ofiarą najpierwszą — to matka moja. Porodziła mnie w bólu na świat i nie przerwał się jej ból, nie ustał jęk, którego byłem przyczyną, dopóki nie spoczęła w grobie. I oto pierwsza. Biedna ty, biedna matko! A ty zostawiłaś za sobą swoją matkę, a ona swoją i tak dalej, dalej szeregiem. I oto w tej godzinie całe nieprzebrane państwo umarłych, liczne niby krople w morzu, powstają z mogił — i z dalekiej przeszłości, ciągnie pułkami przed wzrokiem moim. Boże mój, za jaką cenę żyję ja, tu — na mocy jakiej ofiary. Czyż musiałem stąpać po szczeblach, które śmierć buduje? Czy niema innej drogi z nicości do Ciebie? — Ach! widać tylko ta jedna istnieje, gdyby była inna wskazałaby ją dobroć i mądrość Twoja. Ach! a te tysiące spojrzeń na mnie zwróconych, oczy milionów ludzi, wzrok pytający i zimny, jakgdybym był zagadką wszelkich zagadnień, punktem środkowym dla przestrzeni i czasu. A to ciemne, straszne życie. Dokąd sięgnie wzrok mój, wszędzie widzę mord, nędze, rzeź. Wokół siebie widzę włosom obrosłych ludzi, obdartych z odzieży

— nagich — pełzną na rękach i nogach, wyłaniają się z otchłani piekieł, a usta ociekają im krwią ludzką. A za nimi zieją zgniłym oddechem w cieniach nocnych bagniska, porośłe krzewami o potwornych kształtach. W bagnie brodzą oślizgłe ropuchy, gady, przedpotopowe ichtyosaury i w napój potępieńców sączą jady swych ślin.

Przez tę otchłań piekielną muszę iść? I ty ze mną? Ty — Boże — ze mną? — czyż nieznasz innej drogi? — Musiałeś ty, gdzieś z ciemni przed oczy nasze wywołać te piekielne mary, te barbarzyńskie, nieludzkie zbrodnie? grzechy, co o pomstę wołają? Wszystko to musiałeś mi pokazać — miliony zbrodni spełnionych z zimną krwią, miliardy gwałtów, klątw, zdrad, fałszywych przysiąg. Tysiące okropności, godnych najstraszniejszej pomsty — parzenie się człowieka z bydłem, złowieszcze „hurra“ dyabłów, cieszących się ze zniszczenia, wszystko to musiałem, widzieć usłyszeć.

A ty nie dajesz innej pociechy, choćby pękało z ucisku biedne serce ludzkie, nad cichy szept: „poczekaj — później“. I pozwalasz, by ufność rozwiała się, by niewinność zginęła. Nie odpowiadasz na tysięczne błagalne spojrzenia, na wszystkie skargi, westchnienia, jęki rannych w bitwach, wyście torturowanych, głuchy jesteś na jęk izb szpitalnych, na krzyk, co się z więzień wydziera. I całemu temu bólowi i rozpacz, co z łona ziemi bije ku Tobie, zdolny jesteś tylko rzucić szept

„poczekaj — później“. Czy to tylko Twoja wszechmoc dać nam jest w stanie? A tymczasem ta ciężka maszynerya świata, lepka krwią oliwiona, zmiażdży do reszty plemię ludzkie i rzuci je w otchłań piekła.

Czy urodziła kiedy jaka matka dziecię swoje w takim strasznym bólu i grozie, jak Ty rodzisz, o! Przedwieczny, dzieci Twoje? — — —

— — — Boże! czy to tak w istocie? Wszechpotężny, więc tak? (Zda mi się, jakoby nagle blask zapalił, rozświetlił ciemności mojego więzienia — widzę światło, drogę, trawę. O! ratujcie mnie!) to Ty też Boże? Ty!? Czy to możebne? — O! ojciec mój, możebneż to, że ty walczysz o byt, jak ja? Jak ja lękasz się martwoty i ciszy, jak ja czujesz, myślisz, tęsknisz tylko potężniej niż ja. — Łączy nas to samo gorączkowe pragnienie jedności, postępu, miłości, szczęścia. O to samo walczymy, ja w ciasnej obręczy swej własnej duszy — Ty na arenie nieskończoności — z tym samym wrogiem równym Ci siłą, środkami, uporem w walce. Ty walczysz światłem — wróg Twój nocą — Ty miłością — on nienawiścią — Ty życiem — on śmiercią — Ty duchem i dobrocią — on zatraceniem ciała. Ty do walki stroisz się w miłość, prawdę, piękno, on wzywa na pomoc wszystkie potęgi piekieł. O! nieśmiertelny! I Ty włożyłeś losy tej walki w moje ręce — ja mogę przechylić szalę — mogę przyczynić się do obalenia Twej potęgi —



mogę zdruzgotać tron Twój, obedrzeć Cię z majestatu — zatruć radość Twoją.

Lenistwem lub niedołęstwem mogę zepsuć cały olbrzymi plan stworzenia świata, a Ciebie wydać wrogom Twoim na pośmiewisko.

A Ty mi dajesz tę ostrą straszną broń do ręki — powierzasz mi ją — ufasz mi. A ja po długiej, ciężkiej nocy budzę się, budzę się jak dziecko, co najpierw z oczu matki czerpie miłość i radość, a potem z jej piersi, tak ja zwracam się ku Tobie i wołam: Ojcze, miłuję Cię. Do tej chwili modliłem się do Ciebie z podziwem, drżałem przed Twym majestatem — nie kochałem Cię jednak — moje przysięgi, to były czcze słowa. W potędze Twojej zjawiałeś się przedemną groźny, straszny — jak upiór z zaziemskich krain.

Współczucie jest jednak potężniejszą siłą, niż podziw, miłość cieplejszą niż lęk, ojciec czemś większem, piękniejszym, niż Bóg. „Ojcze, miłuję Cię!“ Złączeni z sobą jesteśmy potęgą — jak długo nasze złączenie trwa, trwa nasze wieczne szczęście.

I każdego ranka, gdy wstaję z nowymi siłami do życia, gdy czuję ciepłą krew, pulsującą w żyłach — gdy czuję jak nowe myśli powstają w mym mózgu, wołam do Ciebie: „Ojcze, miłuję Cię!“

Mogę oto przerwać i zniszczyć to ciepłe, pulsujące życie, mogę zniszczyć tę odwieczną pracę Twoją nademną — jak zdrajca przejść do obozu

wroga twego — śmierci. — Lecz ojcze ja będę ci wiernym.

Gdy pójdę w lasu głąb — słucham gwaru cieni leśnych. Las mówi: „Zostań z nami, rozścielemy ci miękki mech na posłanie — zostań, porzuć trud i mękę życia, chodź do nas, damy ci kwiecica i jagód, ochronimy od skwaru i burzy, niedostępne skały zapewnią ci upragnioną samotność. Bóg dobry, on nie zapomni o samotniku, nakarmi go, odzieje — jak nas odziewa co roku — Bóg dobry. A ja powtarzam wraz z nimi: „Ojcze, miłuję Cię!“

Gdy popołudniowe, gorące słońce budzi wszelkie twory do życia, gdy niwy, ogrody, pola drżą potęgą życia, gdy całe stworzenie rozbrzmiewa tysiącem głosów, gdy wszystko woła, cieszy się, śmieje, płacze — ja z głębi przepełnionej piersi wołam: „Ojcze, miłuję Cię!“

Gdy noc w całym swym majestacie zejdzie na ziemię i ukaże wszystko, co zdołała wyrwać zniszczeniu i śmierci, w co zdołała tchnąć życie i ruch — wówczas powtarzam znowu: „Ojcze, miłuję Cię!“

Jeden ruch pochodni w mem ręku wystarczy by całą uroczą idyllę lasu, obrócić w popiołu garść. Jedno rozpetanie moich instynktów wystarczy, żeby ten cały raj ogrodów, pełny radości, szczęścia zmienić w zwęglone pobojuwisko, by dym i swąd spalonych ciał zastąpił zapach kwiecica. I cóż się stanie z Twemi światy niebieskimi? Choćbyś za-

pałał miliony gwiazd, ja jednak mogę własnego ducha shańbić, istotę boską we mnie spodlić — i oto twór stworzony na obraz i podobieństwo Twoje, niczem nie będzie się różnił od bezdusznego bydłęcia. Lecz niechże zmilknie bluźnierstwo w ustach moich. Ojcze ja zostanę Ci wiernym.

Dusza mistrza, wszystkie jego marzenia, wszystkie najlepsze części jego istnienia odzwierciadlają się w tworze jego. W zwierciadle tem utrwalił on istność własną i ubrał ją w barwy cudu. Przed żadnem innem zwierciadłem człowiek nie potrafi tak śmiać się, płakać, cieszyć. W żadnem nie zobaczy się tak wyraźnie. Ono odda jego obraz z wszystkimi barwami, pokaże jasne, błękitne tony i ciemne. Przed oczyma starca, co się w nie wpatruje przesunie się życie jego całe — od kolebki do mogiły. Wszystko, co przeżył, wszystkie marzenia, uczucia, co przeciągnęły przez duszę jego w ciągu lat wielu. Wszystko ku niemu ze zwierciadła spoziera — cieszy go lub martwi. Czasami klęka przed niem matka, której serce pęka pod nawałem trosk, patrzy w zwierciadło; póki łzy jej nie oschną, póki gorzko zgiętych ust nie rozchyli uśmiech. Przed zwierciadłem tem staje Odwieczny, spogląda nań z dumą i radością, a czasem z troską — bo gdyby pod uderzeniem swawolnej ręki zwierciadło prysło — nie stworzyłby nic piękniejszego — to jego arcydzieło. To pogromca śmierci, to najpotężniejszy twór wszechmocy. To broń, którą

duch światła walczy ze śmiercią o władzę nad światem. — Zwierciadłem tem — jest dziecię. Jego usta, oczy odradzające się życie martwych pokoleń.

„Ojcze, miłuję Cię!“

Zdejmuje mnie dreszcz — te słabe, bezbronne twory twoje mogą zniszczyć, zaprzepaścić, przykładem mojej złości bezwstydu, okrucieństwa mogą je strącić w piekło. Jam tutaj wszechmocny — mogę zniszczyć, to, co Ty budujesz. Lecz, Ojcze, ja zostanę Ci wiernym.

Niech wola Twoja będzie moją, duch Twój moim, Twój wróg moim wrogiem. Niech za wszelką cenę, prawda będzie moją religią, sprawiedliwość, ofiarność — wiarą moją. Niech pragnienie połączenia wszystkich ludzi w jedną kochającą Cię rodzinę będzie religią moją! Niech ze zwycięską pieśnią na ustach idę z nizin pełnych walki i dymu na niebotyczne wyże. Z głuchoj nocy milczenia — do coraz świetlejszego życia, coraz czystszej poznania. Przedwieczny, pozwól mi z padołu walki i łez budować szczeble, aż do stóp tronu Twego, bym tam, ja, stworzony na obraz i podobieństwo Twoje sięść mógł — i stamtąd, gdy przyjdzie dzień sądu ostatecznego mógł sądzić żywych i umarłych.

„Ojcze! miłuję Cię!“

A kiedy wybije ostatnia godzina życia i wszystko, każda rzecz, każda krwi kropla zwiastuje mi przyście śmierci — — — wówczas raz jeszcze, niby pielgrzym u kresu swej drogi obróćę się

i spojrzę na białą ścieżkę mego życia. Tam w dolinie minęła młodość moja — dalej widzę pierwsze cienie, które mi burza, niby chmury naniosła na drogę życia. Dalej wznosi się twarda ściana skał, het zawisł most wąty nad przepaścią. Gdzieindziej czerni się las, a w nim czyha lęk, tęsknota za ścieżką, coby mnie wyprowadziła na światło życia.

W tej ostatniej godzinie odczuję może jeszcze chęć dalszego życia, może ona będzie tak gorąca, jak nigdy przedtem. Może odczuję ból rozstania — nim odejdę, tęsknotę za ojczyzną nim ją opuszczę, skruczę nim będę osądzonym.

Może raz jeszcze dusza moja zadrży przecuciem nieba, może uczuje to, co czują ludzie kołysani melodią muzyki, może zapłacze łzami, w których rozplywa się ból i radość.

Zimny był ranek, upalne południe, dziecię zmęczone dniem wraca wieczorem do swej izdebki. Życie ludzkie to taki długi dzień. Tyle kwiatów zwiędło, tyle kwiatów zerwało dziecię własną ręką i rzuciło w pył. Zawalało buzię i rączki — sukienkę podarło w łachmany. Igraszki jego dzikie były i okrutne czasami — lecz ty wiesz, Boże! to były tylko igraszki dziecka. Raz jeszcze zapłacze dziecię z bólu, ze znużenia, z tęsknoty za wydartą zabawką, zapłacze na macierzyńskiej piersi natury — a potem — — sen i cisza śmierci.

„Ojcze, miłuję Cię!“

Czy jestem nieśmiertelnym? — tak! nieodwołalnie, jeżeli tylko zechcę.

Czy ostateczny mój cel, to wieczne szczęście? Tak nieodwołalnie.

O! Ewo, Ewo moja! w połowie drogi do doskonałości znalazłem już niespodzianie część mej szczęśliwości wiecznej w pocałunku twoim.

O! dzięki, dzięki Wszechmocny. Dziękuję Ci całą duszą moją od pierwszego tchnienia, aż do tej chwili. — — Ojciec nasz, któryś jest...

Dzięki składa Ci Twoje dziecko.

*Pilot Kurt 1 stycznia 1900 r.*

Drodzy Moi!

Dziś nowy rok! Zaczynam więc niezliczonemi życzeniami pomyślności. Obyście z pomocą boską wśród wesołych dni zapomnieli o ciężkiej przeszłości. Niechże Bóg wynagrodzi Wam stokrotnie wszystkie Wasze bóle i cierpienia.

Bo też istotnie ciężki to rok był — niezwykle ciężki. Jeszcze kilka takich lat — a zniknie wesołość ze świata i siwizna pokryje najlżejsze głowy nawet. — Biedni my, biedni ludzie.

A więc zaczynamy nowy rok!

Mój Bracie, od ostatniego Twego nieszczęścia nawarzyłeś nam wszystkim tyle niestrawnych rzeczy,

że teraz musimy koniecznie pożywić się jaką domową strawą — inaczej pochorujemy się wszyscy. Jako pani domu lubiąca porządek, lub na wzór kupca układającego systematycznie swoje towary, zaczynam od rzeczy najważniejszej to jest od Piotra.

Zatem mąż mój ma z dniem dzisiejszym 40 lat i 4 tygodnie. Na światło dzienne wyjrzał zatem w tej porze roku, gdy inne niedźwiedzie zwykły się chować na sen zimowy. I w tem zarozumialec musiał zrobić wyjątek dla siebie, jak zresztą zawsze i wszędzie. Wśród mrozu i zimy chodzi zwykle w koszuli, latem najwygodniej mu w grubym płaszczu. A jeżeli zdejmuje wogóle kiedy czapkę, to czyni to chyba ze strachu, by powstające z jego skóry na głowie opary, nie zrzuciły jej tak, jak zrzuca para pokrywę garnka. Nieraz mówiłam Ci już, że Piotr umie spać, stojąc, siedząc, z głową na dół, a nogami w powietrzu. Nie wątpię nawet, że usnąłby głęboko, gdyby go ktoś przewiesił na lince od suszenia bielizny, niby mokrą skarpetkę. Śniłby nawet może słodko — zupełnie jak w łóżku. Wogóle rządzi się on wyjątkowemi prawami. Gdy inni robotnicy spuszczają się do kopalni, Piotr zawsze zjeżdża ostatni — wieczorem pierwszy wychodzi. Myliłbyś się jednak, sądząc, że Piotr to leniwy robotnik — całą jego winą to chyba jego wzrost — o głowę przewyższa swych towarzyszy, dla tego, gdy winda spuszcza się w czeluść kopalni, jego

głowa znika ostatnia, a wieczorem, gdy ona ukazała się już na powierzchni, inni oddychają jeszcze zgniłym powietrzem szybu — hahaha.

Pozatem Piotr to zupełnie dobry chłop. Wprawdzie zjada olbrzymie ilości, za to pali nie dużo, pije jeszcze mniej, a pracuje za trzech. Z wyjątkiem dni bezrobocia, nie zaniedbał ani jednego dnia roboczego w tym roku. To także wyjątek w porównaniu z innymi robotnikami. Ja jednak, za taki wyjątek, codzień dziękuję Bogu i proszę Go, by Piotra w długie, długie jeszcze lata w pełni sił i zdrowia zachował.

Z porządku rzeczy, skończywszy o ojcu rodziny, należałoby mówić o matce. Nawet gdyby porządek stosował się do wieku, to i tak teraz powinnabym o sobie mówić.

Mam przecie już 33 lata. Ponieważ jednak, jako praczka ze względów konkurencyjnych muszę Was bliżej obchodzić, zmilknę przeto o sobie, byście nie myśleli, że sama siebie reklamuję, i chcę Wam odbić klientelę. Przecie już i tak, oprócz domowej, pioreę bieliznę 2 tuzinów górników, którzy nadto stołują się u mnie. Mam więc dość swego i nie chcę żadnej reklamy, dlatego zamiast do wieku, stosować się będę do znaczenia ludzi, o których chcę pisać. Pod tym względem zaś, w naszej hierarchii domowej zajmuję co najwyżej trzecie miejsce — muszę się z tem pogodzić, że i na tem polu idę nie w górę tylko na dół. Pomiedzy moim mę-



żem, a mną, czyli między starym Piotrem, a mną stanął młody Piotr. Młody Piotr, to moje najstarsze dziecko. Mimo to, nie jest najstarszym Piotrem w rodzinie, to miejsce zajmuje „Piotr-ojciec“, później dopiero idzie Piotr-syn

Widzisz Tomie, że czasem jeszcze trzymają się mnie błazeństwa, gdy mówię o własnych dzieciach. Nic w tem dziwnego. Przecie i to moje całe życie, moja radość cała, moje szczęście. Ich szczęście, to zadanie mojego życia, moja codzienna modlitwa najgorętsza.

A więc kilka słów o Piotrze. By jednak uniknąć nieporozumień nazywać go będę małym Piotrem. (Ów mały Piotr, przerósł mnie o całą głowę.) Ma lat 14, podobny do ojca, jakby mu z oka wyskoczył — to samo nizkie czoło, piwne, spokojne oczy, ta sama czupryna zwichrzona na tęgiej grubej czaszce. Wyrośnie napewno na olbrzyma. Nieraz wściekam się na to, że natura z taką głupią dokładnością odportretowała ojca w synie. Podobni są do siebie, jak dwie kule bilardowe, a przecie i na świecie znalazłyby się inne, piękniejsze zapewne kształty. Można na tem dziecku mojem łatwo skonstatować, co może wychowanie zrobić z człowiekiem. Piotruś jest zupełnem dzieckiem, i pewno długo jeszcze niem zostanie. Wzrostu dorosłego mężczyzny, silniejszy niż wielu dorosłych, jest dzieckiem cichem, miękkim, delikatnem, uczuciowem. Gdy patrzy na mnie, zdaje mi się, że z oczu

moich odczytuje cały długi szereg trosk, nieszczęść, lęków macierzyńskich. To mnie doprowadza czasem do łez, szczególnie, gdy całuje mnie na dobranoc. W ten sposób ucieleśniło się marzenie 19-letniej dziewczyny o dziecku.

Od nowego roku pójdzie Piotruś do kopalni; tak chce ojciec. Podwoi się więc trwoga moja. Życie górnika niebezpieczne, a ja będę mieć co dzień w kopalni męża i syna. Ach!

Po Piotrusiu kolej na Willa. Ma on lat 11. Wiesz sam, jakie było moje życie pomiędzy urodzinami Piotrusia i Willa. Opatrzność przez te trzy lata doświadczała mnie ciężko. Długie to były i straszne dla mnie dni. Wyszłam przecie za męża, tak szybko i lekkomyślnie, jak to może tylko zrobić niedoświadczone dziewczę, pełne marzeń i złud. A potem przyszła trwoga, męka, troska, rozpacz, nędza, rozczarowanie i żal — głęboki żal za swobodą i czystością dziewczęcą.

I przyszedł dzień, w którym brutalne słowo męża spłoszyło wszystkie moje sny. Wówczas zrozumiałam los swój w całej rozciągłości, los niekochanej istoty, oderwanej od ojca, matki, brata, młodości swej, żyjącej w nędznej i zimnej chałupie męża. Przeżyłam jednak tę przełomową chwilę, wyszłam z tej twardej szkoły silniejsza, lepsza, czystsza. I myślę, że to jest dowodem niespożytych sił mojej duszy. O! tak, jestem olbrzymką, nieślabszą od Piotra.

Jasną jest rzeczą, że gdzie takie siły żyją i działają, twór ich musi być cudem. I Will rzeczywiście jest cudem. To cudowne, urocze dziecko, to ucieleśnienie najskrytszych mych marzeń — to najjaśniejsza gwiazda na mojem niebie. I nieraz myślę, że dzieckiem tem wynagrodził mnie Wszechmocny za ból, jaki w milczeniu znosić umiem na łożu tortur życia.

Moje dziecko! Mój Will! Boże! jakże wszechświat Twój musi być wspaniałym, jeżeli w jedno małe stworzenie wlałeś tyle harmonii i błogosławieństwa. Jeżeli się nadzieja Willa spełni — będzie księdzem. To jego najgorętsze, jedyne marzenie; moje także. Gdybym kiedy ujrzała dziecko moje przed ołtarzem — pełniące święte misterya! — — — Lecz nie chcę grzeszyć, nie chcę zawiele wymagać. Boże! Ty wiesz, to tylko gorączkowe marzenia miłości matczynej — to ona tak gorącą prośbę do Ciebie śle. Przebacz mi Boże!

A jednak — — — byłabym tak szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa.

Will jest najlepszym uczniem w klasie, ulubieńcem nauczycielki. Wszystko to zdobył swą pilnością i zdolnościami. Poza tem służy zawsze do mszy w kościele i jest ulubieńcem księdza. — Wogóle jest on ulubieńcem wszystkich ludzi i moim także — hahaha.

Bracie, opowiem Ci jedno zdarzenie, które miało miejsce w dzień Bożego Narodzenia. Właści-

wie, postanowiłam sobie, nigdy nikomu o tem nie mówić; chciałam ukryć skarb ten w głębi mego serca — zamknąć w niem niby drogocenną perłę, a w chwilach smutku szukać w tym skarbie otuchy i pociechy.

Ciebie jednak wtajemniczę i zarazem ulżę mej dumie macierzyńskiej.

Godzina 11 w nocy. O 12 zaczęła się pasterka. Razem z Willem, ubrawszy się ciepło, poszliśmy do kościoła. Piotr i reszta dzieci zostali w domu. Droga do kościoła uciążliwa zabrała nam masę czasu. Świeży śnieg przyprószył pola i lasy — cicho rozpięta się nad doliną gwiazdzista noc.

W kościele rozdzieliliśmy się. Ja stanęłam w ciemnym kącie, dziecko poszło na chór. Skulona drżałam w ciemności, głowa bolała mnie, nogi marzły. Przymknęłam na chwilę znużone powieki. Gdy otwarłam oczy, ujrzałam ołtarz pełen jarzących świec, wszędzie całą masę światła. Harmonijne dźwięki organu płynęły ku ołtarzowi — to tajemnicze, niby jęk burzy nocnej w lesie, to pełne, głośnie jak grzmot, to rzewne, ciche, błagalne, jakby nieśmiało kołatały do serc ludzkich i ospałego ducha budziły do modlitwy, miłości, nadziei. Przymknęłam znów oczy.

W tem — Boże! jakaś pieśń — głos jakiś, czysty, anielski, słodki, porywający mi duszę za-brzmiał nademną.

O! cicha, święta nocy,  
Co darzysz zbawcą świat....

Znam tę pieśń, znam anioła, który ją śpiewa. To moje dziecko, syn mój! Ogarnęła mnie szalona, bezpamiętna radość, uniosła mnie gdzieś w górę, o krok do nieba, och! umrzeć jeno w takiej chwili...

O! wszechmocny! więc dlatego musiałam iść po ciernistej drodze życia, dlatego spętał mnie długi łańcuch bólu, trosk, rozczarowań. Dlatego tylko szłam od kolebki, aż do tej chwili z tysiącem nieotartych łez? Dlatego, dla przeżycia tej chwili, odbywałam tę ciężką pielgrzymkę, pełną zagadek, gdzie nadzieja, trwoga, niepewność, ciągły strach przed martwotą i pragnienie spoczynku splotły się razem. Dlatego urodzić się musiałam — w nędznej chacie, z matki cichej, a tak wytrwałej w walce z nędzą. Dlatego boso szłam do kościoła, głodna do szkoły, gdzie niespętana żądza wiedzy zwyrodniała się we mnie, w niezdrowe, namiętne marzenia. Więc dlatego Jennie, sierota, którą nawet brat opuścił, musiała skuć swe życie z człowiekiem, który teraz jest ojcem jej dziecięcia?... O! Panie! jeżeli dlatego prowadziłeś mnie po tych ścieżkach, by mnie doprowadzić do tej chwili — to niech po trzykroć będzie błogosławiony los mój, ten twardy gorzki los.

Pocałunek zbudził mnie z tych marzeń. Do piersi mej tulił się Will i śmiejąc się pytał:

„Pięknie było, mamusiu?!“

Widzisz więc Tomie, że i mnie danem było wejść do warsztatu Boga i spojrzeć, jak się koła świata toczą...

Wyszliśmy z kościoła ostatni. Śnieg padał ciągle i niby śmiertelnym całunem okrywał ziemię, co martwa i głucha wyglądała w tej chwili jak symbol znikomości — a nad nią przyświecające przez podartą płachtę chmur widniało wiecznie trwające niebo. Wśród takiej nocy wracaliśmy do domu. Will zwawym krokiem biegł naprzód — tak chodzi młodość — za nim ciężko wlokła się matka — krokiem starości.

„Will — spytałam, gdyśmy minęli kładkę na potoku — czy bardzo się bałeś śpiewać twoje solo?“

„Nie, mamó“

„Will — pytałam, gdyśmy minęli chatę Murfiego — czy ksiądz życzył ci dobrej nocy, gdyś odchodził?“

„Naturalnie, mamó.“

„Will, czy zdjęłeś płaszczyk w kościele?“

„Tak, mamó.“

„Zimno Ci?“

„Nie.“

Droga wznosiła się stromo. Z trudem tylko dążyłam za chłopcem.

„Idź trochę wolniej — dobrze?“

„Dobrze mamó.“

„Troszeczkę tylko wolniej. — Will!...“

„Co mam?”

Stałam — chłopiec także zatrzymał się i zwrócił ku mnie. Mróz malował jego młodą twarzyczkę gorącemi barwami.

„Will, krzyknęłam nagle. W tej chwili wiatr rzucił pomiędzy nas smugę śniegu, jakby chciał nas rozdzielić, lecz ja klęczałam już przed dzieckiem i gorąco tuliłam je do serca.

„Czemu tak zimno, sucho, mówisz do mnie, „tak“ — „nie“, a wzrokiem gdzieś w górze błądzisz. Czy te gwiazdy łagodniejsze niż oczy twojej matki. Dziecko!

„Proszę, kochaj mnie, kochaj mnie!“

Chmura śniegu tysiącem białych płatków odzieliła nas od świata i wtedy w obliczu Boga, samego, padło mi dziecko moje na piersi i wśród gorących pocałunków i pieśczoł szeptalo:

„Matko droga, najdroższa matko.“

Resztę dosnuj sobie sam Tomie, jeżeli chcesz, ja muszę kończyć. Moje małe urwisy wracają z fermy obdarzeni gwiazdkowymi podarunkami, a mała Molly, tak się zmęczyła, że ją Piotr niesie. A więc na bok z atramentem i piórem. Niech żyją moi mali dręczyciele.

Są chwile w których czuję się dziwnie szczęśliwą, a rzeczywistość wydaje mi się piękniejszą, niż najcudniejsze marzenia.

*Jennie.*

*Brooklyn 14 styczeń 1901 r.*

Kochana Siostró!

A więc jestem znów bez pracy. Po większej części dnie spędzam siedząc przy oknie, w mojej ciepłej kuchence w Brooklynie, i o ile nie piszę, ziewam, lub gapię się na ulicę i liczę kamienie brukowe.

Ostatniej soboty mój chlebodawca przylepił mi znów etykietkę: „bezużyteczny“ — czyli krótko mówiąc: wyrzucono mnie z zajmowanego dotąd stanowiska w niepolityczny, a namacalny sposób, bez uchybienia jednak mojej godności. Ten Patt, ten bezwstydney, bez sumienia Irlandczyk zawiódł moje życzenia... Bo, nie, tak znowu nie — nie życzyłem mu nigdy śmierci. Ale ot! czego życzę temu biednemu ojcu jedenaściorga dzieci: jakiegoś milionowego spadku i w dodatku dużo zdrowia. Basta! Amen!

Tak! Patt powrócił do służby. Nie bardzo jeszcze jest do niej zdolnym; wygląda okropnie i ledwo trzyma się na nogach. Wątpię nawet czy zdoła się wdrapać na 5 piętro składu bez kija turystów. Ale to już tak na tym świecie. Troska o codzienny chleb i lęk, że zabiorę jego miejsce wypędziły go z łóżka i rzuciły napowrót w wir walki o byt.



I nieraz myślę, że ludzie mogliby darować sobie troskę o byt, bo oprócz niej jest jeszcze tyle cierpień, że wystarczą by świat zmienić w dom waryatów.

Wszystko to zresztą przebrzmiałe tematy dla mnie. Tom Pratt obecnie nie ma czasu na podobne głupstwa. Całą energię skupił na swoim dziele, pod tytułem „Gwiazda morza“, a dzieło to już dobiega końca.

Siostro! nie wiem doprawdy jakimi słowami dziękować ci za radę, bym się poświęcał literaturze. Mówisz, że Bóg natchnął cię tą myślą — i ja w to wierzę. W ten sposób zwykł on do nas przemawiać. Jeżeli w cichości i skupieniu będziemy nadśluchiwać, dobiegnie nas każde słowo jego. Dlatego ja (chyba zauważyłaś zmianę we mnie) dlatego ja jestem dziś tak cierpliwy i pokorny. — Niech się dzieje, co chce. W czasie tych samotnych nocy, tam w składzie wiele zrozumiałem — wiele ciemni rozjaśniło się przedemną. Bez tej cichej kancelaryi, bez tej samotności, nie napisałbym nigdy mojej „Gwiazdy morza“, a przynajmniej nie byłbym w stanie nadać jej tak wykończonej formy.

I o dziwo! nieraz ogarnia mnie nieprzezwyciężona tęsknota za temi nocami. Patt! idę za tobą krok w krok, po wszystkich zakątkach tego domu. Strzeż się duchów i upiorów — nie wchodź

nigdy do sanktuarium pana Rouss'a — mógłbyś tam spotkać jednorekiego kalekę.

Sądzę, że za tydzień będę zupełnie gotowy z mojem dziełem i będę mógł przesłać go wydawcy.

O! jak bardzo chciałbym, byś była tu, ze mną, czytałbym ci ustępy manuskryptu, a niektóre — nie drwij tylko ze mnie — są wprost wspaniałe. Jak już sam tytuł wskazuje, treść zaczerpnąłem z życia marynarzy. Za zadanie wziąłem sobie bez rozwlekłości i przesady przedstawić morze, jego barwy, ruchy, blaski, wrażenie jakie na ludziach wywiera. Sama akcja służy tylko do przedstawienia tych wszystkich barw, blasków, muszli, kosztowności, tych wszystkich uroków morza, które z pewną dyskrecją, a jednak bogactwem, jak sądzę, przed oczyma czytelników rzuciłem.

Mój dawny wybryk młodości, gdym kiedyś bez pożegnania się z Wami, popłynął z biegiem Mississipi do Nowego Orleanu, a później na statku „Dora Doll“ opłynął przylądek Horn, by znaleźć się w San-Francisco — najniespodziewaniej przydał mi się teraz, i wprost nieocenioną oddał usługę.

Zdaje mi się, że w dziele mojem, oddałem nocę koło przylądka Horn i poranki nad ujściem Amazonki z wielką poezją i wdziękiem, a w opis morza włożyłem tyle tragizmu, że może niejedna

łza czytelnika spadnie na karty, niby słona kropla wody. Samą zaś książkę niejeden może będzie ze wzruszeniem ścisnął w dłoni, niby klejnot drogocenny, jakby się obawiał, że mu ją wiatr morski wyrwie.

Siostro! ty będziesz się śmiała i powiesz, że każda matka uważa swe dziecko za najpiękniejsze. Tak, tak, poeto Tomie, poczekaj na ocenę panów krytyków. Ich zdaniem będzie to zapewne poroniony płód — uszy za długie — nos za płaski — oczy głupie i cały wyraz idiotyczny.

Ale są przecie matki, których dzieci istotnie są piękne. Dlaczegoż ja do nich nie miałbym należeć? — I czemuż, ja właśnie, Tom Pratt, nie miałbym trafić w sedno rzeczy. Kiepski strzelec zepsuje cały róg prochu i nawet w tarczę nie trafi; liczne strzały nic nie pomogą, niewiele nawet znaczy wprawa. Pewne oko (wzrok ducha u poety) i zimna krew, oto warunki celnego strzału. Te zalety posiadam dzięki Bogu.

„Gwiazda morza“ jest więc tymczasowo moją gwiazdą nadziei.

*Tom.*

*Brooklyn 22 stycznia 1901 r.*

Zaczynam od słowa: Przebacz mi.

Już 3 tygodnie temu, jak odebrałam twoje

noworoczne życzenia, a dopiero teraz odpowiadam na nie. Jest to grzech nie do darowania. Przebaczyć może tylko ten, kto dokładnie oceni wszystkie trudności, jakie pokonać musi słaby marzyiciel by wzbudzić w sobie męską energię i odwagę. Jakże wzruszające są obrazy Twego domowego życia. Siostró, w jaki sposób Ty to znosisz, co ci dodaje sił? Czy to lekkomyślność zmusza Cię śmiać się, nawet w tak nędznych warunkach? Czy to taki rozpaczny humor? Czytałem niedawno o jakiejś bogatej, lecz bezdzietnej kobiecie. Otaczała ją zbytek, wszystko czego dusza zapragnie, wolność, przyjaźń, szczęście, miłość męża. A jednak, jakieś ogromne zniechęcenie do życia pchnęło ją do samobójstwa

W Pilot Kurt żyje jedna, biedna żona górnika, matka sześciorga wiecznie hałasujących dzieci, a prócz tego, na głowie jej ciąży jeszcze dom i pralnia. Ta kobieta, to prawdziwe jagnię ofiarne. Na ołtarzu swej miłości macierzyńskiej poświęciła wszystko: spokój, sen, przyjemność, dostatki, a mimo to zachowała dobry humor, swobodę, świeżość. Siostró! dlaczego Ty nie popełnisz samobójstwa, dlaczego nie uciekniesz przed życiem Twym, tak pełnem cierni i bólu?

Lecz po co pytam? Tu obok siebie mam gotową odpowiedź: Ewę moją. Dziecię umarło — tak! Elsie umarła; a z śmiercią dziecka ginie cel życia kobiety. I w tem umiłowaniu własnych dzieci leży

niezmierna tajemnica. Najwyższem szczęściem na ziemi wszystkich kobiet, to widok zdrowych, dzielnych, uczciwych, dorodnych dzieci. To samo niewyczerpane szczęście odczuwa Bóg, gdy spogląda na ludzi — dzieci swe co go czczą, wielbią, zwracają się doń z miłością, jak do ojca.

Siostro, wczoraj powierzyłem moje dziecko jego własnym losom. Odniosłem moją „Gwiazdę morza“ ten pierworodny płód mojego ducha, jakiemuś nakładcy w Nowym Yorku.

Ciężka to była przeprawa. Łatwiej mi chyba było zebrać o robotę, a nawet o jałmużnę, niż ten niewinny twór mój poddać krytyce i sądowi, i oczekiwać potem, aż taki wielki i wiecznie zajęty pan znajdzie chwilę czasu, by rozstrzygnąć o jego losach.

Nigdy jeszcze nie odczuwałem tak mojej małości, mojej biedy, jak w chwili, kiedy pukałem do kancelaryi nakładcy.

„Proszę“.

Wszedłem blady i chwiejny, niby aktor grający Hamleta na lichej scenie, gdy spostrzeże w krzesłach swojego krawca.

„Proszę usiąść“.

Usiadłem, właściwie upadłem na krzesło. Siadłem na samym brzeżku, zgięty we dwoje. Mina moja musiała wyrażać prośbę, czy pytanie, bo nakładca bez żadnego wstępu spytał:

„Pan życzy sobie czego?“

„Tak“ wyjąknąłem.

„Czemże mogę służyć?“

„Panie, zacząłem, pan widzi, spotkało mnie wielkie nieszczęście, straciłem przy maszynie lewą rękę. Było to zeszłego lata. Od tej chwili szukałem z całym zapalem jakiejś pracy, któraby ocalała mnie i moją rodzinę od ostatniej nędzy. Nie mogłem jednak żadnej znaleźć. Dobry duch podszepnął mi, żeby tę oto książkę napisać. Napisałem. Ja wiem, to jest niemal bezczelnem, że ja, prosty robotnik, porywam się na to, co jest udziałem tylko bardzo wykształconych ludzi. Ale niech mnie tłómaczy moja nędza, bo ja jestem w wielkiej nędzy panie. Błagam o pobłażliwość“.

I już cały mój zapas słów wyczerpał się. Wyuczyłem się co prawda w domu całej przemowy; wszystkiego jednak teraz zapomniałem. Słowa więzły mi w gardle. Urwałem....

Po długiej pauzie przemówił nakoniec nakładca głosem dziwnie miękkim. Obawiał się może, że jeżeli z kwitkiem mnie odrazu odprawi, to padnę trupem u jego nóg, a nie miał zapewne ochoty zobaczyć zmarłego człowieka, mieć do czynienia z doktorem, kantorem pogrzebowym i t. d. Być może, że to było przyczyną jego łaskawego odnośnienia się do mnie, a może (drzę na tę myśl z radości), może odczuł ten pan odrobinę wzruszenia, współczucia.

„Mój przyjacielu, o tem, że przeszedłeś przez

wielkie nieszczęście, mogę się łatwo przekonać, o tem, że jesteś w nędzy także. To wszystko skłania mnie, ażeby zrobić, co do pana wyjątek. Od wielu lat bowiem nie przyjmuję rękopisów, o ile nie są mi przez kogoś znajomego polecane. Za dużo w tych czasach mamy miernot — zasypują mnie tem poprostu. Mój zaś czas jest bardzo kosztownym. Dla pana jednak zrobię wyjątek. Mam jednak nadzieję, że zdanie moje, jakkolwiekby brzmiało, zniesie pan z zimną krwią. Cieszyć się będę, jeżeli książka okaże się odpowiednią do druku. To się może zdarzyć. Wszystko jest możliwe na świecie. W każdym razie dam panu odpowiedź. Dowidzenia“.

Skinał głowę.

Wyszedłem.

A więc teraz muszę ustosunkować nadzieję, rozsądek i rozpacz, by żadne z nich nie wzięło góry. Wisieć tak między niebem i ziemią — Mój Boże — to jest dopiero położenie!

*Tom.*

*Brooklyn 24 stycznia 1901 r.*

Droga, kochana Siostro!

I znowu piszę! Żyję w tak strasznej, dręczącej niepewności... Tak się lękam, drzę o los mego

manuskryptu. Co to będzie? Wschód, czy zachód mojej „Gwiazdy morza“.

Mam uczucie, jakbym przyczepiony do nitki wisiał nad przepaścią Niagary. Jeżeli nic utrzyma ciężar — będę ocalony. Jeżeli się przerwie — runę w przepaść.

Ach! Jennie, Siostro! Czy sądzisz, że oni przyjmą moje dzieło? Czy taka rzecz jest możebna? Choć o dwa słowa pociechy i otuchy błaga Cię Twój biedny

*Tom.*

*Brooklyn 28 stycznia 1901 r.*

Droga, kochana Siostro!

Wszystko dokoła mnie przewraca się do góry nogami.

Oczekiwanie zabija zazwyczaj nadzieję — u mnie przeciwnie, im dłużej czekam, tem nadzieja staje się pełniejszą. Dziś to już 6 dni, a właściwie 144 godzin od chwili, gdy oddałem mój utwór nakładcy, a nie mam dotąd żadnej wiadomości. Mogłoby to kogoś zmartwić — mnie tylko cieszy. Przez kilka pierwszych dni żyłem w nieustannej trwodze. Drżałem, że mi odeśle mój manuskrypt. Lękiem przejmował mnie widok listonosza — a nuż



dobędzie z torby rękopis i odda mi go. To przecie byłoby równoznaczne z kompletnym zawodem.

Teraz już przeszło początkowe stadyum oczekiwania, a ja czuję się silniejszym.

O! jakież to niebiańskie uczucie odnaleść ścieżkę do lepszych dni. Pierwszy krok na światło dzienne z ciemnego lasu, w którym się ktoś zabląkał, blask z słońca z za chmur, radość sternika, gdy ujrzy wybrzeże, wszystkie te radosne uczucia mogą być zaledwo porównane z tem, co ja czuję.

*Tom.*

*Brooklyn 4 lutego 1901 r.*

Kochana Siostró!

Nie masz pojęcia, jaką przykrość sprawia mi Twoje długie milczenie. Kilka słów z Twojej strony uspokoiłoby mnie. Ale tak absolutnie nic — to trochę za mało. Czyś chora? Czy masz jakie zmartwienie? Czy gniewasz się, że Cię męczę moimi skargami?

Droga Jennie! jeżeli mi się powiedzie z moją „Gwiazdą morza“, dla nas wszystkich zabłyszczą lepsze dni. To będzie kompletny przewrót w naszym położeniu. Nędza zmieni się w dobrobyt, bo mam nadzieję, że po tem pierwszym dziele, nastąpią inne, wiele lepsze. Wzmocniony otuchą, powo-

dzeniem, wzbiję się tak wysoko, że — — — Ach! dreszcz radości przenika mnie na myśl o tych wyżynach. Sądzę, że nigdy już z nich nie zejść, a jeżeli będę potrzebował czegoś z dolin i nizin, posłużę się jakimś posłańcem, promieniem słonecznym, dalekiem echem, rosą, lub tęczą. Błyskawicy mojej i burzy nie odmówią ludzie posłuszeństwa. Swoją drogą, będą się musieli ludzie poprawić, odnosić się do siebie po bratersku, inaczej z wyżyn moich, zbombarduję wprost całą ziemię żużłami słonecznymi, a jeżeli to nie pomoże, to choćby zgniłymi jajami, wielkimi, jak góry księżycowe. Siostro! Przedewszystkiem jednak zajmę się jak należy Tobą. Wszystkie swoje konwie do prania, będziesz musiała zanieść do strumienia. Niech sobie popłyną z biegiem Mississipi, aż do morza. A potem porwane prądem, niby kloce drzewa, niech wylądują w tem miejscu, gdzie Nansen oznaczył biegun. Twój synek Piotr nie pójdzie już do szybu. Za młody jest na to, ażeby ukryć się pod ziemią. Każę go nauczyć jakiego odpowiedniego rzemiosła. Spełnię też życzenie Twego ulubieńca — pod warunkiem jednak, że będzie głosił czysty Chrystyanizm, bez żadnych naleciałości, chociażby przez to miał stracić swoje stanowisko. Pomogę wszystkiem Twojem dzieciom. Ach! gdybym tak mógł wszystkim dzieciom na świecie przyjść z pomocą. Daj to Boże! Czyż zliczywszy to wszystko razem i pomnożywszy

przez braterskie pozdrowienia — nie zdecydujesz się na liścik? Proszę odpisz mi!

*Tom.*

*Brooklyn 11 lutego 1901 r.*

Siostro!

A więc nie odpisujesz mi. To już 6, czy 7 list mój. Czemu nie odpowiadasz na nie, ani jednym słowem? Czy nie wiesz, że się już zupełnie wyczerpałem? — że stoję na granicy rozpacz? — Że jestem biednym jednorękim kaleką? — Że już nie mogę iść dalej? — Że staję na drodze bezradny i wołam: pisz do mnie! Siostro! pisz do mnie.

Dziś po południu, poszedłem do nakładcy; nie mogłem dłużej opanować niepokoju — musiałem iść. Mój biedny rękopis leżał tam, nieprzeczytany nawet. Ach! gorzej jeszcze — leżał pod całym stosem papierów, książek, a nad wszystkim górował pan nakładca i jego zły humor.

Cóż to znaczy? — Porażka! kompletna porażka! Nadzieje zawiodły — nie powiodło się. — Cios ten zdruzocze nawet moją odporność. Zdaje mi się, że oszaleję — to nawet jedyna rzecz, której jestem pewny. Bóg chce mnie zniszczyć i umie się wziąć do tego — ma doświadczenie w swoim

fachu. Czy jestem jeszcze za mało cierpliwy? czy mu zawadzam? A może niema dla mnie miejsca w kole stworzeń. Może zabieram niepotrzebnie powietrze? Cóż ja mogę wiedzieć o humorach Jego Królewskiej Mości — nie jestem przecie wszechwiedzącym. Jedno tylko zrozumiałem: jęk — Boga nie wzruszy; prędzejbym pocałunkami ogrzał skały Grenlandyi i stopił ich lodowce — zanimby mi się udało wzruszyć Boga skargami i prośbą.

Lecz dość! — cicho! dość już naszczekałem i naplułem naokoło. Najgorsze to to, że żona moja obojętnieje w stosunku do mnie. Ewa staje mi się obcą. Czyżby i ona miłość i uczucie obliczała zimnemi cyframi — mojej ruiny? Unika mnie, ucieka odemnie, lęka się moich pocałunków, drży, gdy się do niej zbliżę, przeraża się, gdy na nią spojrzę. — Wszyscy uciekają przedemną. Bertie idzie za przykładem matki i stroni odemnie. Los staje mi się wrogiem, Bóg — wrogiem, ludzie — wrogami, Ty także — — — Jeden tylko ten, przed którym uciec bym pragnął — ten, którego kląć będę aż do grobowej deski — ten mnie nie odstępuje, ten nade mną ciąży. Nie uwolnię się od niego ni groźbą, ni błaganiem — on nie opuści mnie — pójdzie ze mną na wieczność całą — a nim jest:

*Tom.*

*Pilot Kurt 16 lutego 1901 r.*

Biedny Tomie!

Tak! ty masz rację. Sześć czy siedm listów otrzymałam od Ciebie i nie odpowiedziałam na żaden. Prawdę rzekłszy, żadnego nie czytałam — lub przeczytawszy — zapomniałam o nich. Wszystkie twoje listy brzmią jednakowo, wszystkie są pełne skarg. — I masz rację — źle Ci idzie, bardzo źle. Cóż zrobisz teraz z sobą? — Nie widzę żadnego wyjścia z tego labiryntu nieszczęść — absolutnie żadnego! Myślałam nad tem wszystkiem dnie i noce, teraz już przestałam, obrzydło mi całe myślenie, chora już jestem formalnie z tego wszystkiego. Nie mogę Ci pomódz, musisz sam o sobie myśleć. Radź sobie — ja nic nie poradzę. Wątpię, czy znajdziesz jakie wyjście. Prawdopodobnie nie dostaniesz żadnej roboty ze swoim okaleczonym ciałem i okaleczoną duszą. Twoja chora żona będzie jeszcze chwilę pracować, a potem przestanie. Łatwo domyśleć się zakończenia tragedyi — nie może ona inaczej brzmieć jak: „zmarnowali się i pomarli“.

Tom! wszystko to tylko piszę — ot! tak — jak się same słowa składają — nie myślę wcale o tem, co piszę. Chora już jestem z tego nadmiaru myślenia. Całe to gadanie, proszenie, pocieszanie doprowadziło mnie do choroby. Muszę się oszczędzać, uważać na siebie. Gdybym mogła płakać — łzy przyniosłyby mi ulgę. Płacz uspokaja — ale

krzyk nie pomoże nic — a ja od krzyku już zachryłam. Nie pomogło — nic nie pomogło. Żaden krzyk nie przedrze się tam — do umarłych. Tom — żaden! A dziecko umarło — — — Przynieśli mi do domu dziecko, tak poranione, jakby je dzikie zwierzęta kłami podarły — tak mi je do domu przynieśli. Boże! Boże! czemu pozwoliłam mu iść do kopalni, pracować jak bydle na ten marny kawałek chleba? A teraz umarł — — — Ściana obsunęła się na tę drogą, kochaną głowę — i zmiażdżyła moje dziecko — obróciła je w krwawą masę, bez tchu, bez życia. To był początek i koniec jego pierwszego roboczego tygodnia — — — tak prędko i tak do dna. — — —

O! dolo moja, dolo! Położyłabym się gdzieś w najciemniejszym zakątku świata i spałabym snem nieprzerwanym.

Lecz jedno jeszcze muszę Ci powiedzieć, nim odłożę pióro. Nie odpowiadaj mi na ten list. — Odjeżdżamy do Amerykańskiej Syberyi, do kraju niedźwiedzi i wilków, do Montany — jutro już.

A więc jeszcze i to! Cóż będzie dalej? Piotr znalazł miejsce w kopalniach srebra. Trudno ojcu pracować w tym samym szybie, w którym zginęło jego dziecko. Oto przyczyna ucieczki. A ja? ja nie mogę oderwać się od grobu mego dziecka. Oboje mamy słuszość, ale ja tracę — on zyskuje. Ja tracę zawsze, zawsze. Chciałabym znaleźć jedną godzinę mego życia, gdzie nie byłabym ofiarą. —

Lecz cicho — cicho — Boże zmiłuj się nademną —  
daj mi obłęd — i zapomnienie w obłędzie. Niema  
jednej struny w duszy mojej, któraby się nie wiła  
z bólu — nie mogę dalej pisać — więc, cicho —  
cicho. — Tom, muszę skończyć — mogłabym wiele  
jeszcze powiedzieć Ci — długo jeszcze mówić  
z Tobą — ale tak lepiej. — — — Przyjmij moje  
ostatnie pożegnanie — tak! pożegnanie ostatnie —  
na śmierć i życie.

Zachodzące słońce świeci nad doliną. Blask  
słońca wpada do mojej izdebki — jego skośne  
promienie, to niby ostatnie, pożegnalne spojrzenie  
umierających drogich ludzi. Żegnaj Ojczyzno, świa-  
tło, słońce! — Jutro zajrzysz tak samo do tej  
izdebki — lecz Jennie już nie znajdziesz.

*Deer Lodge. Montana 27 lutego 1901 r.*

Drogi Szwagrze Tomie!

A więc Jennie także umarła. Nie dała sobie  
wyperswadować, że teraz przecie jest zimno.  
Umarła w niedzielę, a tylko dlatego, że wyszła  
z domu. Pochowali ją wczoraj rano. W niedzielę,  
wtedy było bardzo zimno — tu zawsze tak zimno.  
Śnieg ciągle pada, a potem robi się jeszcze zi-  
mniej i wszystko marznie. Wodę do domu przy-  
nosimy zawsze zmarzniętą i trzeba dopiero lód

rozbijać. A nawet w kuchni zamarza woda. Mówiłem jej, że bardzo zimno a ona mówiła, że musi iść chociaż zimno, że przecie w niedzielę zawsze chodzi do kościoła. A ja jej mówiłem, że trzeba być waryatką, żeby na takie zimno iść do kościoła. Od czasu jak Piotr umarł, toś Ty zupełnie oszalała. Ale ona i tak poszła na mszę. Przykro mi było, że idzie na mszę i to nawet nie ubrana ciepło — miała przecie stare buciki, mnie kupiła nowe, a ze swoimi wołała zaczekać. Will ma także stare buty. Jennie rozplakała się, ale poszła na mszę. Od kościoła do nas jest 5 czy 6 mil. Razem to 8 mil, bo kościół leży w Buxton. Po drugiej stronie w Buxton, nie w lesie — ale po drugiej stronie lasu. No, a potem Jennie długo nie wracała, nawet na wieczór nie przyszła. Wzięliśmy latarnie i poszliśmy jej szukać. Pan Kelly znalazł ją pierwszy — to sklepikarz, mój przyjaciel. Jennie kupowała moje buty u niego, ale wtedy jeszcze żyła. Znalazł ją zupełnie sztywną, w środku lasu. Zanieśliśmy ją do łóżka, a potem umarła o 12 godzinie.

Twój szwagier *Piotr Daly*.

*Deer Lodge 17 marca 1901 r.*

Kochany Wuju Tomie!

Mama umarła. Wiesz już o tem, bo ojciec do



Ciebie pisał. Już od 3 tygodni mama nie żyje, a jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Każdego ranka gdy się obudzę, oglądam się zdziwiony, dlaczego nie słyszę brzęku talerzy w kuchni, poruszanych przez mamę. I nagle przypominam sobie ach! mama umarła! Tak strasznie cicho u nas w domu, od-  
kąd mama nie śmieje się już, nie rozmawia z nami, nie gotuje, nie pierze.

Tyle już płakałem, że więcej nie mogę; chodzę tylko po domu, tulę rękami głowę, patrzę. szukam tych rzeczy, które do niej należały, gdy jeszcze żyła. Dotykam jej książki do nabożeństwa, jej różańca, jej sukien. Ach! mój Wuju, to takie smutne! Gdybym mógł pisać tak jak czuję, płakałbyś nad tym listem. Ale ja nie potrafię tak pisać.

Żyć nie mogę bez mamy. Dlaczego Bóg zabrał ją, kiedy tak bardzo jest nam potrzebna? Molly i Rózię ubieram każdego ranka, każdego wieczoru rozbieram, myję, czeszę. Lilly jest jeszcze bardzo maleńka. Tom też. Ach! jak nam smutno bez mamy! Tak nam jej brak. Czasami w nocy leżę całymi godzinami i czekam: zamykam oczy i czekam: może mama przyjdzie i pocałuje mnie? Zrzucam kołdrę i myślę: może mama przyjdzie i otuli mnie?.. Czasami śnię o niej. A gdy się przebudzę i widzę, że to był sen tylko i widzę, że nikogo niema koło mnie, a słyszać tylko oddech śpiących w chacie, a na dworze wycie wiatru w lesie i stuk okiennic — — — Ach! Wuju,

nie umiem Ci powiedzieć, jak mi wtedy smutno. Wstaję wtedy, chodzę po zimnym domu, niby duch. Czasami biorę stare buciki mamy, kładę je sobie na serce i staram się usnąć w ten sposób.

Nie śmieję się ze mnie Wuju, nie mów o tem nikomu, ale ja naprawdę nie mogę sobie dać rady. Ojciec jest też całkiem zrozpaczony; nie może pracować — i tak wszystko idzie na marne. Jest taki zły, że się boję mówić do niego.

O! gdyby mama, choć na chwilę jeszcze przyszła do nas, żeby choć pożegnała się z nami. Odeszła przecie tak nagle, bez pożegnania, a jak ją przynieśli — była już zimna i nieprzytomna. Ach! moja droga, kochana mammo! I znów muszę płakać, myślałem że nie mogę więcej — a tymczasem znowu płaczę. — Kochany Wuju! muszę już skończyć list. Życzę Ci wiele szczęścia i pracy, byś mógł zarabiać. Drogiej Cioci Ewci życzę zdrowia, a kochanemu Bertiemu wszystkiego najlepszego. Mama tak często mówiła nam o Was wszystkich, ale teraz już umarła.

*Will Daly.*

*Deer Lodge 24 marca 1901 r.*

**Kochany Wuju Tomie!**

Tak strasznie tęsknię za dawnym domem,

a nie mam nikogo, przed kim mógłbym się poskarżyć; dlatego piszę znowu.

Ojciec poszedł znów do karczmy. Od śmierci mamy codzień chodzi do karczmy, mówi że bez mamy nie może wytrzymać w izbie. To prawda, że nasz dom jest teraz straszny.

W tej chwili zegar na kominku bije dziewiątą. Noc już 4 godziny trwa — i to taka straszna noc. Wszędzie tylko śnieg, śnieg, lód i wiatr.

Siedzę tutaj sam — dzieci śpią obok, ale Lilly kaszle i jest chora. Wszystkie są przeziębione, ale Lilly najwięcej. — Cóż z nami się stanie? — Ach! dlaczego opuściliśmy drogą, kochaną Ojczyznę. Tam żyła jeszcze nasza mama, a ojciec nigdy do karczmy nie chodził. Teraz go nigdy w domu niema — i zły jest dla nas bardzo. Co wieczór powtarza, że byłoby najlepiej, gdybyśmy wszyscy pomarli. Może to nieszczęście tak zmieniło ojca. W Pilot Kurt był dla nas zawsze taki dobry.

Ach! Wuju! Siedzę oto tu przy starej lampie, piszę przy starym stoliku, mam nawet moje stare krzesło; moje zeszyty, kałamarz, pióro — wszystko moje dawne. Przywieźliśmy to wszystko z Pilot Kurt. Święte obrazy patrzą na mnie ze ścian tak jak dawniej, nawet zegar bije tak samo godziny, jak niegdyś.

O! mammo! moja mammo! Jakże często, od chwili jej śmierci, siadam tutaj samotny. Siedzę czasami do 11, do 12, póki ojciec nie wróci z szynku. Cza-

sem przykręcam knot lampy — płomień przygasa i ledwo świeci. Wówczas lampa i ogień w piecu rzucają cienie na pokój. Cienie drżą na podłodze, na ścianach, na suficie, a ja chodzę między nimi — od cienia do cienia.

O! ja nie mogę żyć bez mamy.

*Will Daly.*

*Deer Lodge 27 kwietnia 1901 r.*

Kochany Wuju Tomie!

Jaki Ty Wujn niedobry jesteś! Dlaczego mi nie odpisujesz? Co dnia biegnę do sklepu pana Kelly i pytam, czy nie ma listu z Nowego Yorku. Już go nawet to zaczyna drażnić.

Ja wiem dobrze, że Ty nie możesz nam nic pomódz, bo sam jesteś biedny, ale my przecie nie chcemy pieniędzy — tylko jakiegoś dobrego słowa, jakiegoś współczucia. Tak jesteśmy przecie opuszczeni w tym zimnym, dzikim kraju, tak bardzo opuszczeni. Ach! Wuju, ojciec zabronił mi pisać Ci o jednej rzeczy. Był wściekły, gdy się dowiedział, że już 2 razy pisałem do Ciebie. „Wuj Tom nie może nam nic pomódz, a jeżeli doniesiesz mu, o tej nowinie, zabiję Cię!“

To są jego własne słowa. On się strasznie zmienił od śmierci Mamy i Piotrusia. Grywa te-

raz w karczmie całymi dniami. Wszystko idzie na marne, a my wszyscy jesteśmy chorzy.

Gdybym był sam, milczałbym, ale moje biedne rodzeństwo — — — przez wzgląd na nich muszę mówić ci o tem.

Kochany Wuju Tomie! mamy teraz nową mamę, ale to jakaś zła kobieta — ojciec poznał ją w karczmie, gdzie była kelnerką, przyprowadził ją do domu i powiedział: „Dzieci — to wasza nowa mama, musicie ją tak samo kochać, jak pierwszą“. Ach! Wuju, my tej kobiety nie możemy kochać; jest taka zła, klnie, kłamie, a nigdy się nie modli. My nie chcemy takiej tłustej, grubej mamy, która ciągle się złości. Co dnia powtarza nam, że jesteśmy ciężarem i powinniśmy umrzeć. O! gdyby wreszcie śmierć nadeszła — my przecie chcemy umrzeć. Poszlibyśmy do nieba, do mamy i pozostałibyśmy z nią już na zawsze. Wuju! my się boimy tej kobiety i ojciec boi się jej także. Teraz co dzień musi iść do kopalni — to dobrze. Ona w dzień nie pozwoli mu iść do karczmy — za to wieczorem oboje tam idą, piją i tańczą. I tak każdego wieczoru. Teraz także tam poszli, dlatego mogę pisać. Tylko bądź ostrożny drogi Wuju, adresuj zawsze do mnie, do Willa, a nie do ojca. Powiedziałem wszystko p. Kelly — on odda list mnie samemu. Dobry dla mnie bardzo. Daje mi marki, papier i nieraz do mnie mówi: „Willy, mama twoja w niebie, lecz

ojciec twój to czysty waryat. Żaden rozsądny człowiek nie sprowadziłby rodziny do tego dziwnego kraju“.

To prawda — my jesteśmy jedyną liczniejszą rodziną w tej osadzie. — W tym tygodniu odjechało stąd 2 znajomych, a my biedni musimy tu zostać, chyba Bóg jaką pomoc nam ześle.

Ach! Wuju jak ja się boję! Lepiej już skończę ten list. Coby to było, gdyby ojciec w tej chwili wrócił i zastał mnie nad listem! Do tego zmęczony jestem bardzo.

Bądź zdrów Wuju! Pójdę się modlić. Bóg nie opuszcza nikogo, co się pod jego opiekę ucieka.

*Willy Daly.*

---

Ostatnie promienie zachodzącego słońca gasły gdzieś za skalistym grzbietem gór — cienie powoli schodziły na ziemię i okrywały płaszczem olbrzymie przestrzenie doliny Deer Lodge. U skraju widnokreśła konały jeszcze cicho blaski — a nad samą doliną zawisała już czarna głucha noc. — Gdzieś tam mignęło w ciemności blade światełko chaty, zwiastując jakąś siedzibę, obecność ludzi w tem pustkowiu.

Drogą od Buxton posuwał się jakiś jeździec — jechał wolno, nie spieszył się wcale, mimo późnej godziny i stromej drogi. Widocznie zatracił zupełnie poczucie czasu i ruchu — pogrążony głę-

boko w myślach, nie zwracał wcale uwagi na muła — który nie podniecany batem, włókł się wolno — noga za nogą prawie.

Dopiero gdy dotarł do pierwszych chat — i blask jakiegoś okienka padł mu na twarz — jeździec drgnął — ocknął się z zamyślenia i poprawił na siodle. Obejrzał się w koło, a potem skierował się ku drzwiom najbliższej chaty. Nie zsiadając z muła, zapukał nogą do drzwi. Po chwili z wnętrza wyszło 4 ogorzałych mężczyzn o długich zwichrzonych brodach. Żywo zwrócili się ku podróżnemu. Rozmowę ich głuszyło szczekanie dwóch olbrzymich buldogów. Nieznajomy jednak otrzymał prawdopodobnie żądane informacye, bo skłonił się, dziękując i pojechał kłusem w głąb doliny. Tym razem zatrzymał się przed największym domostwem — zeskoczył z siodła, rzucił lejce nadbiegającemu parobkowi i wszedł do sklepu p. Kelly. Przez całą następną godzinę rozmawiał z właścicielem sklepu. Rozmowa musiała być bardzo poważna, bo obaj rozmawiali żywo, i smutnie chylili głowy. Wreszcie nieznajomy z panem Kelly wyszli ze sklepu i skierowali się wśród ciemnej nocy w głąb osady. Zatrzymali się wreszcie przed jakąś nędzną chałupą u skraju wioski. Przewodnik otrzymawszy sutą zapłatę odszedł gwizdząc i wkrótce znikł w ciemnościach. Nieznajomy widocznie odczuł ulgę, pozbywszy się towarzysza — przystanął — wyprostował swą schyloną postać i odetchnął głęboko.

Chwilę patrzył na dom -- potem zdjął kapelusz o szerokich skrzydłach. Zwolna chyliła się jego głowa na piersi, niby w kornej modlitwie — a usta szeptały jakieś niezrozumiałe słowa—jakby stał u wrót kościoła — czy też świętego przybytku. — — —

Podszedł do drzwi — przez szpary przebłyskiwało światło. — Nieznajomy pochylił się i spojrział przez szczelinę w głąb. Była to kuchnia — właściwie jedyna izba mieszkalna, zajmująca cały dom. Przez szczelinę widać było wprawdzie dwoje drzwi prowadzących w głąb mieszkania, zapewne do sypialni — musiały to jednak być bardzo małe izdebki. Sufitu w izbie nie było zupełnie, dach sklecony z desek chronił od śniegu. Ściany nie obrzucone wapnem, okna małe, brak podłogi, wszystko to czyniło wrażenie raczej nędznej lepianki Robinsona, skleconej naprędce, zimnej, chłodnej, niż mieszkania ludzkiego.

Nagle nieznajomy drgnął — niepokój przebiegł po rysach jego twarzy — z nateżeniem patrzył w głąb. Boczne drzwi — prowadzące prawdopodobnie do sypialni uchyliły się zwolna i do izby weszło dziecko — chłopiec lat 12. Ostrożnie niósł w ręku jakiś obraz i statuetkę Matki Bożej — zbliżył się do stołu — obraz oparł o dzban wody — statuetkę postawił obok. Ukląkł potem na ziemi, rączki owinał w paciorki różańca i zaczął chłopięcym, drżącym głosem powtarzać: „Pomnij, O!



Przenajświętsza Panno Maryo, iż nigdy nie słyszano aby ktokolwiek, kto pod Twoją opiekę się uciekał, od Ciebie został opuszczony....“

Nieznajomy cicho odsunął zasuwkę — wszedł bez szmeru do wnętrza. — Zimny wiatr wpadł otwartemi drzwiami i owiał dziecko. — Chłopiec drgnął — obejrzał się i przerażony widokiem obcego, zerwał się z klęczek. Jego szeroko otwarte oczy badały podróżnego, jego twarz, postać, wyraz. — Nagle padły na lewy, zwisły ku dołowi, pusty rękaw — — —

„Wuj Tom!“ krzyknął Will — — —

Runął nieprzytomny na ziemię — — —

Tom podbiegł ku niemu, pochwycił dziecko w ramiona — podniósł z ziemi, wziął na kolana — tysiącem pieścot, pocałunków okrywał jego twarzyczkę, pieścił jak matka jego rączki — skronie, szyję — dziecku powoli wracała przytomność — a wraz z nią — przyszedł straszny, gwałtowny płacz. Przeraźliwy krzyk mieszał się z łkaniem, urwanemi słowy, świszczącym oddechem. Usta jego rozchylały się i zamykały, chwytając powietrze, drobne rączki prężyły się w skurczu — Will usiłował mówić — nie mógł.

W końcu popłynęły słowa — słowa straszne, pełne rozpacznej skargi. I wstawały przed oczyma Toma z minionej przeszłości obrazy cierpień, głodu, opuszczenia, wstawała cała nędza chłopca, całe życie jego, w tej chłodnej pustej chacie. — Prze-

ciągały noce ciężkie — czarne, ziejące chłodem i pustką. Słowa chłopca brzmiały tęsknotą za matką — słowem cieplejszem — męką bezbrzeżną, pod którą ugięłaby się nawet dusza olbrzyma.

W końcu cichy, rzewny płacz — przyniósł ulgę chłopcu. — Dziecię uspakajało się i tuliło coraz goręcej. Wiotkie źdźbło złamane burzą zaczynało odżywać w słońcu nadziei i współczucia. Ostrożnie zwrócił Tom twarzą chłopca ku światłu i spojrzął w jego rysy. Drobne były — ściągłe. — Na tle bladej, wychudzonej twarzy gorzały głębokie, zapadłe oczy. Zastygł w nich upiorny wyraz przerażenia — czy ponurych marzeń. Dziecko wyglądało, jakby po przebyciu ciężkiej choroby.

Tom wpatrując się weń zadrżał — przytulił ponownie dziecko swej siostry do piersi, kołysał do snu jak matka — śpiewał mu nawet jakąś kołysankę — — —

Will usnął. Delikatnie, ostrożnie Tom zdejmował nędzną odzież — surducik, snać niewprawną ręką samego Willa cerowany, buty, w końcu nędzną, cienką, choć całą jeszcze koszulinę. Z przerażeniem patrzył na te biedne, wychudzone członki, na krwawe sińce na ciele. Podniósł się w końcu i pomagając sobie okaleczaniem ramieniem zaniósł dziecko do łóżka.

Potem wzięwszy lampę ze stołu oświecił sypialnię dzieci. Trzy dziewczątka, przytulone do sie-

bie leżały w głębi łóżka, obok spali chłopcy. Jednoreki długo stał przy łóżku, pochylał się nad śpiącymi — wstrząsał głową, coś szeptał i wzdychał.

W końcu wrócił do kuchni — przymknął cicho drzwi sypialni — i usiadł na ławce. Portret jego siostry stał na stole. Z ram obrazu wychylała się ku niemu twarz Jennie. Tom wstał i szybkim odruchem — odwrócił portret. Obok spostrzegł maleńką statuetkę Naświętszej Panny Maryi z Lourdes. Ucałował ją z pokorą — podniósł z ziemi różaniec i zaczął się modlić — nie mógł. — Słowa modlitwy nie mogły się precyzyjnie przeczyszczać przez kurczowo zaciśnięte zęby. Wstał znowu — wziął statuetkę i różaniec i złożył u stóp łóżka dzieci. Jeszcze raz wpatrzył się w drobne postacie śpiących. Ta słabo oświetlona izba wydała mu się więzieniem, czy kostnicą. Dzieci leżały cicho — jak trupy. Tom musiał z trudem zwalczyć chęć porwania tych dzieci w ramiona, tulenia ich — pieczenia. — Przemógł się — zamknął izbę i wyszedł na dwór. Przed domem wznosił się piaszczysty wzgórek, chroniony od wiatru kilkunastu jodłami. Tom minął go — i usiadł dalej na jakiejś wyniosłości gruntu. Spoglądał chwilami w górę w ciemne niebo, to znowu spuszczał głowę — lub toczył wzrokiem po równych, dalekich przestrzeniach. Wreszcie silnym ruchem przetarł czoło. Ponad grzbietem gór błyszczał sierp zachodzącego księżyca. Chłodna noc iskrzyła się gwiazdami,

a nad osadą unosiła się głucha, martwa cisza. Na niebie mrugały jeno gwiazdy — niby oczy łez pełne. I padały ich łzy promienne na tę dolinę — na chaty ludzi — na ich nędzę i ich zbrodnie, co ich aż tu w ten dziki wąwóz zagnały.

Przy mdłym świetle księżyca spojrział Tom na zegarek. Była 12 godzina. Podniósł się i wszedł do kuchni. W tem dobiegł jego ucha szmer, zbliżający się powoli; wyraźnie słyszał śmiech i rozmowę. Ktoś odsunął zasuwę. — Do izby wszedł Piotr z żoną. Natychmiast spostrzegli przybysza, który milcząc siedział na ławie i surowym profilem zwracał się ku lampie.

Jakiś niemiły strach przejął wchodzących. Piotr zmieszał się bardziej niż jego żona. Tom powstał i dał się poznać — a gospodarze domu przywitali go serdecznie. Piotr przedstawił żonie szwagra z Nowego Yorku — potem żonę kalece. Następnie uczuł coś, jakby potrzebę usprawiedliwienia się przed bratem, że ożenił się tak prędko po śmierci jego siostry.

Tom udzielił mu odrazu zupełnej absolucyi, a nawet dodał, że są mężowie, co nawet tak długo nie czekają. Ten łagodny sąd uspokoił i ucieszył Piotra. Wdzięczność jego nabrała cech psiego łażenia się, a Tom zastosował się od razu do roli pana i głaskał go słowy, niby psa po karku. Był wogóle w doskonałym humorze. Przyszedł wprawdzie do tego dzikiego kraju niedźwiedzi, by

z tymi ludźmi załatwić kompletnie rachunki; był jednak za sprytny, by grać w otwarte karty. Po cóż miał odrazu robić sobie nieprzyjaciół, którzyby mogli jego plany pokrzyżować?

Słowa twarde, nieubłagane, słowa prawdy, co rwały mu się na usta — ukrył gdzieś w głębi duszy — walczył zaś pozorną uprzejmością i grzecznością. Przedewszystkiem podnosił znawstwo Piotra, które kazało mu tę właśnie kobietę pojąć za żonę. To wywołało odrazu swobodny, a nawet wesoły nastrój. Tom, podtrzymując go ciągle, poszedł krok dalej — zaczął odkrywać coraz nowe zalety w pani Daly, których prawdopodobnie gruby, krótkowzroczny małżonek nie dostrzegł dotąd wcale. Szorstkie, grube i zmięte rysy Piotra poczęły się dziwnie wygładzać — niby zmięta szmata pod żelazkiem. W końcu zaś twarz jego zabłysła takim blaskiem, że mogłaby rozświecić ciemne zaułki izby. Nawet przedmioty w kuchni zaczęły rzucać podwójne cienie — od lampy i od oblicza gospodarza.

Wreszcie i Tomowi było tego za dużo — uczuł przesyt i odrazę. Zrozumiał, że kobieta, która zajęła miejsce jego siostry, była wyszarzaną na ciele i na duszy, wyszłą z obiegu półświatówką. Wdzięki jej popłacać mogły chyba tu — w tej osadzie szulerów, pijaków i zdemoralizowanych awanturników. Była to 50-letnia, ohydnie nabrzmiała kokota, podtrzymująca rozmaitemi środkami prze-

kwitłe swe wdzięki; zepsuta do gruntu, o błyskach tandetnego wykształcenia i wystudyowanych ruchach. Spojrzeniami naiwnego dziecka, udaną prostotą serca i uśmiechem usiłowała pokryć egoizm i podłość, zawsze gotową, niby zadraśnięta cierniem zmija, bryzgnąć jadem, nim noga ją rozdepcze. Jedno nierozważne słowo wobec tej kobiety spowodowałoby wybuch. Dodać trzeba, że niewielki zaszczyt przyniosła Piotrowi, wybierając go na męża z pomiędzy tylu łajdaków.

Tom zwyciężył — zwyciężył, bo chciał. Opanował w zupełności kokotę — ujął ją podstępniemi słowy, miłą rozmową, opowiadaniem. Piotr jednak opierał się usilnie planom Toma — szczególnie, gdy rozmowa zeszła na Willa. W końcu jednak wyrównały się sprzeczne zapatrywania. Rzeczyby nawet można, że bitwa ukończyła się zwycięstwem obu stron. — Oto punkta pokoju.

1) Piotr Daly jest zupełnie pozbawiony środków; ma nawet długi — pragnie jednak gorąco pojechać do Klondyke — podróż taka kosztuje 200 dolarów. A więc Piotr Daly pojedzie do Klondyke.

2) Tom Pratt wypłaca natychmiast Piotrowi Daly i jego żonie 150 dolarów, resztę t. j. 50 dolarów nadeśle w przeciągu 2 tygodni do Banku w Hudson, gdzie sumę tę podnieść będzie można. Kwota ta wraz z pensją Piotra, którą mu wypłacą 15 czerwca, powinna wystarczyć na przesiedlenie się.

3) Piotr Daly zrzeka się wszystkich swoich praw do 5 żyjących dzieci na rzecz Toma Pratta.

Jednoreki wydobył z kieszeni na piersiach gotowy dokument, nawet pióro i atrament, a w czasie, gdy Piotr i jego żona zajęci byli odczytywaniem układu, ułożył na stole 150 dolarów w banknotach.

„Skądże ty masz tyle pieniędzy“ — spytał poraz drugi Piotr. Poprzednio bowiem przy układach zdradził tę ciekawość.

Tom uśmiechnął się blado.

— „Gwiazda morza“ — nie bój się — bierz.

Akt Piotr podpisał trochę drżącą ręką; drżały mu też ręce, gdy zgarnięte pieniądze oddawał swojej „Maryi“.

Małżeństwo uznało układy za skończone i kontrakt za zawarty.

Tom zwinął dokument i schował na piersiach. Wówczas dziwna zmiana zaszła w jego tak przyjaznej dotąd twarzy. Rysy ściągnęły się i zakrzepły, jakby nagle powiał na nie mroźny wiatr północy — wstał, wziął kapelusz i wyszedł bez słowa.

Piotr śmiertelnie znużony całodzienną pracą w kopalni — tańcem i pijatyką w karczmie i w końcu ostatnimi wrażeniami, wyciągnął się na ławie, szukając w głębokim śnie odpoczynku. „Marya“ zaś przeliczyła raz jeszcze skrupulatnie pieniądze, z błogim uśmiechem na ustach.

O 3 godzinie nad ranem, gdy księżyc już

dawno schował się za góry, a czarna, głucha noc zawisała na niebie — przed chatę zajechał wóz, zaprzężony w dwa muły. Jeździec, co mu towarzyszył, zatrzymał się u drzwi lepianki — skoczył z siodła — oddał lejce woźnicy i znikł w głębi chaty. Po chwili ukazał się znowu — na ręku niósł śpiącego chłopca, otulonego w pościel. Ułożył go przy świetle latarki na dnie wozu, wysłanego słomą. Potem wszedł znów do chaty, wyniósł z niej młodszego chłopca, owiniętego w łachmany i ułożył go obok brata w słomie. Za trzecim razem przyniósł jakieś 5-letnie może dziewczątko. Chwila jeszcze, a obok siostry spoczęło drugie, czteroletnie dziewczę.

Wreszcie 5 raz — — —

„Marya“ szarpnęła za ramię śpiącego Piotra. Nie zbudził się. — Ściągnęła go z ławki na ziemię — krzyżąc mu do ucha, iż jakiś jednoreki rozbójnik skradł mu 5 dzieci. Nieszczęśliwiec usiadł na ławie — ziewając i przeciągając członki — zdawał się uważać za ofiarę, iż zmienił pozycję leżącą na siedzącą. Po chwili dopiero zaczął zdawać sobie sprawę z sytuacji.

„Piotrze! on ci dzieci zabiera — wołała żona — Willa i Toma i Lilly i Molly i Rózię“ — — —

W tej chwili właśnie Tom Pratt z najmłodszą Molly na ręku wyszedł z sypialni i usiłował dostać się na pole. Nierozważny rozbójnik był nieco jednak przeciążony, prócz dziecka niósł bowiem



całą torbę zeszytów, listów, obrazów, pamiątek. Piotrowi udało się zastąpić mu drogę.

„Moja Molly! — jęknął ojciec, moje dzieciátko! — zostaw mi przynajmniej jedno, jedno z pięciorga — Willa mi zostaw“ — — —

Spróbował pocałować śpiące dziecko. — Potoczył się jednak na bok — może snem upojony. Tom podbiegł do oczekującego go wozu i szybko ułożył Molly obok rodzeństwa. — Woźnica zaciął muły, Tom wskoczył na siodło i wkrótce wóz i jeździec pograżyli się w ciemnościach.

„Tom!“ — rozległ się nagle krzyk gdzieś koło chaty. — Odpowiedziała mu tylko echem głucha noc — w której oddalał się coraz bardziej jeździec i wóz.

„Tom!“ zabrzmiało raz jeszcze.

A potem — ciszę przerwał krzyk, ale już tak słaby, że zgłuszył go tentent kopyt i turkot kół:

„Tom! O! O! O!“

Brzask budzącego się dnia dobywał z ciemności fantastyczne kontury Deer Lodge, gdy zbiegowie osiągnęli wierzchołek pasma górskiego, które niby wał oddziela osadę od Buxtonu. Dzieci zbudziły się już wszystkie i spoglądały na siebie, nie zdradzając zresztą zbyt wielkiego zdziwienia. Zmiana ta, która ich we śnie zaskoczyła, była może przez nie przewidziana, przeczuta — wiedziały może, że noc

taka nadejść musiała — śniły ją może. — A może tylko nędza i cierpienie stępiły je tak, że nic ich już poruszyć nie mogło.

Na wykarczowanej wśród lasu drodze zatrzymał się wóz. Tom zsiadł z siodła i przywiązał lejce do białej brzozy przydrożnej. Woźnica dawał mu z kozła jakieś informacye:

„Na prawo — potem w bok, potem 5 minut w górę — batem wskazał w kierunku jodły, przenoszącej głową inne drzewa — nie może pan w żadnym razie zbłądzić, kierując się ku temu drzewu — tam znajduje się mogiła“.

Tom poszedł we wskazanym kierunku.

Woźnica zsiadł — zdjął mułom uzdy, lejce przywiązał do kozła — następnie nasypał mułom obroku, przyczem nie pominął wierzchowca. Po chwili pocziwiec wydobył jakieś pudełko ze słodyczami i podał dzieciom. Załatwiwszy się z tem, dobył woreczek z tytoniem, nabił fajkę i zapalił. Z dobroduszną miną ułożył się na mchu leśnym i dumając nad czemś puszczał obłoczki dymu między krzewy i kwiaty leśne. Zapanowała ogromna cisza, przerywana tylko chrzęstem obroku w zębach mułów i chrupaniem cukierków, zajadanych przez dzieci. Nagle w powietrzu zabrzmiał przeraźliwy, krótki krzyk — przyleciał od olbrzymiej jodły — odbił się krótkim echem od skał i skończył w cichym powietrzu. Woźnica przerażony skoczył ku spłoszonym mułom — chwilę nadśluchiwał

czy krzyk się nie powtórzy: — „Co to może być? — dzikie zwierzę? Nie!“ I znów było cicho. Muły wróciły do przerwane go śniadania — dzieci nie przerywały go wcale.

Tom wrócił — szedł zwykłym, równym krokiem, niosąc kapelusz w rękę. Lica jego tylko powlokły się śmiertelną bladością, a krople potu uperliły mu czoło. Na pytający wzrok woźnicy wstrząsnął głową.

„Zbłądziliście Panie?“

Zamiast odpowiedzi odciągnął jednoreki woźnicę na bok, by dzieci nie dosłyszały rozmowy. Rozmawiali półgłosem. Tom musiał się o coś pytać — towarzysz jego często wstrząsał głową — wzruszał ramionami. Wreszcie rzekł: „Pomogę, ale nie za pieniądze, Panie — jedynie ze współczucia. Ja sam mam dzieci w Portlandzie, wiem, co to znaczy — — Niech panu Bóg pomaga!“

Wypróżnił swą fajkę, schował, podszedł do wozu, wydobył zeń Willa — tak jak był, otulonego w pościel. Tom wziął na ręce drugiego chłopca i obaj, każdy ze swoim ciężarem, znikli w kierunku wysokiej jodły.

Po dziesięciu minutach wrócili. Tym razem zabrali 2 dziewczątka i ponieśli na wzgórek ku jodle — i znów wrócili. Człowiek z Portlandu położył się na mchu, na zasłużony spoczynek. Tom wziął małą Molly na rękę i znikł po raz czwarty w gąszczu.

Zmęczony znalazł się na polance obok olbrzymiej jodły i posadził maleńką koło jej rodzeństwa. Sam zdjął kapelusz i stanął na boku. I tak tuliło się tych pięcioro dzieci owiniętych w pościel i derki w świeży chłodny poranek u stóp świeżej mogiły, pod krzyżem z drzewa ciosanym.

I choć żadne z nich nigdy tutaj nie było, rzekłbyś, że znały to miejsce, tę mogiłę, ten krzyż, że wiedzą poco tu przyszły. Nawet najmłodsze dziecko rozumiało — buzia jego przeciągnęła się do płaczu — nie zapłakało jednak. I nikt nie płakał na tej mogile — i nikt nie rzekł słowa i cisza była na niebie i na ziemi. Oczy dzieci spoglądały niespokojnie w koło — oczy nadmiernie rozszerzone — głębokie. Czasami wzrok ich padał na Toma, wzrok niespokojny, dziki chwilami, jakby to onzabił matkę, wykopał grób — ziemię przysypał.

I wreszcie spostrzegł Tom, jak z łachmanów poczynają się wychylać drobne rączki, jedna po drugiej. Tej chwili czekał — podszedł bliżej, ukląkł na ziemi obok dzieci i złożył okaleczone ramię ze zdrowem do modlitwy. Głos jego cichy, drżący — potem coraz pewniejszy łączył się w chór modlitwy. I wśród tej dzikiej puszczy — wśród ogromnych drzew — na świeżej samotnej mogile rozległy się boskie słowa i w ciszy płynęły ku niebu: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...”

I po promieniach budzącego się słońca, co tkało

jasne wstęgi wśród jodeł, brzóz i chyłących się krzewów, po całej sieci tęczowych barw, co się rozpięły nad mogiłą, stąpił Niebieski Ojciec do dzieci-sierot.

Około południa znaleźli się nakoniec w Buxton. Woźnica zatrzymał konie przed jakimś dziwnym ogrodem, otaczającym duże zabudowanie. Z domu wyszły dwie niewiasty, witając go serdecznie. Jedna z nich była jego siostrą już zamężną — druga bratową — już wdową. Obie utrzymywały się praniem i cerowaniem ubrań. Właściciel domu, jak zresztą wszyscy mężczyźni w tej okolicy, był górnikiem. Już w czasie podróży Tom załatwił wszystko z woźnicą, wyrównał rachunek — teraz więc ucałował dzieci, przemówił do nich kilku łagodnymi słowy i dosiadłszy muła oddalił się jedyną ulicą w głąb Buxtonu.

W tej chwili zaszło coś nieoczekiwanego. Za ledwie Tom zniknął, pochwyciły kobiety dzieci i zaniósły gdzieś, w najodleglejszy zakątek domu. Rozebrawszy je prawie do naga pousadzały je kolejno, podług wieku, na jakiejś ławce czy kłocu drzewa. Obie uzbroiły się w nożyczki i zabrały się do czupryn chłopców i dziewcząt. Wszystkie włosy padły ofiarą, a dzieci po tym dziwnym napadzie tak się zmieniły, że jedno drugiego poznać nie mogło. Znosiły jednak wszystko w milczeniu.

Po tej torturze, nastąpił drugi, gorszy jeszcze akt męczarni. Po dwoje wsadzano je do gorących mydlin, gdzie je niemiłosiernie myto szczotkami i obcierano ręcznikami.

I to zniosły w milczeniu.

Nie był to jednak koniec. Wszystkie ubrania, bielizna, pościel, w której przyjechały, razem z odciętymi włosami poszły w piec.

I to jeszcze zniosły dzieci.

Teraz kobiety dołożyły drzewa do ognia, a na blasze ustawiły duże patelnie. Wyglądało to tak, jakby te nieszczęsne ofiary miały być usmażone na smalcu z cebulą, a potem w zwykły sposób zjedzone. W tej rozpaczliwej chwili zjawił się anioł stróż w postaci Toma. Pod pachą niósł duże pudło, które rzucił obok dzieci na ławę.

„Wuju Tomie, wuju Tomie! Skarżyły się naguski, popatrz, co się z nami stało! popatrz tylko“.

Jędnoreki roześmiał się szczerze, ocierając pot z czoła. Dzieci zawtórowały mu, a nawet okrutne niewiasty rozśmiały się wesoło. I była to pierwsza weselsza chwila.

Tom otworzył pudło, z którego wypadły piękne, nowe ubrania, buciki, pończochy, sukienki. Prędko z pomocą kobiet rozdzielono rzeczy i ubrano dzieci. Wszystko nadzwyczaj dobrze leżało, a jeżeli zjawiała się gdzie jaka niedokładność, to tak

długo rzecz tę chwalono, póki niedokładność nie znikła.

Cóż to była za radość. Dzieci po raz pierwszy od całych miesięcy śmiały się szczerze. Dziewczęta dostały piękne kapturki, które pokryły ich ostrzyżone główki. Rózia dostała różowy, Lilly biały, a Molly niebieski. Chłopcy otrzymali czapeczki także odpowiednio dobrane — wszystko lśniło się od barw i strojów.

Następnie całe towarzystwo zasiadło do stołu i spożywało zawartość owych groźnych patelni, zawartość, coby była w stanie zadowolnić nawet głód ludzi północy.

Po obiedzie wuj Tom, woźnica i owe dwie niewiasty pozostali przy stole, dzieci zaś poszły do ogrodu, gdzie zajmowały się porównywaniem barw swych sukien z barwami kwiatów, naturalnie na niekorzyść tych ostatnich. Przy kuchennym stole tymczasem załatwiano ostatnie rachunki. Dużo pieniędzy musiał wuj Tom zapłacić, bardzo dużo, uczynił to jednak bez żalu, a nawet bez westchnienia. Wreszcie skończył wszystko i odetchnął głęboko. Pożegnano się. Nieszczęście ludzi zbliża. — W oczach barczystego woźnicy stanęły łzy, gdy na pożegnanie ścisnął dłoń kaleki.

„Panie — mówił — niech pana Bóg prowadzi i zdrowiem darzy. Ja także wkrótce wrócę do Portlandu; zarobki tutaj nędzne, a w lecie pewno żadnych nie będzie“.

Kobiety ucałowały dzieci po porządku — jedna zaczęła od najstarszego, druga od najmłodszego.

„Z Bogiem, z Bogiem!“ wołały, powiewając chustkami, gdy Tom wraz z sierotami zniknął na ścieżce do dworca kolejowego.

Pociąg stał już na stacyi od pół godziny, gdy podróżni zajęli miejsca w wagonie; musieli jednak jeszcze pół godziny czekać. Buxton jest ostatnią stacyą — przychodzi tu codzień jeden tylko pociąg, który go łączy z Butte City — to też personal kolejowy wcale się nie spieszy i urządza sobie tu odpoczynek.

Więc nakoniec znalazły się te biedne istoty w wagonie, co je miał odwieść na wschód, wrócić cywilizacyi — w wagonie, który niósł je ku jaśniejszej, lepszej przyszłości. Tom oparł się okaleczanem ramieniem o ramę okna i przykrył dłonią czoło jakby go głowa bolała, lub jakby był chory. Od chwili, gdy wsiadł do wagonu, wrócił jego dawny smutek i przygnębienie.

Naprzeciw niego siedziała Molly — istny kontrast wszystkiego co smutne i przygnębione. Trzyletnia kokietka pogrążona w podziwie swojej nowej sukni, promieniała radością. Podnosiła ciągle do góry swoją sukienczykę i z wielkiem zadowoleniem oglądała swoje — pełne mimo całej nędzy — nóżki, ubrane w niebieskie pończoszki.

Obok Molly siedziała Lilly — biała jak lilia. Dolną wargę miała cokolwiek zaciętą, rączki silnie



zwarte. Oczy jej głęboko osadzone, otoczone siną, chorobliwą obwódka, podnosiły się nieustannie na wielkiego nieznanego mężczyznę, który ją aż tutaj przywiózł. Żałosne westchnienia podnosiły co chwila jej wychudłą, drobną pierś. Istotnie — był to ostatni czas na ratunek — niemal już za późno. Z drugiej strony przy oknie — Rózia, Tommy i Will zastanawiali się nad celem podróży. Will zdradzał w tym kierunku wprost prorocze natchnienie.

Przypięto w końcu lokomotywę — wagony drgnęły i poruszyły się. — Stacya, domy, stosy ułożonego drzewa, nawet chałupy nędznej osady zaczęły uciekać w tył — aż usunęły się zupełnie i zginęły gdzieś w dali. Tom wychylił się z okna i patrzył na mijaną osadę — po chwili wzrok jego spoczął na krańcu horyzontu — na pasmie gór porośniętych lasem, co dzieliły Buxton od Deer Lodge. Tam, na wzgórku w promieniach zachodzącego słońca paliła się olbrzymia sosna i niby podniesiona ręka wskazywała niebo.

Z hukiem i łoskotem wpadł pociąg w jakąś szczelinę górską — wzgórze i jodła zniknęły z oczu Toma na zawsze.

„O! Jennie — marzył — a łzy świeciły mu wśród rzęs. — O! Jennie, więc zostałeś tam samotną na wieczność całą — grobu twego nie odwiedzi nikt, chyba dzikie zwierzę. — Tak się skończyło twoje życie. — Kamienie zamiast kwiatów,

a zamiast łez grad chyba spadnie na twą mogiłę. I nie doleci cię echem płacz twych dzieci — ni głos ludzki — wilk chyba tylko zawyje na grobie twoim. — O! Jennie — siotro moja!”

Pociąg wpadł w tunel, niby trumna w grób. — Ciemność objęła wagon — a w niej drżał tylko płacz i cichy szept: O! Jennie, siostró moja!

Pociąg przebył tunel — skośne promienie zachodzącego słońca wpadły do wagonu i obramowały złotem twarz Toma i jego głowę wspartą na deskach wagonu. — Tom spał.

Zachodzące słońce rzucało swe jasne — złociste jeszcze promienie na wybrzeże Atlantyckiego oceanu w Jersey.

Zielone fale wód, strojne w pióropusze pian uderzają rytmicznie o brzegi. Nigdy niezmierzone kołyszą na swem łonie łódkę rybaka i jacht jakiś i ciężkie żelazem kute parowce. Nad falą rozpięto się w górze niebo błękitne — płyną po niem białe chmury, niby okręty niebieskie o rozpiętym żaglu — płyną nad ziemią — mijają lądy i morza — a niebo lśni i mieni się blaskiem jak morze.

Przyleciał z dali południowy wiatr — przyniósł z sobą balsamiczną woń podzwrotnikowych palm, zachwiał trawą łąk, zbożami pól. I zakółysały się łąki i zboża i zafalowały pod uderzeniem wiatru — jak morze.

Z nieba przyleciała jakaś myśl błękitna — myśl mistyczna powiała nad światem i rozegrały się pieśnią lądy i wody. I cała ziemia stała się sceną, po której kroczy piękno i poi dusze ludzkie aż do omdlenia — zachwytu.

I zachwyciło się morze całe i rozśmiało, jak dziecko i biegło na wybrzeże, by porwać — braci swych — dziecięce dusze w skoczną zabawę i poić ich blaskiem, bawić dzień cały — aż do znużenia — samo nieznużone nigdy.

Nim jeszcze ranek wstał, wysłało morze gońca, pierwszą falę przyływu, by zmyła brzeg. Płynęła fala za falą, zmywała piasek i wodorosty i na przestrzeni tysiąca mil przygotowywała białe, jak śnieg wybrzeże na przyjęcie umiłowanych gości. A przed ich przybyciem jeszcze wysuszyło ciepło i światło słoneczne rozmiękły brzeg.

I nastał wielki dzień pokoju między niebem i morzem — uciszyły się groźne potęgi i umilkły. I choć nieraz wiodły szalony bój, choć wyzywały się hukami fal, łoskotem grzmotów, choć niebo złotym piorunem bodło nieraz morską toń, choć rozszalałe morze ciskało tumanami pian aż na chmury — to jednak dziś nastał dzień pojednania — dzień pokoju.

Nakoniec przyszli — przyszli ci, dla których morze odziało się w godową szatę — ci, których powietrze oczekiwało w niespokojnem drzeniu. Długie szeregi fal wychyliły z toni głowy swe,

by je pierwsze ujrzeć — i biegły prześcigając się fala za falą na wybrzeże. Pierwsza Molly, z podgiętą sukienką dotknęła bosą stopą wody — za nią poszły Lilly i Rózia — i morze objęło pocałunkiem ich nagie, chude nożyny. Potem Tommy i mały Bertie Pratt, oswajając się powoli z nowym widokiem, spróbowali kąpieli.

— Wuju Tomie — jakże to łaskocze, — cieszą się dziewczątka.

— I chłodzi także — krzyczą chłopcy.

— Wuju Tomie, czy morze zawsze jest takie wielkie — pytają dziewczęta.

— Ach! Wuju Tomie! Ojczy! ojczy kochany! czy morze zawsze jest takie piękne jak dziś?“

Bertie i jego mały brat z zachodu śmiejąc się wesoło, biegają po wybrzeżu, pełną piersią wdychając powietrze ożywcze i rozkoszując się wolnością.

A morze melodyjnie szepce i dzieciom czarowne bajki gwarzy. Ten pełen ponurej grozy ocean, który stalowymi kolosami niby piłką się bawi, który skaliste wybrzeże roztrąca, lub dumnie pod ciemne chmury się wzbija — dziś, pieszcząc, całuje bosc nóżki dziecięce, obmywa ich słabe, drobne stopy. Pełen pustoty rzuca im czasem odrobinę piany w twarz — wypłucze z pod nóg trochę piasku i zdaje śmiać się swawolnie, gdy dziecko straci równowagę.

Morze i dziecko.

Nigdy się nie widzieli, nigdy nie znali — ale za pierwszym spojrzeniem wyczuli wszystkie tajemnicze węzły — za pierwszym spojrzeniem pokochali się — jak brat i siostra. Zrozumieli może, że poczęło ich łono — tego samego Twórcy, co kazał piersi dziecięcej falować oddechem i stworzył przyływ i odpływ morza.

A fala ciekawie szuka jeszcze. Oto odkryła nową grupę, podpływa do niej szepce i nęci. Na suchym brzegu piękna kobieta tuli do piersi chłopca. I nie może to być jego matka — za młoda na to. — Oboje jednak mają jasny, płowy włos ludzi północy, oboje piękne, regularne rysy, oboje chorą bladość na twarzy, podmalowaną lekkim tchem rumieńca, wywołanego świeżym powiewem morza.

I w twarzach ich ten sam spokój; znać go w oczach kobiety i w rysach śpiącego chłopca. Równy, głębokimi poruszeniami płuc wdech słońce powietrze i nie zna nawet jego działania. Lecz wkrótce pod troskliwą opieką wzmocni się i odżyje znużone ciało jego, a morze wróci zdrowie dziecku i kobiecie, która nad niem czuwa. Lewą ręką objęła chłopca — prawą do ust podnosi książkę. Wśród uśmiechów i pocałunków szepce jakieś ciche, dobre słowa.

I znów odkłada książkę na bok; ujęła parasol i okrywa cieniem siebie i śpiącego. A właśnie słońce wyłoniło się nagle z za chmur. Ten dawca światła i życia próbuje już po raz setny osiągnąć

cel swój — i choć jednym, gorącym pocałunkiem ogrzać lica chorej pary. Ale podstęp się nie udał — promienie słońca spłynęły po rozpiętym parasolu na piasek i całą kaskadą blasków uderzyły w leżącą książkę. I ten król światła, potężny pan życia, objął gorącemi ramionami książkę — jakby chciał z niej wypić wszystką treść — jakby to dla niej jedynie zstąpił z wyżyn na ziemię. — Złote jego promienie pełzają po kartkach i zdają się czytać w zachwycie:

„GWIAZDA MORZA“  
napisał Tom Pratt  
(6 wydanie).

A słońce pełza dalej i niby pracowity tkacz złotemi nitkami oplata przyrodę, budząc życie nawet w martwych tworach.

Wtem nadbiegł morski wiatr, pochwycił książkę, zanurzył ją w piasek — i, niby złośliwy swawolnik, zasypał ją piaskiem i okruchami muszli. Słońce ukryło się za płatem chmur, by tego nie widzieć. I znów pochwyciła młoda kobieta książkę, odrzuciwszy precz parasol. Jej wzrok zwrócony ku morzu objął śmiejące, rozigrane dzieci na wybrzeżu, a potem utkwiał w człowieku bez ręki, co stoi obok nich, jak stróż, czy nauczyciel. A ten człowiek, to twórca tego wspaniałego dzieła, które w dłoni trzyma, które czyta bez-

ustannie, niby „ojcze nasz“, powtarzane co dnia. Ten oto kaleka bez ręki, ten zgębiony żebrak wydobyl z własnego bólu iskrę Bożą, jak z zimnego kamienia stal. Płomieniem wdarł się w ludzkie uczucie, rozgrzał najzimniejsze, zamarte już serca. I ten jednoreki poeta — to jej mąż, jej drogi, najdroższy Tom. Jakiś dziecięcy uśmiech rozchylił jej wargi i rozjaśnił drobne rysy, gdy nagle jakieś wspomnienie spędziło uśmiech z lic. Na jej twarzy zmagać się poczęły smutek i radość, uśmiech i łzy. Wśród tej walki zaćmiły się oczy Ewy, usta zadrżały, a gorące łzy poczęły padać kropla za kroplą na piasek, na jasne włosy chłopca, wreszcie na książkę, co zbawcą była dla nich wszystkich.

A kiedy z ostatnią łzą uleciało ostatnie westchnienie, bolesne a błogosławione zarazem, spokój wstąpił w jej duszę, burza uciszyła się i zdało jej się, że świat i życie nigdy jeszcze w tak cudne nie odziało się barwy. Daleko, jak okiem sięgnąć, rozlało się olbrzymie morze; na widnokregu spoiło się z niebem, a niebo i morze, niby dwoje wyciągniętych ramion objęło ją — i jej najdroższych.

A fala u brzegu cicho szumi i szepce — szepce jakieś zaklęte, rajskie słowa — do brzegu usta tuli, pieści, coś śpiewa. A radosne okrzyki dzieci i poszum morza zlały się w jakąś olbrzymią pieśń, co echem upojenia odbiła się w jej sercu. I morze

odbiło w swej toni twarze ukochane, chmury ubrały się w cudne kształty jej najdroższych i świat cały rozbrzmiał jednym hymnem radości i upojenia.

Szalały nad nią troski i burze, a oto padły bezsilne i pogrążyły się w przeszłość, w tę czarną, ciężką, nieskończenie długą noc. I chyba w zmartwychwstania dzień — gdy Bóg, zbudzoną ze snu duszę do siebie powoła, odczuje radość tak pełną, jak w tej chwili. Myśl jej pobiegła w daleką, zimną, północną ojczyznę, ku niebotycznym szczytom gór, ku puszczom leśnym, dzikim i ciemnym. I słyszy raz jeszcze kuszące nadzieje, co rodziców jej z ojczyzny wyrwały i poniosły w obcy, daleki świat, w szeroką dolinę Mississipi. A potem spadły na dziecięcą jej wówczas głowę gromy: trud, nędza ubogich ludzi na obczyźnie, gwałtowna śmierć ojca, przedwczesny zgon matki.... A potem dni ciężkie i znojne, noce ciche, spędzane na modlitwie. I dalej płyną wspomnienia: widzi potworne niebezpieczeństwa jakie grożą młodej, pięknej, samotnej dziewczynie — nie dosięgły jej jednak — potem wspomina ową scenę na cmentarzu w St. Louis. Pamięta pierwsze słowa Toma, pierwszy brzask, co rozświetlił ciemnie jej życia. A potem raj miłości — a potem szczęście najwyższe na ziemi — dziecko.

I znów nadciągnęła burza — dziecko jej śmierć zabrała — mąż uległ strasznemu nieszczęściu. I znów popłynęły łzy, a głód i nędza pogrążyły w rozpacz. I niby lawina, toczy się nieszczęście



— a grom nawet z dala uderza. Jennie zamarzyła gdzieś w Montanie — Dzieci Jennie skazane na zgubę. — Świat się wali, jakgdyby Boga nie było.

A w tem — O! po jakich drogach wiedzie nas odwieczny Bóg. Okrutny, straszny los, prowadzi w jasną przyszłość. — Lewą rękę zmiażdżyła maszyna, a prawa, osierocona, skazana na siebie samą, śmiało sięga ku najszczytniejszemu zadaniu człowieka, ku zakłęciu ideałów w czyn. I jego ból każe mu stworzyć pierwsze dzieło, jego „Gwiazdę morza“.

I — dzięki Bogu — książka znalazła uznanie. Rozrywają ją wszędzie, a Tom Pratt nie zakończy swej pracy literackiej na niej. Jego obowiązki względem żony i dzieci, jego wdzięczność dla Boga — Stwórcy, jego żądza twórcza w końcu, skłoni go do tego.

Najdłuższa noc musi się skończyć świtem. Czemuż mamy cierpieć, a musimy żyć? — Czyż jedynie po to, by cierpieć? — O! nie, celem człowieka — zmartwychwstanie, a ból to młot, co skuwa ogniwa łańcucha, który ludzkie serca łączy. I gdyby było tysiące dróg, co z nicości prowadzą do bytu, z upodlenia do szlachetności, okrutnej walki i bólu do szczęścia i do Boga, to każda z nich wieść musi przez wielką, pełną cierni i głógów, pustynię — cierpienia.

Najbliższą z tych dróg odkryły łązy — naj-  
pewniejszym przewodnikiem tęsknota.

Przed chwilą obudził się chłopiec. Spojrzał  
gdzieś w górę. Dojrzał błękitną toń nieba, chmury  
lejące w pościgu — dosłyszał mistyczny pogwar-  
fal, bijących o brzegi. Pieści go oddech morza,  
a cuda przyrody kołyszą jego duszę.

Kobieta zbudziła się z marzeń, spojrzała  
w otwarte oczy chłopca. Jakaś radość napełnia jej  
piers. Chyli się nisko, aż do czoła chłopięcia, ca-  
łuje go i szepcze:

— Dzień dobry Will! Pokrzepił cię sen?

Uśmiech blady był całą odpowiedzią.

— I co też śni mój pieścuch, gdy morze nuci  
mu do snu?

Na cichą twarz chłopca wypełził ból i zastygł  
w niej; przymknął powieki.

— No co? — pyta kobieta.

Nagle zadrżała — powoli poczęły rozszerzać  
się jej źrenice — i pozostały tak szeroko roz-  
warte przerażeniem.

A chłopiec skinął głową, jakgdyby coś po-  
twierdzał.

Pochyliła głowę kobieta.

Zrozumieli się.

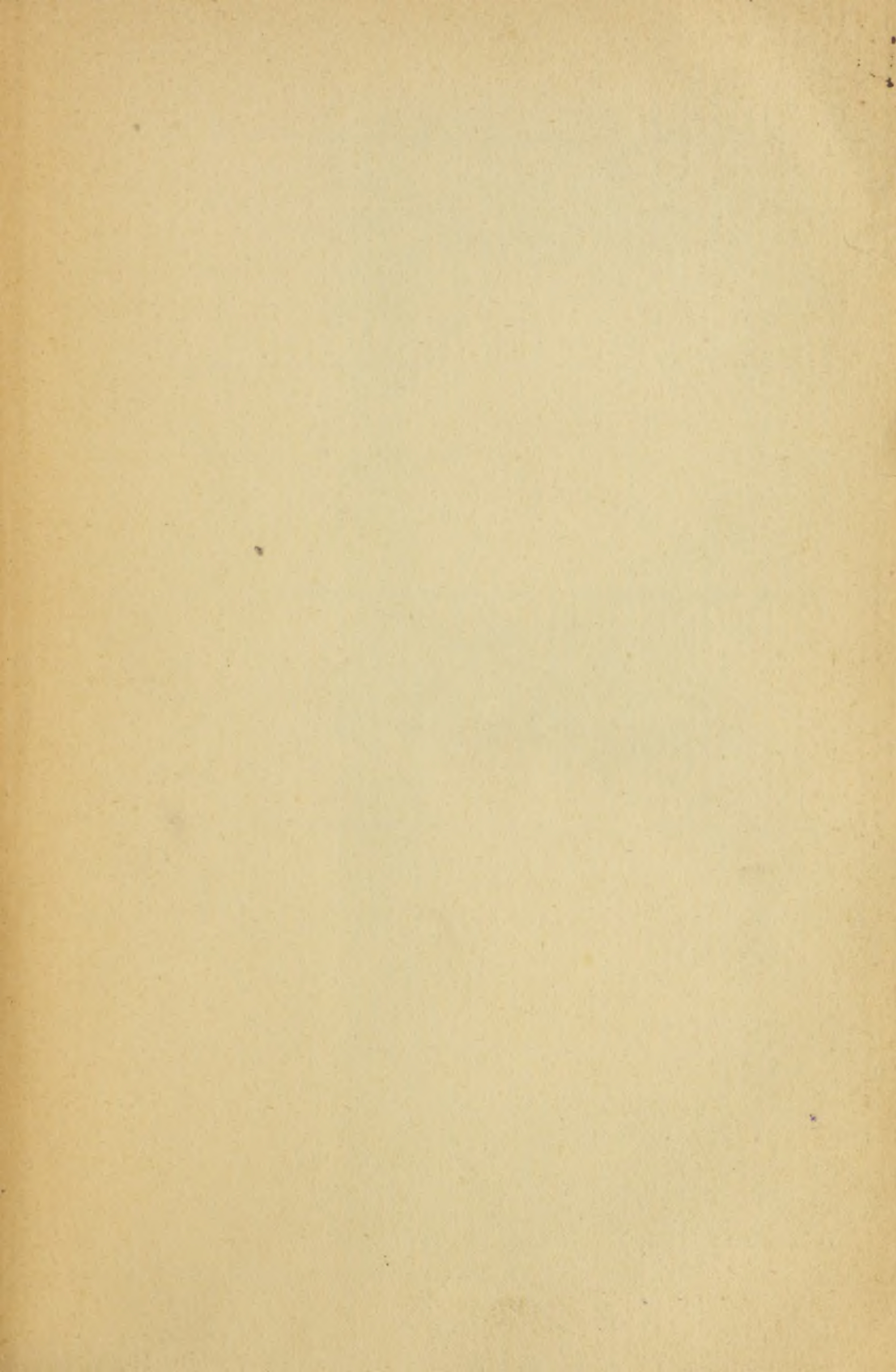
Dziecię było daleko. —

Gdzie? —

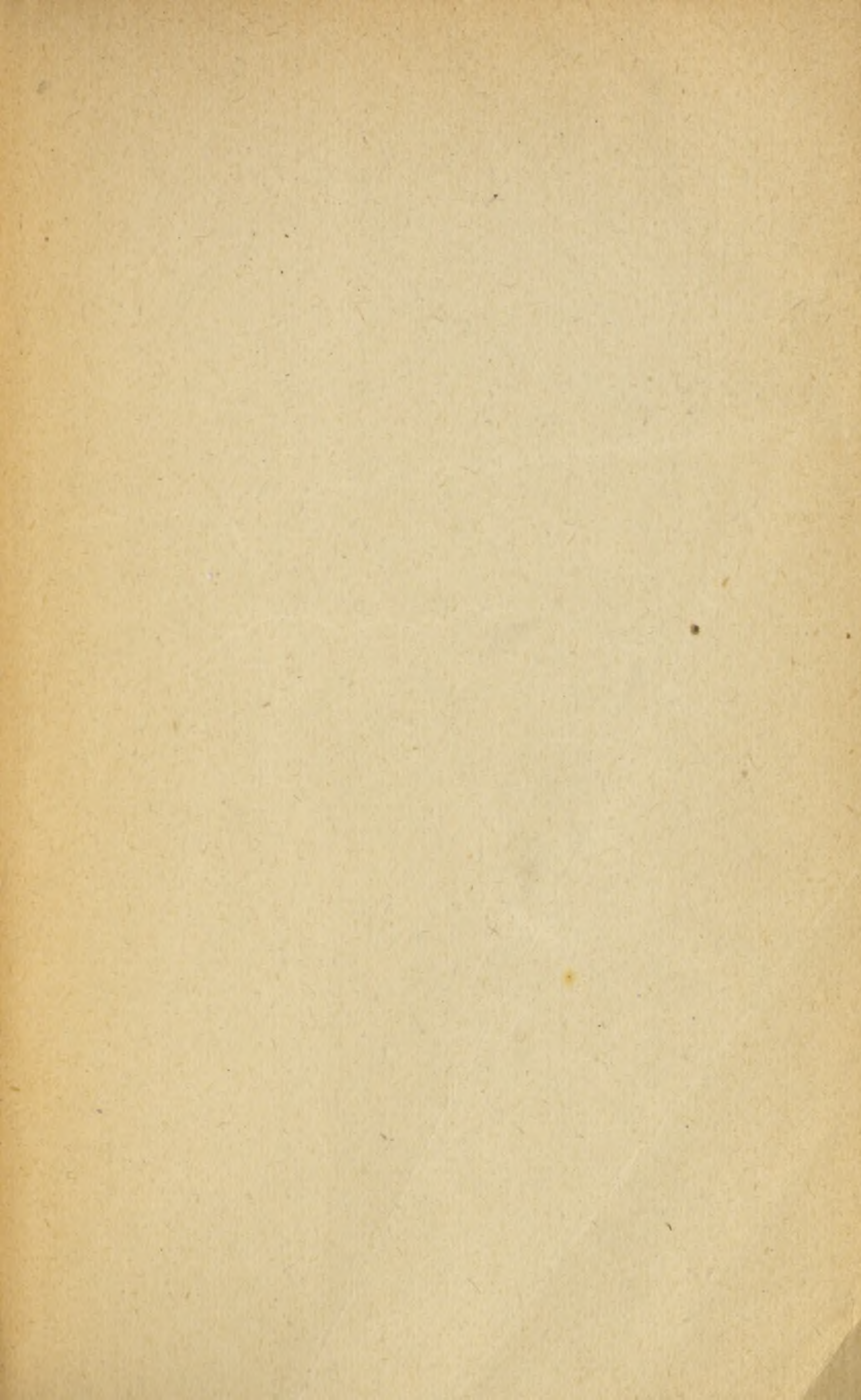
U stóp zapomnianego grobu.

KONIEC.

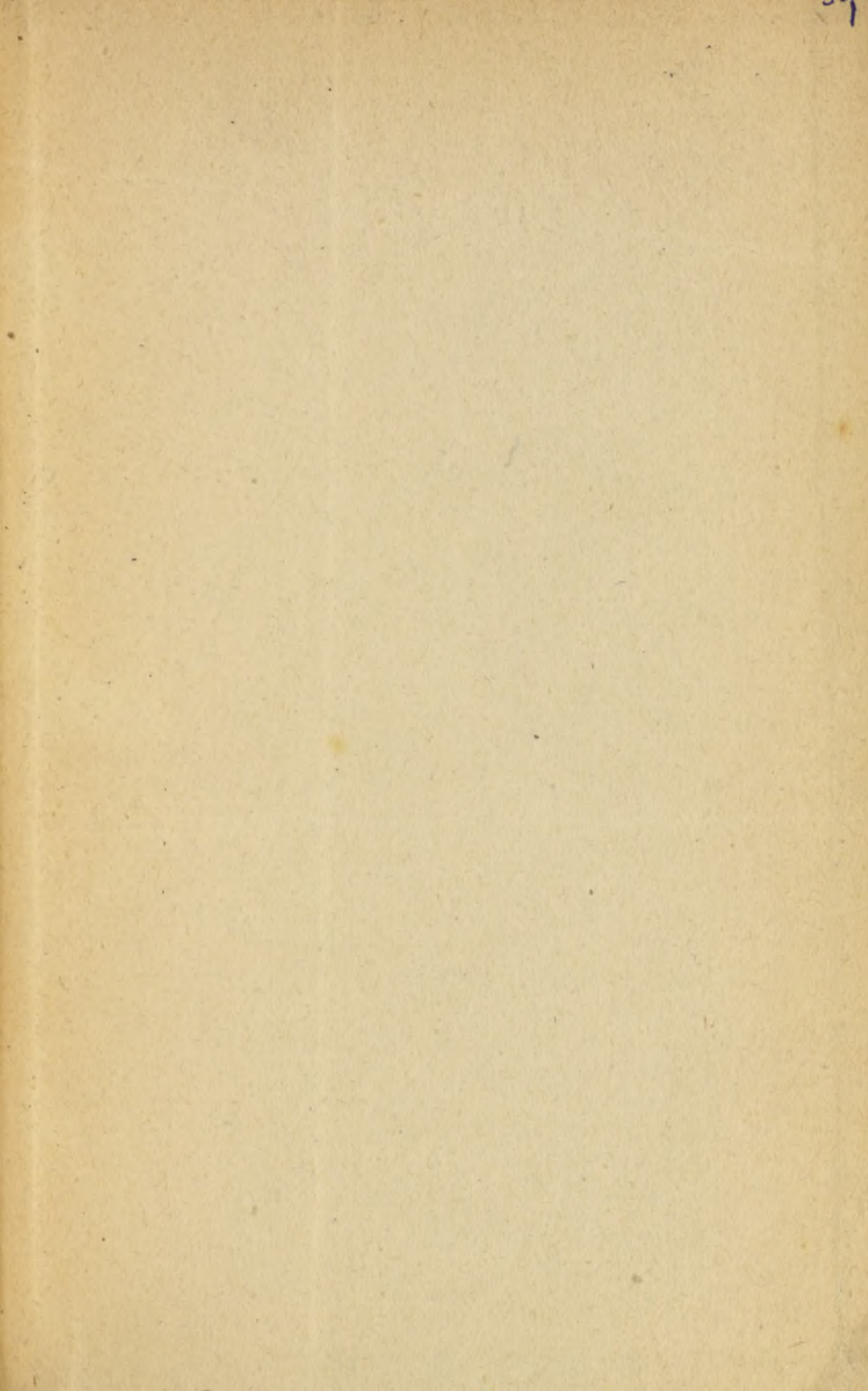












Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

1 | 323908 |

1000072442

